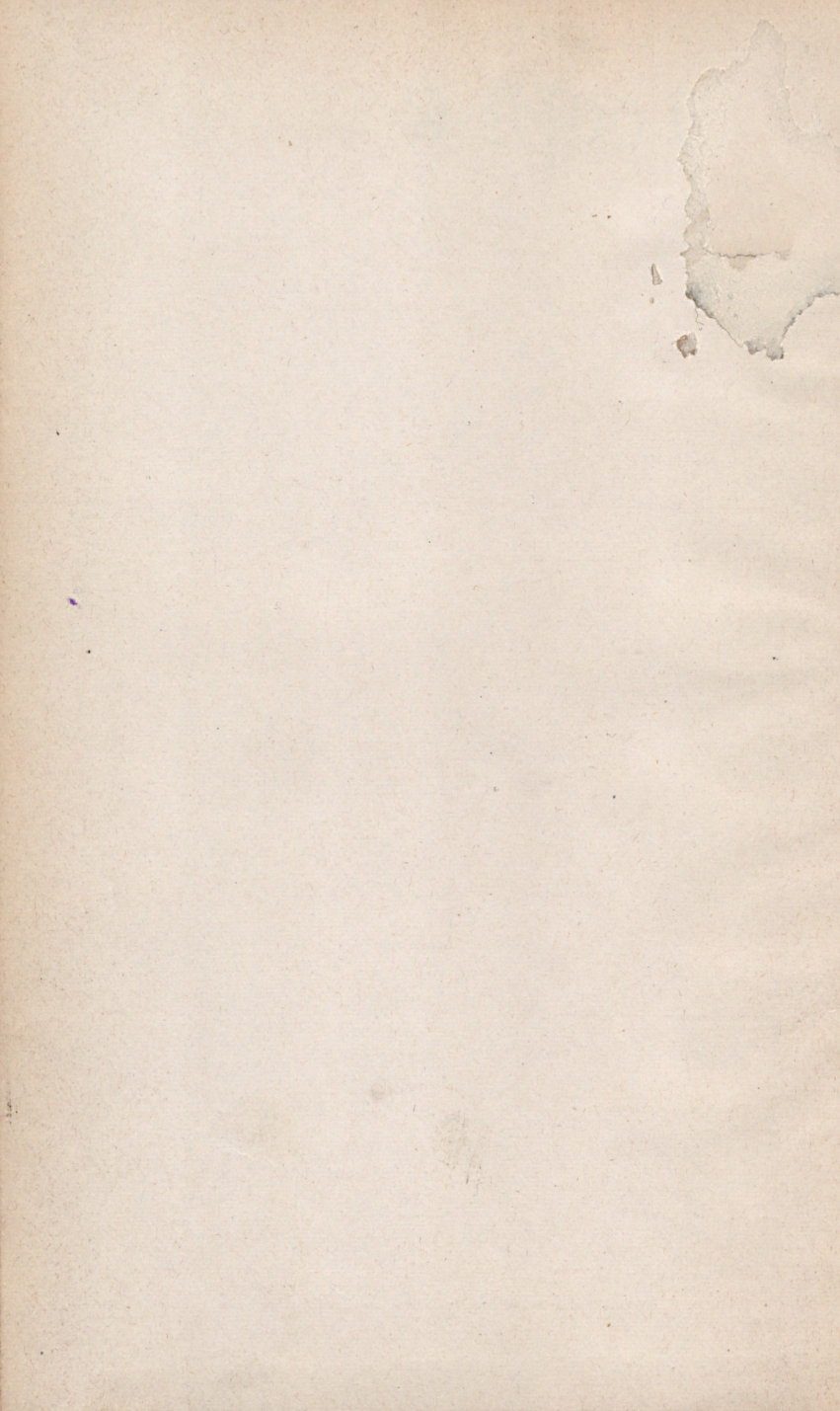




I 2.007.318



ANTON  
LANGE

ELFRIDA



GEORGE &  
FRANKS



ELFRYDA.

## TEGOŻ AUTORA:

POGRZEB SHELLEYA. Poemat (wyczerpane).

POEZJE. Część I. (wyczerpane).

POEZJE. Część II. (wyczerpane).

FRAGMENTA. Poezje wybrane.

WYBÓR POEZJI. Ed. Bibl. Mrówki.

POGROBOWCOM. Poemat (na wyczerpaniu).

ROZMYŚLANIA (na wyczerpaniu).

PIERWSZY DZIEŃ STWORZENIA. Pieśni społeczne.

WENEDZI. Tragiedja (na wyczerpaniu).

ATYLLA. Tragiedja.

GROTESKI (w druku).

---

KWIATY GRZECHU z Baudelaire'a (wyczerpane).

POCALUNEK z Banville'a (wyczerpane).

PRZEKŁADY Z POETÓW OBCYCH. Dwa tomy (wyczerpane).

KUSZENIE SW. ANTONIEGO z Flauberta.

NAL I DAMAYANTI. Przekład z sanskrytu.

SAVITRI. Przekład z sanskrytu.

SINTAISI-SHO. Poeci nowojapońscy.

POECI HISZPAŃSCY. Zorrilla i Campoamor (w druku).

---

STUDJA I WRAŻENIA (wyczerpane).

STUDJA Z LITERATURY FRANCUSKIEJ.

O SPRZECZNOŚCIACH SPRAWY ŻYDOWSKIEJ (skonfiskowane).

WSPOMNIENIA WIĘZIENNE (w druku).

DWIE BAJKI. Książka dla dzieci.

ZBRODNIA. Opowiadania.

STYPA. Powieść.

W CZWARTYM WYMIARZE. Opowiadania (w druku).

Serja p. t. EPOS:

Tom I. EPOS BABILOŃSKIE.

Tom II. EPOS EGIPSKIE.

Tom III. RAMAYANA.

Tom IV. MAHABHARATA.

Tom V. ILJADA.

---





ANTONI LANGE

# ELFRYDA

NOWELE I FANTAZJE.

WYDANIE DRUGIE.



SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I SKA; LWÓW,  
H. ALTENBERG; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co.

40993

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

Prawa autorskie w Rosji co do tłumaczeń itd. zarezerwowane na zasadzie ustawy z d. 20/III. (3/IV.) 1911 r.

Copyright by Antoni Lange, nineteen hundred twelve.

709



IV

1912

2007.318

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001018600184

WIDŁAK.



Pierwszy na tego człowieka zwrócił moją uwagę malarz Jan Latour-Latur, z którym przez jakiś czas prowadziliśmy w Warszawie bezładne, cygańskoweneckie, nocne życie. Trzecim zatracёнcem był Kazimierz Iwonicz, który właściwie na tę drogę nas poprowadził. Zmuszony niedawno zerwać z narzeczoną, oddawał się głębokiej rozpaczycy, którą zalewał winem burgundzkim i węgierskim; jako przyjaciele nie mogliśmy oczywiście Kazia pozostawiać w samotności i towarzyszyliśmy mu w jego nocnych wyprawach przeciw bogom melancholji i wspólnie piorunowaliśmy przeciw kobietom. Skutek był ten, żeśmy wracali do domu zawsze koło trzeciej lub czwartej rano, nieco podchmieleni; czasami ja odprowadzałem Iwonicza i Latour-Latura do domu, czasami znów oni mnie odprowadzali. Dodać trzeba, że Jan od czasów paryskich prowadził życie systematycznie bezładne, a ja wpadłem w okres próżniaczo-neurasteniczny i nie byłem w stanie (dla czego? to do historji nie należy) nad niczym pracować; całe ranki przesypiałem, całe popołudnia gardziłem sobą i czyniłem sobie gorzkie wyrzuty, a wieczorami znowu szedłem na pijaństwo; słowem, błędne koło.

Latour-Latur, patrzący na świat po malarsku — zwracał nam kilka razy uwagę na szczególną postać, która krążyła po mojej ulicy. Mieszkałem zaś przy ulicy Poprzecznej, jednej z tych, co przecinają Marszałkowską.

Postać owa był to stróż nocny, jak dowiedzieliśmy się później, imieniem Ignacy Widłak.

Wysoki, barczysty mężczyzna, lat około pięćdziesięciu, z szeroką czarną siwiejącą brodą i dziwnie ognistym czarnym okiem — kroczył on po naszej ulicy od 11-ej wieczorem do 7-ej rano, bacząc na porządek spraw publicznych w nocy.

Zdaleka już słychać było uderzenia jego kija w asfalt trotuaru i powolne kroki, miarowe, ciężkie; najczęściej stąpał zadumany, z głową podniesioną, jak gdyby przenikał tajemnice okien. Czasem przeciwnie, kłusem pędził z jednego końca ulicy w drugi, podtrzymując swą pelerynę, podobną do mniszego habitu. Czasem stał godzinami w pobliżu latarni i, położywszy książkę na ścianie jakiego domu — z uwagą niewzruszoną wczytywał się w jej stronie. Zimą i latem nosił na sobie długą pelerynę, koloru marengo, z kapturem, co mu głowę zupełnie okrywał, tak iż tylko część twarzy była widoczną. W pasie przewiązywał się sznurem, a wychudła twarz przy szpakowatej brodzie i ognistym oku — nadawała mu minę niby średniowiecznego mnicha-ascety, zabłąkanego przypadkiem w XX stulecie. Okazało się, że Iwonicz go zna i nawet raz, gdyśmy zalewali jego smutne dzieje zerwania z narzeczoną — mówił o nim bardzo tkliwie i za-

pewnia, że temu człowiekowi ma dużo do zawdzięczenia; że on mu odkrył oczy na prawdę, choć była to prawda bardzo gorzka.

— A ty, — zapytałem Latour-Latura — czy masz mu co do zawdzięczenia?

— Kto wie! Uratował mnie od czeluści piekielnych, a może nawet od bardzo ziemskich przymiotów! W każdym razie palnął mi raz takie kazanie, że poprostu nawrócił mnie na drogę cnoty...

— A toż to misjonarz jakiś, w tak skromnej postaci ukryty...

— Być może. Trochę marzyciel, trochę apostoł, a trochę bzik... Człowiek godny uwagi... Jak wiecie, nasza ulica jest nieco *m a l f a m é e*... Oczywiście nie dla tego, że ja tu mieszkałem, albo dla tego, że mieszka Władek (wskazał na mnie), ale z powodu tych dam, których na niej aż zanadto. Wracalem raz do domu późno w nocy i, natknąwszy się na stróża nocnego — z głupia frant, ot tak! dla farsy, pytam go: — Powiedzcie mi też, dobry ojcze, gdzie tu tego... rozumiecie?... — On zaś, ujawszy mnie za rękę, powiada: — Na miłość boską, panie — i pocóż to panu dziewczeczki? Pan wygląda na uczonego człowieka — i pocóż to panu rozpusta?... Żali pan chce zgubić swoją duszę? Alboż pan nie wie, jakie to okropne katownie przygotowane są w piekle dla tych, co się oddawali żądom zmysłowym? Jako ów żołnierz, o którym pisze o. Serafin, że chrapliwym głosem gadał za to, iż się kochał w pieśniach wszetecznych, a golenie i biodra wrzody mu obsypały, iż się kochał

w pięknych biodrach, a sprośna żaba wysysała mu piersi, iż się kochał w całowaniu onych drażniąt: takie pana kary wieczyste w otchłaniach piekielnych czekają! Niech pan odpędzi szatana! A te nieszczęsne, biedne sieroty wszeteczne — to są okropne wysłanki djabłowe! Potępione — i innych na potępienie wodzą! — Tak mi gadał o piekle i jego zgrozach ognistych — nocny stróż z ul. Poprzecznej. Nazywa się Ignacy Widłak. Malownicza figura. Kręcę się koło niego, bo chcę go wziąć za modela i można zrobić pyszną rzecz, ale nie wiem, jak go namówić, nie pije, nie pali, nie przyjmuje pieniędzy...

\* \* \*

Wracaliśmy do domu koło drugiej. Odprowadziliśmy naprzód Kazia, a potem wkroczyliśmy na ul. Poprzeczną. Było już błękitnawo i kamienice powoli wypływały z mroku nocy. Okna — jak martwe źrenice — patrzyły w nicość; tu i owdzie świeciły lampy — może to sypialnie dzieci, może kto umarł, może jaki poeta pisze coś bezsenny.

Kasztany — w liczbie kilku — rosnące wzdłuż chodnika — niewidoczne prawie we dnie — teraz po nocy, kiedy ludzi niemasz na ulicy, nabrały energicznych kształtów, jakby wywalczając prawo swej wyrazistości na ziemi.

Tylko co weszliśmy na ul. Poprzeczną, gdy w jej pobliżu ul. Marszałkowską przechodził patrol. Usłyszeliśmy naraz na naszej ulicy cichy gwizdek, a jednocześnie wszystkie dziewczyny (było ich tam koło



piętnastu) zaczęły pędzić jak spłoszone kuropatwy, uciekając w stronę placu św. Aleksandra. Ich suknie czerwone i zielone, podkasane wysoko, odsłaniały jaskrawe pończochy, a pióra na kapeluszach od ich pośpiesznego biegu latały jak gołębie.

Widocznie nasz stróż dawał im jakiś znak umówiony — i dziewczyny uciekały przed policją.

— Dobry wieczór, ojcie Widłaku. Cóż to znaczy, że te dziewczuchy tak lecą?

— Znak im dałem, żeby się miały na baczności, bo to, panowie, patrol szedł... Zawsze lepiej się pilnować! Nieszczęsne — wszeteczne sieroty — potępione są na wieki — biedne wysłannice diabła — całą nieskończoność godzin smażyć się będą w ogniu przeraźliwym, jakowego my tu na ziemi i odgadnąć nie możemy... Tam — one będą gorąć w piecu żelaznym bez końca — niechże więc tu przynajmniej kar ziemskich unikną... Choć i to mało im pomoże... Każda ma krew popsutą i pełno wrzodów — a te żałości, co je gryzą we środku, w samym sercu... o Boże miłosierny i sprawiedliwy, miej politowanie nad ich grzeszną duszą...

— A wy znacie te kobiety?

— Jeszcze-by też! Jużci, że je znam wszystkie jak na palcach. Dwa lata bez mała przyglądam się im — to i wiem, przez co każda przeszła, co wycierpiała, jak się umęczyła. Powiem panom, że każda z nich jest bardzo nieszczęśliwa. Myślicie, że taka odrazu wyrasta? Gdzie tam, niejedna to w sercu pocziwsza, niż poniektóra pani, co jej się wszyscy kłaniają po pas. Ta

Mańka, proszę pana, co to ma żółciejsze włosy — przyjechała tu z Płocka, tam ją uwiódł jeden podoficer kozacki — i co miała robić? Wstyd był jeno i uciekła do Warszawy. Rok temu — pamiętam — wyglądała jak wisienka, świeże, młode dziewczę... Ale dziś już ma taką twarz, co to odrazu widać: potępiona!

— Twarz grzechu!

— Właśnie. Oto widzę, że pan się dobrze zna na grzechu. Ale kiedy już tak — to panu powiem, że tu jest jedna bardzo poczciwa. Taka czarniawa — chodzi w sukni kratkowanej, Bronka. Zgubił ją jeden akademik, dziecko ma i dla niego pracuje. Ale bardzo się martwi swoim położeniem i dla tego postanowiła sobie zebrać 600 rubli i założyć magazyn, bo ładnie szyje. Była pierwaj kamizelczarką. Jest bardzo oszczędna — już zebrała 140 rubli... musi jeszcze trochę nagrzeszyć.

— 230 razy po dwa ruble — obliczyłem starem.

— Może być — ale jak tylko będzie miała 600 rubli, to już się zmieni na bardzo porządną osobę...

— Czemuż lepiej do Magdalenek jej nie radzicie? Znacie je wszystkie, jak dobry ojciec...

— Pewnie, że znam. Toć bez mała dwa lata włóczę się po tej ulicy. Znam ci ja wszystkich, co tu mieszkają, wiem, co się tu w każdym domu w środku odbywa...

— Djabeł kulawy! — zawołałem.

— Djabeł kulawy? a któż to inny kręci się dziś

po świecie... Boże miłosierny, ratuj tę grzeszną ziemię, bo już się wypełniają czasy...

— Jak to?

— Ano, koniec świata już blizki. Nie więcej zostało nam, jak 97 lat i 5 miesięcy żywota. Nie-szczęśliwi, bądźcie gotowi na kary wiekuiste, albowiem Bóg już podnosi zasłonę... Sam tu, grzeszniku — mówi on — przystąp do tej kraty żelaznej, a ognistej, a co się z nią i za nią dzieje, bacz; jeden tylko ma klucz ta krata, którym wejście otwierają, a żadnego niemasz, by wyjść z tej otchłani... Siły ludzkie i anielskie jej nie przełamają, i owszem sam Bóg — dekretem wolnym, lecz nie-odwoalnym — tę moc sobie odjął, aby mocy piekła nie nadwątlić...

— Co też wy, ojcze, mówicie?

— Są już znaki, że Antykryst niedaleczko... Sam tu niedawno widziałem na naszej ulicy wóz ognisty i srodze śmierzący, a który pędził zgoła bez konia — a takie wozy to nieomylny znak, że już koniec świata blizki... Jest o tym książka pobożna, napisana przez jednego świętego człowieka...

— A cóż wy tam za książki czytacie?...

— Ot, same książki pobożne — o Antykryście, o piekle, o końcu świata, o sądzie ostatecznym, o aniołach i diabłach...

— Nadobna literatura! Ciekawe książki!

— Nie przez ciekawość je czytam, ale że już idą czasy ostateczne — siódmy tydzień świata — że już Bóg chce odpocząć, bo się okrutnie zameczył tym czuwaniem nad grzeszną ziemią — więc

teraz już ta grzeszna ziemia pójdzie w otchłanie bezdenne, a nam biednym robakom czas wielki myśleć o zbawieniu duszy...

\* \* \*

— A czemuż to nie myślicie o zbawieniu duszy tej dziewczuchy?... Każecie jej jeszcze grzeszyć trzysta razy, toć lepiej ją na pokutę, do Magdalenek...

— Nie, proszę pana... Do tych bogatych panów, co to nie mają miłosierdzia nad żadną nieszczęśliwą — i zawsze jej w twarz rzucają gorzkie — brzydkie słowa — nie posyłam żadnej... Dawniej, to doradzałem. Jedna tu była, Józia, co się chciała wyrwać z tej ciemności i poszła do tych dobrych panów, a te jej tak nadokuczały, że po trzech dniach uciekła i powiada: wolę skonać — wolę się utopić, niż się męczyć u tych szelmów. Grzesznik, proszę pana, to substelna istota, nie można nim poniewierać, a te panie to wcale nie są delikatne... Poczciwa Józia płakała, do nóg im się rzucała, a one do niej: Taka a taka, cóż ty nam tu grasz komedje! Nie tak to łatwo zostać znów poczciwą!... Aż Józia uciekła...

— No, a Bronka?

— Ona sobie poradzi. Jak tylko nagrzeszy za 600 rubli, to się weźmie do pracy.

— To się nazywa „per aspera ad astra“.

— Już tam jak pan chce. Nie rozumiem po łacinie.

— Dziewucha zbiera kapitał po japońsku.

— I po japońsku nie rozumiem. Japończyki —

to srogie pogany i mają od djabła sobie darowaną wielką moc, tak że pobiją wszystkich królów za ich grzechy. A sam Japon — to blisko piekła — tam jest jedna góra ognista — przez nią widać wszystkie piece czartowskie, jak to mówi św. Franciszek Ksawery, przez owych pogan umęczony... Ale świętemu przejść przez piekło — to fraszka; bo go piekielny ogień wcale się nie ima! Zato biada — biada grzesznikowi...

— A jakże o nas myślicie? O panu Janie, o mnie...

— Bliżej panu do piekła niż do czyśćca nawet. Ja wiem, że pan jest uczony i że pan po całych nocach siedzi i coś pisze, ale nieraz koło okna pańskiego krąży duży, czarny ptak... Przyleci — załopocze skrzydłem — zakracze — w okno spojrzy — i ucieknie...

— Aż mnie ciarki przeszły... Bójcie się Boga, nic o tym nie wiedziałem...

\* \* \*

— Może pan nie wie, a ono tak jest. Ten zaś się ptak — to wysłaniec szatana, na zwiady chodzi... A gdyby go dotknąć, to całkiem niecielesny ptak, jeno zupełnie duchowy... Czy go często widuję? Na naszej ulicy prawie co noc, bo to wszetecznie djabelska ulica. Pan go nie zobaczy, bo pan niewierzący; trzeba mieć łaskę u Boga, aby go widzieć... Tak się człek, wśród grzechu brodząc, od grzechu ochrania... Djabeł tu sobie hula naprawo i nalewo. A jeszcze panu powiem, że te

dziewuchy — to prędzej bardzo nieszczęśliwe — i tym będzie przebaczone, ale zato inne — ho, ho! Smażyć się będą w ogniu po łopatkę — po sam czubek głowy, ożogiem będą im palić sromy, któremi piły rozkosze! Czy pan wie, co to było z panem Iwoniczem? To bardzo dobry pan, bo choć nie z naszej ulicy, ale że tu bywał co wieczór, więc na niego uważałem. On był zaręczony z jedną panną, z pod Nr. 37 na drugim piętrze. Ta panna mieszkała z drugą siostrą i z matką, a cała ta trójka — to, proszę pana, była hultajska trójka, a nietylko, że nikt o tym nie wiedział, ale ba! każdy je miał za święte — a pan Iwonicz to nie inaczej — tylko klęczał przed swoją... Julja się nazywała... Codzień tam bywał o ósmej — jak tylko z biura wychodził — bo to bardzo porządny i pracowity pan; znosił bukiety, cukierki, bilety do teatru — i niemało się na te baby szkodował. A one — niby to, że takie poczciwe — jak tylko dwunasta — mówiły: panie Stefanie — czas iść do domu... On też żegnał się z niemi... Raz deszcz był krwawy, ale że go te panie wyprosiły — wyszedł na ulicę — i tymczasem stanął we framudze. Właśnie i ja tam stałem, a on wyciąga papierosa i powiada: Macie, ojciec. — Dziękuję, niepalący... A on: Jakże wam tu stać na taką zlewę po nocy — nie przykro to?... Na to ja: Lepsza taka zlewa, niż ogniste czeluście piekielne, gdzie goreć będą dusze grzeszne, i ci, co z nieświadomości są współnikami ich grzechu... Aż pan Iwonicz patrzy na mnie i w czoło się stuka, niby że ja jestem warjat.



Wkrótce jednak zmieniły się stosunki. Burgund i węgrzyn zasechł w beczkach, a Stefan wyjechał do Włoch, by tam na łonie Rzymianek i Florentynek zapomnieć o goryczach swego narzeczeństwa. Opuścił mię też Latour-Latur, gdyż zakochał się na serjo i poprzysiągł sobie noce przepędzać, jak przystoi dobremu obywatelowi. Znalazłem sobie inną kompanję, która jednak poprzestawała na piwie. W każdym razie wracałem co noc do domu bardzo późno.

Muszę tu zaznaczyć, że od tygodnia mieliśmy nowego stróża domu. Stróż ten, Jakób, miał minę nożowca i ożenił się niedawno z dziewczyną, która wyglądała na kokotę niższego rodzaju. Oczywiście, w stróżowskim stanie miodowe miesiące są niezbyt spokojne. Stróż w naszym domu miał dwa mieszkania; tak zwaną „dyżurkę“ w bramie, oraz izbę w suterenie, gdzie pomieścił żonę. Koło drugiej po północy Jakób kombinował sobie, że już wszyscy lokatorzy są w domu, że więc może opuścić dyżurkę — i szedł do swej Cytery.

Tymczasem zdarzyło się, że przyszedłem o czwartej. Dzwoniłem bez końca, uderzałem kijem w bramę, kołatałem klamką, ale w rozkosznych objęciach swej ukochanej — Jakób nie słyszał nic. Gdym tak łomotał rozpaczliwie i mówił sobie: — Ktoś nie śpi, aby ktoś mógł spać! — usłyszałem za sobą głos:

— Widzę oto, że pan się do bramy dostać nie może — powiedział Widłak.

— Złość mnie ogarnia, ale cóż chcecie... Jakób świeżo po ślubie — to się z żoną gzi, a migdali...



— Ach, jak też pan mówi nieskromnie, aż obraza uszu boskich...

— No, a jakże mam mówić?...

— Grzech popełnia konieczny, grzech nakazany. Bo to już Pan Bóg miłosierny w łasce swojej tak uczynił, że nie inaczej się człowiek rodzi, jeno z grzechu, a znowu ten grzech — to Sakrament — i niemają z tego człowiek ma uciechę.

— Zgadzam się na tę piękną peryfrazę, ale dla czegoż ja mam stać na ulicy tak długo?

— Pewnie sprośna to konieczność ku utrzymaniu pokolenia Adama, ale chłop powinienby mieć zastanowienie... i nie zapominać otwierania bramy. Obowiązek — to święta rzecz...

Co prawda nie wiem, czy w położeniu Jakóba miałbym zastanowienie, ale w tej chwili kładem tę bezmyślną dążność ludzkiego bydłęcia do płodzenia potomstwa.

— Nie mam że racji, ojczy Widłaku?

— Bo i pewnie. Im prędzejby się ludzie przestali rodzić, tym prędzejby był sąd ostateczny, a ci, co sobie zasłużyli na tę wieczną szczęśliwość, zdobędą ono słodkie a przeczyste zboże rajskie wybranych.

— Mój ojczy, zapominacie o jednym, że tylko sam Pan Bóg zna dobrze *numerum electorum* — liczbę wybranych — i dopóki ta liczba się nie wypełni — koniec świata nadejść nie może, a że wybranych jest maluczko, to i nieprędki może być koniec świata.

Słowa te powiedziałem bardzo uroczyście i zu-

pełnie w stylu Widłaka. To też trafiły mu bardzo do przekonania i zaczął gorliwie walić kijem w bramę, gdyż byłem w położeniu grzesznika, który chce z piekła wrócić do raju, ale niemasz klucza, co by tę bramę otworzył.

— Ślicznie to pan powiedział. Bo chociaż zły ptak nad panem krąży, to jednak widzę, że się pan rozumie na rzeczach pobożnych.

— Cóż to za ptak? — mówiłem, cisnąc guzik elektryczny. — Nigdy go nie widział.

— Niech pan uważa na swoją duszę... Ja tego ptaka znam, bo on dawniej do mnie przychodził, a teraz to, panie, jak go zobaczę — pędzę za nim, a baczę, przy którym oknie się zatrzyma, i taką mam chęć, żeby go jakąś mocą anielską — ubić naszczęt; takbym ja zbawił świat od grzechu — i od djabelstwa...

— Kiedyż to do was przychodził ten ptak?

— Przychodził do mnie nieraz, a ja go nie widziałem, aż dopiero później, kiedy się nawróciłem. Byłem ci ja — tyle jako pan — światowy człowiek. Niemało nagrzeszyłem — Boże, bądź miłostiw! aż się nawróciłem na drogę pobożności... Nieczysty byłem, jako wieprz — i żądzom zmysłowym cały oddany; dopiero, jakim raz na własne oczy tego diabłowego ptaka zobaczył; dopiero, jak on mi całe piekło pokazał — i ten ogień straszny a niewygasły po wieki wieków — i te katownie grzeszników — nawróciłem się, dzięki Ci, o miłosierny Panie i królu niebieski! Precz szatańskie pokusy!... Dawniej — to ja byłem — jako mówię —

światowy człowiek — i służyłem za stangreta. Więc jak byłem u jednej hrabini, co teraz zarządza u Magdalenek, to tam stało się tak. Bo ta hrabina to była bardzo elegancka pani, ale srodze grzechowi oddana. Więc ona mnie namówiła, żebym ją kochał; tak ja, panie, ją kochał — Boże mi odpuść to wszetecznictwo! ale niedość tego, bo ta hrabina miała córkę; może 18 lat panienska, taka chuderlawka i substelna, a czarne miała oko, jak ten djabelski ptak; więc ta panienska też mi się kazała kochać, to też, panie, ja i tę dziewuchę kochał. Z początku — to jedna o drugiej — nic nie wiedziała; ale mnie zdradziła jedna pokojowa, co chciała, żebym się z nią żenił. Dopiero, panie, jak się ta matka z córką pokłóciły, a zaczęły się wyzywać: ty taka — ty owaka! — to mnie wygnały precz. Byłem potym za stangreta u jednego bankierza, chrzczonego żyda; a jego żona znów mi się kazała kochać, a za to mi dawała różne prezenty... Teraz dopiero widzę, z jakiego niebezpieczeństwa łaska boża mnie wyrwała; bo wiadomo, że Antykryst ma się narodzić z żydówki! Cóżby to było — o nieszczęsny Widłaku (tu bił się mocno w piersi) — gdyby się Antykryst narodził z ciebie i z tej bankierzowej! Ale nie dopuścił Pan miłosierny do tego. Owszem — jedna dziewczyna, co chciała, żebym się z nią kochał — zdradziła mnie przed onym bankierzem i ten mnie znowuż wygnał precz. Poszedłem na inną służbę, a zawsze z grzechu w grzech i z piekła w piekło. Co te baby upatrzyły sobie do mnie — to nie wiem. Ignasiu! Ignasiu! zawsze

tak mi gadały, a co mnie naściskały, nacałowały — o, wszeteczne wysłanki djabła. Aż raz zobaczyłem tego czarnego ptaka, co mi zaczął krakać nad uchem okropne kary piekielne! I odtąd byłem uratowany! Zmieniłem życie i oddałem się pobożnym rozmyślaniom. Już to piąty rok mija, od kiedy porzuciłem furmaństwo — i przystałem za nocnego stróża.

— Bardzo to dobrze, żeście porzucili drogi wszeteczne — zauważyłem, choć moja myśl dzieliła się między losy Widłaka, a moje fatalne położenie.

Prawie godzina minęła od chwili, gdy zacząłem dzwonić. Widocznie, że już tej nocy nie będę spał u siebie; chyba pójdę gdzie do znajomych albo do hotelu. Zwierzyłem się z tą myślą Widłakowi, prosząc go zarazem, aby rano o siódmej, skoro tylko zobaczy Jakóba, powiedział mu o tym zdarzeniu i gorzkie mu palnął kazanie. Sama myśl wygłoszenia oracji pobożnej wielce się spodobała Widłakowi; obiecał mi, że napewno to zrobi; poczym ruszyłem w stronę Marszałkowskiej dla wyszukania noclegu. Szliśmy jakiś czas razem, a Widłak, pochylając ku mnie głowę, zaczął mi naraz mówić półszepem.

— Chciałem się pana o jedną rzecz zapytać! Bo to pan ma pewnie znajomość z djabeł, pan jest uczony człowiek, to mi pan wytłumaczy. Mam ja, proszę pana, takie gorzkie myśli, że ich księdzu boję się powiedzieć. Bo dla czego djabeł jest taki mocny, że nawet od Boga mocniejszy? Djabeł łowi dusz więcej, a Bóg mniej; piekło jest aż przepelnione, a w raju pusto. Więc jeżeli Pan Bóg o tym

wie, dla czego na ludzkie dusze tyle zsyła obłąkań? Bo jeżeli Pan Bóg wie, że ja będę grzeszył, to już jakbym grzeszył z woli samego Boga. Bo wszystko jest w ręku Boga — i djabeł jest w ręku Boga — i wszystko, co djabeł robi, to robi za pozwoleniem Boga. Grzech jest też z woli Boga — i samego diabła stworzył Bóg.

— Ale przecież to były zbuntowane anioły.

— Albo to o tym Bóg nie wiedział? Tak samo wiedział. I te anioły — to były buntowszczyki, bo taka była Jego święta wola. Widać, że Pan Bóg uważał grzech za potrzebny. To i djabeł jest potrzebny, a taką ma służbę katowską, tyle co strażnik ziemski, albo dozorca w hareszcie... Toć jeżeli bez grzechu świat być nie może, bo Pan Bóg sam wyznaczył osobne gospodarstwo do tego — to jakże Pan Bóg będzie karał za grzechy?... To mi się zdaje dziwne u Boga...

Słuchałem ciekawie, bo mię interesował wielce sam fenomen tych rozmyślań sceptycznych.

— Zapewne — mruknąłem — to byłoby dziwne.

— A widzi pan... Więc o co mi idzie? Kto jest mocniejszy, djabeł czy Bóg, bo mi się czasem wydaje, że na ziemi więcej widać diabła, niż Boga. Ile to tego grzechu, a biedy, a ciemnoty, a chorób! Ile nieszczęść i lamentu! Choćby na tej jednej ulicy! Ja tu, panie, wiem, co się za każdym oknem dzieje; kto płacze, a kto się śmieje, kto się rodzi, a kto umiera... Ja wszystko wiem — i myślę, że na świecie to jest więcej żałości i biedy, niż grzechu... Czy to warto się rodzić, czy to warto żyć, czy to

warto umierać, żeby na wieczne czasy siedzieć w piekle? Ale to wszystko wola Boża. Jednak przecież tu, jak policja złapie grzesznika, to go sąd skazuje na 10 lat — na 20 lat — na posilenie — ale nie na wieczne czasy. Tak mi się to czasem widzi, że choćby człowiek nie wiem jak nagrzeszył — to cóż są grzechy wobec Boga? Czy On nigdy nie przebaczy? Otóż ja tego nie mogę zrozumieć! Kto mocniejszy? Bo ja to sobie tak myślę: albo djabeł jest mniejszy od Boga — to wszystko się mieści w Bogu, więc i djabeł jest w Bogu; albo djabeł jest większy od Boga, ale na to rozum nie pozwala, albo jest równy Bogu, a wtedy co? Bóg i djabeł — to jedność... Tak mi się zdaje — a nie mogę sobie wyprzeświadować, jak to jest naprawdę... I jeszcze się lękam, czy nie jestem heretyk — i czy nie będę potępiony, bo to czuję, że mi sam djabeł te myśli podsuwa...

Pytanie Widłaka wprowadziło mnie w kłopot. Nie chciałem w tej sprawie z nim rozmawiać; byłem więcej sceptykiem, niż on.

— Nie jestem księdzem. Poprostu radziłbym wam iść do spowiedzi. Idźcie do księdza N. (dałem mu adres znajomego, który był wytrawnym djalektykiem), ten was uspokoi. To bardzo ludzki człowiek. Ale powiedzcie mi, ojcze, czy wy nie żyjecie zbyt samotnie? Macie żonę — dzieci?

— Nie, proszę pana, jestem sam jak palec. Jenó (tu znowu zaczął szeptać) powiem panu, że właśnie już nieraz myślałem, jako źle jest samotnemu człowiekowi, a właśnie ta Bronka, co to sobie

zbiera na magazyn — to jest pocziwości dziewczyna — i już nawet kilka razy mówiłem z nią o tym... Ona mówi, że potępiona, a że ja dla niej za święty, ale dla czegożbym nie miał przebaczyć zbłąkanej wszetecznej sierocie, com ją sobie dycht dopasował do serca?...

Chciałem go błogosławić na te gody, alem się powstrzymał i powiedziałem:

— Niezła myśl! Ale czas chyba iść spać, a jeszcze nie wiem, gdzie będę spał. Bądźcie zdrowi.

Była godzina blisko piąta. Słyszeć się dały długie świsty fabryczne. Na świecie było zupełnie białe. Fury zieleniny, mleka i drzewa płynęły z za rogatek ul. Marszałkowską. Coraz częstszy przechodnie śpiesznym krokiem sunęli ulicą. Miasto budziło się do życia. Czas mi nareszcie udać się na spoczynek.

Zadzwoniłem u drzwi najbliższego hotelu.

---





TESTAMENT.



Pan Seweryn siedział w swej jadalni starokawalerskiej — przy herbacie wieczornej i kończył zapiski na dzień jutrzejszy.

„W sobotę, o godz- 7-mej, być na Posiedzeniu Towarzystwa Spraw Bezużytecznych“.

Gdy już wskazania zajęć sobotnich były systematycznie zanotowane — p. Seweryn wziął do ręki „Kurjer Wieczorny“. Przerzucił swym zwyczajem bardzo szybko artykuł wstępny, przegląd polityczny, telegramy, feljeton, wiadomości bieżące — i odrazu dziennik otworzył na tej stronie, na której mieszczą się zawiadomienia o ślubach i nekrologja, gdyż wogóle najczęściej go zajmowało — kto się ożenił i kto umarł w Warszawie.

I naraz oczy jego padły na następujące słowa: „Ś. p. Leokadja z Orczyków Dunoyer, wdowa po pułkowniku N. ułańskiego pułku gwardji, po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach zmarła w wieku lat 51“. Dalej była wzmianka o dniu i godzinie pogrzebu: nikt na ten obrzęd nie prosił. Zmarła widocznie krewnych nie miała: ktoś obcy pewnie zajmował się jej pogrzebem, choć nie była to osoba nieznaną w mieście; owszem, imię jej często figurowało, zwłaszcza w rubryce dobroczynności.

P. Seweryn, przeczytawszy to nazwisko, aż się podniósł na krzesło.

— Tam do licha! Leośka umarła? Nagle! Ktoby to myślał! Przyszedł na nią czas! Prędko! Szelma była, bo była, ale miała szyk, co się zowie! I gdyby nie to... Jak to lata płyną! 51! No-no! Ileż to czasu minęło od...

Zaczął rachować w myśli. Dwadzieścia trzy lata! Minęło — jak z bicia trzasł. Miała wtedy 28 lat, on był od niej o ośm lat młodszy. Zbliżał się do pełnoletnia — i miał wkrótce być usamowolniony przez opiekę... Chwili tej wyczekiwał z niecierpliwością, gdyż miał otrzymać należną mu po rodzicach sumę 30.000 rubli, o której nieraz marzył cudownie. Co to możnaby zrobić za taką sumę! Czasami roił, aby wyjechać w podróż naokoło świata — i poznać całą kulę ziemską. Albo znów chciał założyć wielką gazetę, któraby miała sto tysięcy abonentów, albo właśnie rzucić się na drogę przemysłową: ufundować pierwszą w kraju fabrykę zegarków, o czym wówczas szeroko pisano. Albo wyjechać na naukę do Heidelberga czy Paryża: studjowałby naprzykład ekonomję polityczną, albo wstąpiłby do szkoły rzeźbiarskiej. Albo znowu kupić majątek ziemski, albo jeszcze lepiej przedtym zrobić wyprawę do Monte-Carlo — rozbić bank, z milionami wrócić do kraju i rozpocząć nową erę życia kulturalnego. Czasami jeszcze dalej unosiły go marzenia: wyjechać do Chin, zreorganizować armję, wyrobić sobie wpływy na dworze bogdychana, przy pomocy wojsk chińskich opanować Syberję, zało-

żyć tam samodzielne państwo i stamtąd zaszachować sąsiednie imperjum.

Marzył tak rozmaicie. Wreszcie fundusz spadkowy otrzymał — i po niezbyt długich rozmyślniach złożył wizytę Leokadji Orczykównie, znanej swego czasu kokocie warszawskiej, jednej z najślawniejszych dam półświatka.

Nie był u niej po raz pierwszy; ona go wtajemniczyła w arkana miłości. Była to pierwsza kobieta, która na nim zrobiła potężne wrażenie, gdyż nie liczył kuzyneczki swojej Zosi, którą kochał jako gimnazista, a która już zamąż była wyszła i miała troje dzieci: stała się z niej tłusta baba.

Przy wszelkich rojeniach o podróżach, studjach, dziennikarstwie, przemyśle, o Monte-Carlo, Chinach i Syberji — zawsze wypływała mu, niewiadomo skąd, postać Leokadji — jako barwny cień, górujący nad wszystkim, pełen życia, śmiechu, pocałunków, rozkoszy, uroku...

Młodzińcem był i krwi gorącej; ona zaś była tak foremna, tak *kallipygos*, jak mówią poeci; tak bogate miała popiersie, tak kasztanowate włosy, taki głos świergotliwy, takie żywe błękitno-ogniste, uśmiechnięte oczy, że nie miał siły opierać się jej wdziękowi... Na czerwonych jej ustach krążył sardoniczno-dobrotliwy uśmiech, odkrywający śliczne, białe, zdrowe zęby...

Miała przytym niemały rozum życiowy — instynkt raczej, że choć w jej wykształceniu były nadzwyczajne luki — to jednak rozmowę umiała prowadzić interesująco i żywo... Natrafiła właśnie

na Seweryna, kiedy ten naiwnym i pełnym zdumienia okiem stanął wobec życia i szukał drogi, którą miał iść... Nauka — przemysł — sztuka — Chiny — Leoska! Co za powikłanie! Ale żadna z tych bogiń nie miała tyle wdzięku i — i tyle potęgi, co ta Leokadja...

Zwyciężyła! Zwyciężyła tym, że gdy wszystko było zagadkowe i niepewne, w niej jednej znajdował młody człowiek bezpośrednie rozwiązanie (raczej odsunięcie) tych trosk, które w istocie najczęściej go poruszały. Zwyciężyła go równowagą każdego giestu i słowa — i spokojem niepoczytalnej pantery. Ona jedna była niewątpliwa. Ile razy zjawiał się u niej, wszystko wydawało mu się jasne i proste — wszystkie niepokoje znikwały — i stało mu się oczywistym, że tu jest właśnie jego przeznaczenie...

Nie było mu tajnym, że on — Seweryn — wcale nie jest jedynym jej przyjacielem. Leoska wcale przed nim tego nie ukrywała — i on nie był o jej cnotę zazdrosny. Znalazł się na tak szczególnej linii życia, że i to wydawało mu się zupełnie naturalne, jasne i proste. Przyzwyczaili się do siebie. Ona z taką łatwością wyznawała mu miłość, a robiła to tak filuternie i po kociemu, że on — w jej obecności — wierzył w jej miłość.

Dopiero później ogarniało go zwątpienie. Miłość jego nic a nic nie przypominała mu sentymentu, jaki odczuwał przed pięciu laty do Zosi; również nie była nic a nic podobną do tych przygód, jakie wyczytał w powieściach; była zupełnie

inna, bez tych ciągłych niepokojów, których oczekiwał, bez tego anielstwa i tych „godzin cudu“, o których mówią poeci.

W duszy jego panował, rzekłbyś, wielki spokój; cudów żadnych nie odczuwał, ale, mimo wszystko, Leokadja tak go oczarowała, że nawet na chwilę nie przypuszczał, aby mógł inną kobietę pokochać.

Prawie w tym samym czasie, kiedy dochodził pełnoletnia, jedna z jego ciotek zapoznała go z jakąś panienką i bardzo go zachęcała do małżeństwa. Paniątka była to osiemnastoletnia, rumieniąca się ciągle, trwożliwa i małowólna dziewczyna, czysta jak lilja, ale — rzecz [szczególna — jej urok niewinności znacznie słabiej oddziaływał na niego, niż urok zepsucia, jakie wiało od Leokadji.

I tu zwyciężyła Leokadja.

To też, kiedy uzyskał swoje 30 tysięcy, Seweryn zaproponował swojej kochance wyjazd do Paryża — pod warunkiem wierności na przeciąg pożycia wspólnego, którego czas był nieokreślony... Oboje nie mówili ani słowa o wiecznej miłości...

Wyjechali. Pobyt w Paryżu był rozkosznym snem, ale snem niedłuższym nad trzy miesiące.

Seweryn najął Leokadji piękny *hôtel* na Rond-Point pól Elizejskich, kupił jej powozik i konie, trzymał stałą lożę w Operze i Komedji, a luksusowe urządzenie domu, zbytkowne *parties de plaisir* poza miasto, kuchnia nadzwyczajna itd. — wszystko to razem sprawiło, że po trzech miesiącach takiej zabawy, gdy Seweryn raz zajrzał do pugilaresu, znalazł w nim ostatnie pięćset rubli...

Pierwszy raz w życiu zaczął się zastanawiać nad swoją przeszłością, a zwłaszcza nad temi trzema miesiącami, które minęły jak jeden dzień — i nad tą schedą po rodzicach, która się rozplynęła i rozwiała w nicość.

Trzeba dodać, że na parę dni przedtem młody człowiek usłyszał, mimowoli, rozmowę Leosi z woźnicą, którego przyjął do służby. Był to człowiek bardzo uczynny, który obiecywał Leosi zapoznać ją z pewnym wicehrabią brazylijskim, bogatym, jak Brazylijczyk z operetki; ona nader przychylnie go słuchała, dodając, że „ten pan“ (niby on, Seweryn) już jest *au bout* i niedługo nie będzie miał nic... Znajomość więc z wicehrabią była dla niej wysoce pożądaną i zupełnie na czasie...

To jawne złamanie warunku wierności i smętna próżnia pugilaresu — do żywego wzburzyły Seweryna.

Tegoż wieczora, bez pożegnania, opuścił Paryż — i, wypłukany niemal na czysto — wrócił do Warszawy. Po drodze napadł go stały paroksyzm rozmyślania nad tym, co zaszło między nim a Leokadją; tragicznie malował sam przed sobą swój upadek moralny i materjalny, a właściwie naprzód materjalny, a potem dopiero moralny...

— Bazarnica — mówił sam do siebie, nie bez patosu — życie mi złamała...

Przypominał sobie teraz jej kłamstwa, jej trywjalność, chciwość, rozrzutność, zepsucie...

— Zdeprawowała mnie. — Ach, gdyby spocząć



u jakiej czystej dziewicy! Czemużem nie posłuchał ciotki?...

Nędza mię czeka. — Co ja zrobię?

Stało się. Czuł, że powoli w jego serce wsiąka gniew i nienawiść do tej kobiety, co go poprostu wysłała do szczytu. Wobec nędzy, którą widział przed sobą, czy mógł nawet myśleć o uniwersytecie lub szkole rzeźbiarskiej, o założeniu fabryki, lub dziennika, o podróżach — które są tak doskonałym środkiem rozwoju umysłowego, wreszcie o wyprawie do Chin, z którą poprostu związaną jest cała przeszłość tego kraju!

Wszystko stracone. Trzeba dodać, że nienawiść do Leoški nie odrazu w jego sercu osiągnęła swoje maksimum. Powoli dopiero, w miarę coraz większych przykrości życiowych — zmieniała się ona jak gdyby w oś jego istnienia. Cokolwiek się stało, w jego umyśle łączyło się z postacią tej kobiety — i z ich pobytem w Paryżu.

Długo borykał się z losem, aż nakoniec po wieloletnich wysługach w fabryce grzebieni osiągnął jaki taki dobrobyt. Miał 1500 rubli rocznie, ale czterdziestka była za pasem i nieraz w samotności rozmyślał o małżeństwie.

Nie udawało mu się jednakże. Biała lilja, którą mu swatała ciotka, wyszła zamąż; w krainie pannieńskiej wieść nie tyle o jego romansie z Leokadją, ile o stracie majątku — rozeszła się lotem błyskawicy — i bardzo obniżyła jego walor: był teraz marnym grzebieniarzem. Zato panny bezposażne marzyły o nim — i niejedno otrzymał pismo ró-

zowe i rzewne, niejedno spojrzenie gorące, niejedno uściśnienie ręki... Ale to go nie wzruszało: szukał gotówki, dużej gotówki...

I tak mijały lata.

O Leokadji dochodziły go wieści z różnych stron. Znalazszy się w Paryżu sama jedna — rozpoczęła szerokie życie, jako *femme galante*. Stangret okazał się pośrednikiem dyskretnym i zręcznym.

Po wicehrabi zjawił się lord angielski, po nim *un prince russe*, potym ambasador sjamski i t. d. — Zresztą Leokadja żyła zawsze w poliandrii — i miała zwykle paru przyjaciół.

Żyła bogato, wydawała wiele, ale za mądrą poradą stangreta — znakomitą część swoich skarbów składała w banku. Po pięciu latach pobytu w Paryżu, wróciła do Warszawy — jak mówiono — z wielkim kapitałem. Podobno nabrała wykształcenia i manjer wielkiej damy, wiadomo było, że prowadzi życie zamknięte i ciche, burżuazyjne — i tylko czasami wyjeżdżała już to do Nicei, już do Biarritz lub gdzieindziej, skąd powracała, jak mówili złośliwi, z bogatym łupem. Jednego roku wróciła do Warszawy zamężna; mianowicie poślubił ją bawiący w Biarritz dla kuracji N. pułku ułańskiego gwardji pułkownik, Borys Hermogienowicz Dunoyer, człowiek lat 63, bardzo bogaty. Ten z pierwszego wejrzenia zakochał się w Leokadji i w jednej chwili sprawę postanowił. Po dwóch latach pożycia Dunoyer umarł, a wdowa odziedziczyła cały jego majątek, wynoszący blisko pół miliona.

Odtąd życie Leokadji osłania cisza tajemnicza.

Wyjechała, niewiadomo dokąd — i dopiero dzie-  
sięć lat temu wróciła znów do Warszawy. — Za-  
jęła się wychowaniem panien, urzędowała u siebie  
wieczory muzykalno-wokalne, zajmowała się filan-  
tropją, popierała różne instytucje dobroczynne.

I naraz — p. Seweryn przeczytał jej imię w ne-  
krologu Kurjera Wieczornego.

— Pięćdziesiąt jeden lat... Ja miałem wtedy  
dwadzieścia... Zwichnęła moje życie. Gdyby nie  
ona...

Właściwie p. Seweryn nie wiedział, coby było,  
gdyby nie ona, ale wyobrażał sobie, że byłoby  
coś nadzwyczajnego.

Machinalnie odwrócił stronicę dziennika i ujrzał  
rubrykę: „Ostatnie wiadomości“, niżej zaś tytuł:  
„Piękny testament“:

„Dnia wczorajszego — pisał Kurjer — zmarła  
w naszym mieście Leokadja Dunoyer, jedna z naj-  
zaciejszych matron, znana szeroko w sferach fi-  
lantropji. Cały swój znaczny majątek (koło 700.000  
rubli) zapisała na cele publiczne, jako to: (tu na-  
stępowało szczegółowe wyliczenie)“.

P. Seweryn czytał z pałającą twarzą: mało go  
obchodzili różni paralitycy, szpitale, sieroty, czy-  
telnie publiczne, ale wstrząsnęło nim i skronie mu  
zaczęły pulsować, gdy przeczytał ostatni kodycył  
testamentu:

„30.000 rubli — Towarzystwu Spraw Bezuży-  
tecznych“.

Tu nie mógł już wytrzymać. Jednym haustem  
wypił ostygłą herbatę; przeczytał raz jeszcze, jakby

chcąc się przekonać, czy to nie omyłka, zapalił papierosa i zamyślony wstał z krzesła...

Oko mu błysło dziwnym ogniem. Szybko wypalił papierosa i niecierpliwie rzucił go na ziemię. Poczym zaczął szerokim krokiem chodzić po pokoju — ręce włożył do kieszeni — i naraz śmiać się począł głośno i gorzko — tak, iż sam sobie wydawał się Mefistofeilesem.

— Naszemu Towarzystwu zapisała 30.000 — Cha-cha! 30.000! Moje — moje trzydzieści tysięcy! Co za ironja! Co za wściekła — przekłeta ironja! Sam djabeł jej to poradził!

I znów chodził po pokoju tam i z powrotem.

— Nie — to niemożliwe! Matrona — jedna z najzacniejszych matron! Podły — przekupny dziennikarzu, wiem ci ja, co to za matroństwo!

Nienawidził ją teraz bardziej, niż kiedykolwiek.

— Czy to umyślnie przeciw mnie skierowane? Czy pamiętała o mnie? Czy mnie chciała nagrodzić? Nie — o tym chyba i mowy niema. Zapisała naszemu towarzystwu — pieniądze — znaczne pieniądze — trzydzieści tysięcy — Cha-cha! Z jakiego źródła pochodzą te pieniądze? Czyż nikt o tym nie wie? Ale ja wiem! Z prostytutki. (To wyrażenie bardzo mu się podobało). Tak, z prostytutki! Gdybym jej nie był spotkał w życiu, ożeniłbym się z Joasią albo z Florką — i byłbym dziś człowiekiem wybitnym, wpływowym... Miałbym stanowisko, odpowiednie memu urodzeniu i edukacji... A tak — wykolejony, zdeklasowany, upadły... Parobek ohydneho szwaba — nędzny grzebieniarz...

I to wszystko przez nią — przez tę przeklętą kobietę! Syrena, co mię wyssała do szczętu i do ruiny doprowadziła! I jeszcze z za grobu „duchowi memu daje w pysk!“

Ta cytata ze Słowackiego wydawała mu się też bardzo zręcznie dobraną. Coraz żywiej podniecał sam siebie.

— Nie, do tego dopuścić nie można! Ja ją znałem — ja wszystko wiem — wszystko powiem! Trzeba, aby ktoś stał na straży czystości obyczajów, na straży honoru! Zdemaskuję obłudę tej dobroczynnej matrony! Nasze Towarzystwo nie może i nie powinno przyjąć tych skalanych funduszków.

Tu zatrzymał się na środku pokoju, brwi namarszczył, ręce założył jak Napoleon I., jedną nogę wysunął naprzód — i już roił, jak, przenikniony świętym oburzeniem — stoi na zgromadzeniu jutrzejszym Towarzystwa — i słyszy, jak prezes czyta:

— Panowie, mam do zakomunikowania wieść nader ważną i dla naszego związku bardzo cenną. Oto ś. p. Leokadja Dunoyer — prawomocnym testamentem zapisała naszemu Towarzystwu 30.000 rubli.

Wówczas on, Seweryn, wstanie i powie: — Proszę o głos, — a gdy mu prezes głosu udzieli, taką rzecz wygłosi:

— Panowie! Nie jestem urodzonym mówcą (skromność nie zawadzi) i rzadko kiedy głos zabieram w tym czcigodnym zgromadzeniu. Bywają jednak chwile tak wysokiej wagi moralnej, że i niemi są powołani, by mówić. Taka dziś chwila na mnie

przyszła — i oto pozwalam sobie głos zabrać w celu ochrony moralnej tego szanownego stowarzyszenia. Proszę o przebaczenie, jeżeli będę mówił bez ornamentów; jestem człowiek prosty, czytałem w życiu nie jedno, ale nie potrafię tak dowcipnie, jak nasz kolega Miziorek (ostrego języka Miziorka trochę się lękał Seweryn: była to *captatio benevolentiae*) cytować pisarzy klasycznych i romantycznych. Jak mówię, jestem człowiek prosty i na skromnym stanowisku, ale kto wie, czy nie miałem wyższych przeznaczeń. Tak jest, panowie! w młodości swojej miałem godzinę, kiedy wielki, piękny, szeroki świat otwierał się przede mną. Złośliwy los jednakże postawił na mojej drodze istotę fatalną, która zwichnęła mi życie... Zresztą nie będę mówił o sobie: jestem dziś — zbiegiem smutnych okoliczności — figurą zbyt nikłą, abym mógł sobie na taki luksus pozwolić. Mam zamiar mówić o naszym stowarzyszeniu, o jego powadze moralnej wobec społeczności — o tym wreszcie, co nasz czcigodny prezes tylko co przeczytał... Słyszeliście, panowie, że niejaka Leokadja Dunoyer zapisała testamentem 30,000 rubli na korzyść naszego związku. Panowie! mam nadzieję, że w tym gronie znajdują się sami ludzie uczciwi. — Jako związek ludzi uczciwych, nie wątpię, że pieniędzy, z tego zapisu pochodzących — związek nasz nie przyjmie. (Zdumienie powszechne. „Ha-ha! Ho-ho!“ Kaszlanie. „Co mu przyszło do głowy? Taka znaczna suma!“ Ludzie są podli).

— Kto cię rodzi, dukaciku? (tak mówił dalej

w myśli swej p. Seweryn). Przypomnijmy sobie to dawne porzekadło naszych ojców. Zastanówmy się, z jakich źródeł pochodzi majątek zmarłej, z jakich źródeł powstały te jej bogactwa, których część nam dziś daje? Z jakich źródeł? Mamże o tym głośno powiedzieć, co niejednen z was już sobie w myśli poszeptał (wstęp dyskretny: *très noble*). — Któż tu — z ludzi nieco starszych — nie wie, kim i czym była nieboszczka? (Jedna z najzacniejszych matron, cha-cha!) A jeżeli sami nie macie odwagi tego powiedzieć — to ja wam powiem (tu wejdzie na *fortissima voce*). Była prostytutką — była heterą — kobietą publiczną! (Głosy oburzenia — Co on gada? Niech przestanie!) Prawda, że zdobyła wielkie fundusze, ale czym była, tym była. Złodziejem jest zarówno ten, co kradnie grosz, jak i ten, co kradnie milion.

Prostytutką jest ta, co pod płotem umiera śmieciarką, jak i ta, co, zebrawszy wielkie pieniądze, zostaje wielką damą, filantropką i matroną! (Dosyć — dosyć! Ma rację! prawda!) Więc jakże, panowie — my, zgromadzenie ludzi uczciwych, czystych, szlachetnych (trzeba durniom pochlebiać) — my przyjmujemy te pieniądze, zrodzone z rozpusty, z grabieży młodych, niedoświadczonych chłopców, którzy mieli wyższe przeznaczenie, a których życie zostało zwichnięte? Pieniądze zrodzone z wyzysku głupoty i zwierzęcości ludzi? Pomyślcie, ile w tych pieniądzach jest łez, wylanych przez siostry, żony, matki, córki tych obłąkanych, co się dali opętać tej hurysie, tej heterze,

tej syrenie? Nie — panowie! Towarzystwo nasze nie może przyjąć tego złota, skalanego grzechem! Panowie, podaję wniosek. Odrzucamy zapis Leokadji Dunoyer. Proszę poddać pod głosowanie.

Rzęsiste oklaski. Zachwyt powszechny.

— Niech żyje Seweryn! Doskonale powiedział! Powaga moralna naszego związku nie pozwala na przyjęcie tych pieniędzy!

Widzenie to czarowało go. Przekonał oczywiście wszystkich. Był to prawdziwie piękny moment jego życia. Czuł się bohaterem.

— Dziękuję wam, panowie! Spodziewałem się po was męskiego hartu i prawdziwej szlachetności ducha. (Uklonił się z godnością i pogładził wąsa).

Nagle (co już oddawna Seweryn przeczuwał) odezwał się Miziorek, jeden z członków Towarzystwa, stały oponent wszystkich wniosków niepopularnych.

— Proszę o głos — i dalej mówił tak ów sofista. — Panowie, nie zgadzam się na wniosek p. Seweryna, a to dla trzech powodów: jeden natury czysto osobistej, jeden — ogólnospołecznej, jeden powód finansowy. Po pierwsze rzecz osobista. *De mortuis nil nisi bene*. Leokadję Dunoyer będzie sądził Bóg — my nie mamy prawa jej sądzić. To, co mówi p. Seweryn, ma charakter plotki i nic nas nie upoważnia do bezwzględnej wiary w jego słowa. Nie zamierzam ubliżyć Sz. mówcy, ale każdy się zgodzi, że niema sądu na świecie, któryby potępiać miał oskarżoną na zasadzie twierdzeń jed-



nego świadka. P. Seweryn mówi, że wszyscy wiedzą to i owo o zmarłej, a ja powiadam, że nikt tu nie wie nic, prócz pogłosek, a w sprawach konduity kobiecej, jak to mówi w jednej ze swych sztuk Dumas-syn — trzeba widzieć, widzieć i jeszcze widzieć — i dopiero wtedy rozumiesz, żeś nic nie widział i nic nie wiesz. Zgodnie z wnioskiem p. Seweryna, przedtym należałoby przeprowadzić badanie śledcze nad życiem zmarłej, a czyliż naszą to jest rolą, czy jesteśmy w rzeczy tej uprawnieni i kompetentni? czy takie badanie godzi się z naszą powagą moralną, czy nam poprostu wypada to robić? I cóż my wiemy o zmarłej? — Wiemy to, co przedziera się z pod nietykalnej zasłony życia prywatnego — na forum publiczne. Wiemy, że była prawowicie, podług obyczajów, poślubioną swemu małżonkowi; wiemy, że od chwili, kiedy owdowiała, oddawała się filantropji i zacnej pracy społecznej. Któż ją może za to potępić? któż może odrzucić czyjaś ofiarę dla tego tylko, że o nim ktoś jakieś nieokreślone i niedowiedzione rozsiewa pogłoski.

A zresztą przypuśćmy, że to, co mówi p. Seweryn, jest prawdą; przypuśćmy, że istotnie zmarła była jakiś czas kapłanką Afrodyty. Była nią Aspazja, Kleopatra, Małgorzata z Nawary, Lukrecja Borgia, Djana de Poitiers i wiele najświetniejszych kobiet, co tworzyły historję. Jeżeli doszła do tak wysokiego stanowiska, widać, że była gienjuszem w swoim rodzaju. Była uciechą życia nie jednemu zrozpaczonemu; była jego rozkoszą, uśmiechem,

radością... Niewolno jej potępiać. Jeżeli przytym kilku głupców straciło majątek, życie i sumienie — to trudno. Napewno ci głupi zginęliby podobnież na siedem innych sposobów.

Weźmy teraz tę samą sprawę ze stanowiska społecznego. Świat nasz tak jest urządzony, że musi być część kobiet prostytutek, aby inne mogły być uczciwe. Ktoś nie śpi, aby ktoś mógł spać! Ktoś grzeszy, aby ktoś mógł nie grzeszyć. Kobieta potępiona — ześrodkowuje w sobie, akumuluje niejako potencjalne grzechy kobiet uczciwych, grzechy naszych żon i córek. Ona jest poprostu tarczą cnoty innych kobiet — ona się dla nich poświęca. Mówicie, potępiona? Nie — ofiara. Nie tylko religja, ale rozum poprostu, głębsze wniknięcie w zawily labirynt fenomenów społecznych — nakazują przebaczyć Marji Magdalenie. Kto bez grzechu, niech pierwszy na nią rzuci kamieniem. P. Sewerynie, podnieś kamień.

Oto, com chciał rzec, a nakoniec dodam słowo — niby cyniczne, ale mądre słowo Wespazjanowskie. Panowie, pieniądz nie ma zapachu, albo raczej wszelki pieniądz pachnie źle: tak poucza ekonomja nowoczesna. Do czego dąży ewolucja powszechna ustrojów nowożytnych? Do rzeczy ostatecznej: do zniesienia pieniędzy. Pieniądze umarłej — mówicie — pochodzą ze złego źródła; ale skąd pochodziły pieniądze, które ona zogniskowała u siebie? Pewno z również nieczystego źródła? Skąd pochodzą nasze własne dochody? Zbadajmy sumienie... I tu raz jeszcze powiem: kto jest bez

grzechu... Panowie, Wespazjan mówił: nie wachajmy pieniędzy. Stawiam wniosek: nie odrzucamy zapisu Leokadji Dunoyer.

— Brawo, brawo! — Grzmot oklasków, wobec których oklaski mowy Seweryna były szeptem.

Seweryn czuł, że entuzjazm był na sali większy. Dokoła niego robiła się pustka. Jeżeli miał zwolenników, to ich liczba ogromnie zmalała. Chciał jeszcze coś mówić, ale się zawahał i tylko poprosił o głosowanie.

Wniosek Seweryna upadł większością 73 głosów przeciw 7.

Rzecz osobliwa. Seweryn poczuł nagle tajemną ulgę, jak gdyby cieszył się z upadku własnego wniosku, choć zewnętrznie wydawało mu się, że właśnie pragnął zwycięstwa. Bądź jak bądź, mowa jego była majestatyczna i szlachetna.

— Nędzne dusze — mówił do siebie. Nikt mię nie zrozumiał. Mniejszość tylko miałem za sobą. Zawsze wysokie myśli są tłumom niedostępne. I tak zbyt wiele głosów było za mną... Gdyby nikt! Sam jeden przeciw wszystkim — to piękne!

Zaczął znów przechadzać się po pokoju i rozmyślać nad mową Miziorka. Był istotnie zbyt zawzięty na Leokadję.

Prawda, że stracił przez nią majątek, ale kto wie, czyby mu ten majątek przyniósł korzyść. Ostatecznie żył, nie zginął; poznał życie, co jest najtrudniejsze ze wszystkiego; dorobił się stano-

wiska, skromnego co prawda, ale bądź jak bądź — ludzie go szanowali. Ona zaś — była, jak wiele kobiet tegosamego rodzaju, a życie jej udało się lepiej, niż jemu. Trudno, stało się. Był wówczas bardzo młody i niedoświadczony: nie on pierwszy i nie ostatni.

Z drugiej strony ten zapis — to przecież jego własne 30.000 rubli. Czy nie możnaby tak pokierować sprawą, aby one w całości wróciły do niego. Dowieść tego? niepodobna. Wszelkiej zasady prawdy — brak. Jego pieniądze gdzieś się rozplynęły, a to był zupełnie inny kapitał — kto wie czyj — może poprostu majątek wdowy po pułkowniku.

A jednak, czy właściwie nie należy mu się — jeżeli nie wszystko, to przynajmniej część? Oczywiście nie wielka część, ale, dajmy na to, połowa, trzecia część, dziesiąta... Nie, i tego nie można... Jedyna forma uzyskania części tej sumy — to pożyczka, a Towarzystwo nigdy nie udziela pożyczek wyższych nad 1,000 rubli.

Zaczął teraz marzyć: tysiąc rubli mając, możnaby pojechać do Szwajcarii, do Włoch...

A więc...

Ostatecznie wniosek jego został odrzucony. Byłoby dzieciństwem trwać w opozycji!

Siadł przy biurku i napisał:

„Do Szanownego Zarządu T. S. B. Upraszam niniejszym, aby Sz. Zarząd zechciał udzielić mi sumy rubli 1,000 (tysiąc) na potrzeby osobiste z ka-

pitałów, zapisanych przez czcigodną i szlachetną panią Leokadję Dunoyer“.

Postanowił list wysłać z samego rana do sekretarza Towarzystwa, tak iż na posiedzeniu wieczornym będzie mógł już mieć odpowiedź.

---



SCHADZKA.





Kiedy na człowieka czyha nieszczęście, to już ze wszystkich stron. Nigdy może ta prawda nie dała mi się tak we znaki, jak wczoraj. Zdawałoby się, że jakieś złowrogie bóstwo wyteżyło wszystkie swoje siły, aby mnie zgnębić do szczętu.

A było to tak. Pewien bardzo tkliwy stosunek łączy mnie z panną Iloną Serblay, z pochodzenia Wiedenką, która obecnie zajmuje stanowisko nauczycielki u państwa Mirkowskich. Bywam czasami w tym domu, gdyż Mirkowski — to mój dawny kolega szkolny.

U nich też zapoznałem się z Ilką. Później spotkałem ją kilkakrotnie na ulicy; bywała już to z dziećmi, już bez dzieci. Ostatecznie takeśmy sobie przypadli do gustu, że zaczęliśmy sobie naznaczać pozaprogramowe godziny spotkań w Ogrodzie Botanicznym, na Powązkach, albo na dworcu kolei Wiedeńskiej.

Opisywać Ilki nie będę. Była to czarowna Wiedenka, pół-kotka, pół-dziecko, pieśczośliwa, dobra, naiwna i zuchwała zarazem. Lubiła muzykę, lody, czekoladę i czerwone wstążki. Mieszały się w niej różne rasy, składające ludność wiedeńską: oficjalnie

była Niemką, ale miała w sobie więcej krwi węgierskiej, kroackiej, rumuńskiej i ormiańskiej, niż niemieckiej — i ta mieszanina tworzyła typ bardzo oryginalny, ognisty i pełny życia.

Bardzośmy się polubili — i tylko wyznaję, że niebardzo byłem pewny co do swoich zamiarów, gdyż chwiały się one wciąż — i bywały czasem wielce poważne, a czasem wielce niepoważne.

Dość powiedzieć, że dwa dni temu posłałem jej pocztą miejską list następujący (aby nas nie rozumiano, korespondowaliśmy po węgiersku):

— *Legedesb lelkem! Ked. Hat órakor — Bécs paljaudvaron. Csokolom. Széretlek.*

Poczym następował zygzak, oznaczający moje nazwisko.

W przekładzie list ten powiada:

— Najśłodsza duszo moja! Wtorek — o godzinie szóstej — na dworcu Wiedeńskim. Całuję ciebie. Kocham ciebie.

Była to już czwarta nasza schadzka. Trzy poprzednie trwały po dwie godziny — i w sercu mym pozostawiły rozkoszne wspomnienie.

Trzeba pamiętać, że Ilona musiała bardzo dyplomatycznie zachowywać się u państwa Mirkowskich, gdyż bardzo dbała o pozory i nie chciała narażać swej opinji. To też pierwiośnie naszego romansu rozwijało się powoli i wśród tysiąca niebezpieczeństw.

Pomimo przeszkód niesłychanych, pierwsze nasze spotkania cudownie się udały. Mniej więcej raz na tydzień. Za pierwszym razem przyniosła mi he-

ljotrop, za drugim — tuberozę, za trzecim różę herbacianą. Ale czwarta — wczorajsza schadzka! Bogowie, jakież popełniłem grzechy, żeście mnie tak pokarali!

Siedziałem w domu i kończyłem artykuł do „Korkardy“. Była godzina kwadrans na szóstą. Miałem zamiar na dwadzieścia przed szóstą wyjść z domu. Robota moja była gotowa. Zacząłem więc powoli się kostjumować, aby być gotowym do walki o tę godzinę szczęścia. Miałem zamiar wyjść zaraz i wstąpić gdzie na koniak.

Naraz zadzwoniono. Otwieram: wchodzi pan Jerzy N. ze swą olbrzymią małżonką — oboje ludzie najmilszy, ale tak nie w porę...

— A bodajecie zapadli się w ziemię — pomyślałem w duchu, zarazem głośno mówiąc:

— Co za miła niespodzianka! Jakżem szczęśliwy! Czemuż mam przypisać ten zaszczyt?

Jako nieżonaty, bardzo rzadko bywałem rewidzowany, zwłaszcza przez panie. Sądziłem, że musiało zajść coś ważnego.

— Proszę, niech pani pozwoli! — Chciałem zdjąć burnus pani Jerzowej, ale ta, kołysząc małą główkę na wielkim korpusie, świegotliwym głosem rzecze:

— Dziękuję panu. My tylko na minutę...

Odetchnąłem. Spojrzałem potajemnie na zegarek: wpół do szóstej.

— Panie Walery — uroczyście zwróciła się do mnie pani Jerzowa — przychodzimy tu do pana, a właściwie ja przychodzę w pańskim interesie.

Rzecz nieodwołalna: żenię pana z panną Klementyną. Jutro będzie u nas obiad — musi pan być koniecznie...

Omało com nie chwycił rewolweru do ręki.

— Klementyna — obiad — jutro — muszę być.

— Już — już nieprzytomny! Olśniony! Kocha się... Dawno już to przeczuwałam...

— Ja też się domyślałem — basem śmiać się począł pan Jerzy, który obok swej żony wyglądał jak przecinek. — I radzę, żeń się — żeń co prędzej... Klimcia — powiem panu do ucha — ma 15.000 rubli. Ale pan może kochać się bezinteresownie...

— Proszę cię, Jerzy, przestań! Nie rozumiesz zupełnie uczucia. Trywjalnie stawiasz całą kwestję. Cóż pan powie, panie Walery?

— Kiedy ja nie wiem. Ja wcale nie kocham tej panny — nie mam zamiaru się żenić.

— Cóż to znowu? Czemu pan ukrywa swoje uczucia? To nieładnie. Może to niedelikatnie wdierać się w tajemnice pańskiego serca, ale my tacy panu życzliwi.

— Bardzo życzliwi — podchwycił Jerzy.

— Nie przeszkadzaj, Jerzy.

— My coś wiemy o panu... (Co oni wiedzą? Ilka?) Pan Klimci nieraz dawał do poznania...

— Nigdy w życiu — nie przypominam sobie — zaprzeczam temu (pięć minut po wpół do szóstej).

— Ależ jaki pan dziwnie rozstrojony! Boże, ci zakochani! Przecież my jesteśmy panu życzliwi. Taka żona — to skarb, prawdziwy skarb...

— Zapewne, skarb!

— A no, widzi pan! Pierwszy raz jestem u pana i od razu widać — kawaler! (Niepodobna wyrazić, ile pogardy było w tym słowie). Kto panu robi porządki? Stróżka, czy przychodząca? Zresztą to wszystko jedno. Kurz na meblach, pokój źle zamieciony, pajęczyna na suficie, lampa zakopcona, łóżko nie usłane, jak należy... A tu na biurku — popiół, kruszyny, szmatki papieru, stearyna! Co za bezład! Nie, mój panie, pan powinien się ożenić...

— Może — może.

— Zresztą nie będę już nic o tym mówiła, bo widzę, jakby to pana żenowało... Ale (z przymileciem) we czwartek pan u nas będzie?

— Nie odmawiam — z przyjemnością. (Dziesięć po wpół do szóstej! A bodaj was pokręciło!)

— A co pan sądzi o ostatniej powieści Arbuza?

— Gienjalna! cudowna! nadzwyczajna!

— Pan chyba żartuje. Przecież to wprost upadek talentu, rzecz bardzo słaba.

— Istotnie. Dzieło kretyna — *ramolli* — idjota! (Zamorduję!). Zresztą nie czytałem.

— A to niechże pan tak mówi. Ja pozwałam sobie mieć o tej powieści takie zdanie (i tu zaczęła mi szeroko wykładać swą opinię o tej książce, potrącając przytym o teatr, wojnę japońską, wybory, Zakopane i inne stacje klimatyczne Europy, rozmaite gatunki miłości, literaturę modernistyczną i t. d.). Ale zdaje się, że pan dziś szczególnie rozdrażniony. Może pan zajęty, a my panu czas za-

bieramy... A chciałam jeszcze pomówić o ostatniej wystawie (za pięć szóstą!...)...

Najsłodszy głos, na jaki mogłem się zdobyć, odparłem:

— Prawdziwe szczęście to dla mnie, że mnie państwo zaszczytli swą wizytą, ale istotnie mam przed szóstą ważną konferencję — i muszę iść tam n a t y c h m i a s t (podkreślone).

Musiałem wyglądać bardzo zabawnie, bo państwo Jerzowie zaczęli się serdecznie śmiać i, przepraszając za zabrany czas, pożegnali się ze mną.

Skwapliwie im otworzyłem drzwi i odetchnąłem swobodnie. Natychmiast też dokończyłem [tualety i pobiegłem w stronę dworca Wiedeńskiego.

Po drodze oczy moje zatrzymała wystawa składu cukierków i czekolady. Zacząłem się jej przyglądać. Kupię coś dla Ilony — ona lubi cukierki.

Witryna sklepowa świeciła od różnobarwnych pudełek i figur z czekolady: lalek w sukienkach z bibuły, piesków i królików, od słoików maku czerwonego, białego i zielonego.

Wraz ze mną tejsamej wystawie przyglądało się dwoje dzieci: dziewczynka w niebieskiej sukience i bosy chłopczyk w podartych majtkach marynarskich. Przyglądali się figurkom, jako najpiękniejszym dziełom łakomej sztuki.

Dziewczynka mówiła:

— Taką lalkę chciałabym mieć.

A chłopiec:

— Ja wolałbym konika!

Serce moje tak ukochało w tej chwili całą ludz-

kość (nawet państwu Jerzym przebaczyłem), że zamierzałem już i tym dzieciom kupić figurki czekoladowe, gdy zdarzył się niespodziewany wypadek.

Nie zauważyliśmy, że oprócz nas jeszcze jedna istota stała koło witryny sklepowej. Był to pies, z rasy małych buldogów, którego oczy naiwne i dobroduszne tworzyły zabawny kontrast z okrutnym wyrazem mordy, zbrojnej w mocne, białe, wystające nazewnątrz zęby. Stał tuż koło mnie i przyglądał się nie wiem czemu; raczej dzieciom lub mnie, niż wystawie.

Nie zwracałem na niego uwagi, gdyż milczał, sapiąc tylko pocichu, a ja całą duszę umieściłem w czekoladzie.

Naraz — najniespodziewaniej — poczułem ostre zęby buldoga, który — zdradziecko a milczkiem ugryzł mnie w łydkę tak, że poczułem dotkliwy ból. Odwróciłem się, a złośliwy pies zaczął gwałtownie szczekać, aż dzieci przestraszone uciekły. Ja zaś mimowoli spojrzałem w ukąszone miejsce i, *o horror!* spodnie moje były tam misternie podarte w formie prostokątnego trójkąta; na wierzchołku kąta leżała kropla nagle zastygłej krwi.

Pierwsza moja myśl była, że to pies wściekły, i że zginę od straszliwej, nieludzkiej choroby.

Nigdzie dziś — chyba u znachorów na głębokiej wsi — nie dostanie kobry!

Co tu robić? Do doktora! Ale na Boga — już minuta po szóstej! Odłożyłem to na później: mogę przeczekać sześć godzin, bo dopiero po takim czasie trucizna działa. Tymczasowo — rzecz z depar-

tamentu spraw zewnętrznych — ale bardzo ważna: trzeba przyprowadzić garderobę do porządku.

Siadam do dorożki.

— Hoża, Nr. x. do Szymona.

Szymon — był to dyrektor pośpiesznego zakładu reparacyjnego; w okamgnieniu ci tam poprawiano braki odzieży, czyszczono, myto, prano, szyto, cerowano. Wychodziłeś odświeżony.

Przyjeżdżamy. Mały pokoik dla klientów, dalej kontuar, a za nim laboratorium.

— Panie Szymonie! Wściekły pies mnie pokąsał (Szymon się cofnął) i rozdarł mi ubranie. W minutę proszę poprawić...

— Hm! proszę — niech pan tam siada (umieścił mnie za kontuarem) — niech pan z łaski swojej zdejmie „dolne“. Dziękuję. *Eins, zwei, drei* — będzie gotowe.

Za kontuarem siedziałem, jak w klatce. Szymon zamknął drzwi. Widać, już mnie uważa za wściekłego.

Czekałem, rozmyślając nad sobą. Czy pies był wściekły, czy nie? A nuż to było poprostu jakieś mistyczne *avertissement*. To czarostwo Klementyny! Za nic się z nią nie ożenię! Obejrzałem pokąsane miejsce: cztery plamy czarno-czerwone.

Dziesięć minut po szóstej! A jeżeli to był pies wściekły, jeżeli wobec Ilki usta mi się zaczną pienić, jak to bywa przy wściekliwości, jeżeli ją pokąsam i pogryzę — o Boże, jaka przyszłość mnie czeka!

— Panie Szymonie! Prędezej.

Szymon przeze drzwi:



— Zaraz, panie, zaraz! (Nie chce wejść do izby).  
Wszystko się *galante* robi.

Po niejakiem czasie (dwanaście po szóstej) podaje mi znów przeze drzwi pantalony. Istotnie, ani śladu rozdarcia.

Mistrz, bo mistrz! Cerownik — gienjusz! Michel Angelo sztucznej reparacji odzieży!

Ale boi się mnie. Nie chce wejść do pokoju. Muszę coś mieć na twarzy chorobliwego.

Ubieram się, zostawiam rubla i grobowym głosem mówię:

— Kwadrans na siódmą! Do widzenia.

Znów siadam do dorożki. Ośmnaście minut po szóstej.

Jestem na dworcu. Pewno już jej niema! Wpadam do sali — wypatruję oczy — ludzi potracam. Jakaś otyła dama półgłosem szepcze: Ordynarjusz! Nie zwracam uwagi. Przeglądam każdą z sal po kolei. Niema jej — oczywiście obrażona poszła do domu. A może powróci. Zauważywszy, że mnie niema, udała się może na miasto za jakim sprawunkiem — i oto lada chwila powróci...

Błądzą znowu po sali — wprost impertynencko przyglądam się każdej kobiecie — od siedmioletnich do pięćdziesięcioletnich... Kto wie? może się przebrała: kobiety lubią tajemniczość.

Przez dwadzieścia pięć minut maszerując tam i z powrotem, zrobiłem ze trzy kilometry drogi. Jej niema i niema! Przez ten czas dwa razy na dworcu rozwijał się wielki ruch: dzwonenie, krzyk odźwiernego: do Skierniewic, do Piotrkowa, do

Łodzi, do Częstochowy, do Granicy, do Sosnowca— i znów dzwonek i znów wołanie: do Skierniewic, do Łowicza, do Włocławka, do Aleksandrowa. Tłumy ludzi pchały się ku wyjściu, tragarze nosili kosze i walizy, lokomotywa świszczwała i ryczała, pociąg ruszał. Sala była chwilę pusta, ale wnet ją wypełniali nowi ludzie. Tylko jej jednej niema i niema. A we mnie czuję już, jak działa *virus* wścieklizny. Szczęki mi się krzywią — czuję to — nienaturalnie!

Nienawiść moja do państwa Jerzych, do bulldoga i do Klementyny zwłaszcza zaczęła przybierać groźne rozmiary.

Ilka pewnie myśli, żem ją zdradził, a przecież niema wierniejszego serca, jak moje — w tej chwili.

Wyszedłem na platformę od strony miasta, aby spojrzeć, czy nie idzie!

Nie, nie idzie!

Spojrzałem na zegar, który od wewnętrznego światła czerwienił się na wieży dworca. Dziesięć do siódmej!

Nie przyjdzie. Zacząłem teraz błądzić po chodniku — zapędziłem się nawet w Marszałkowską: niemasz nadziei!

Poszła do domu — ona, tak skrepowana — oczywiście niezadowolona ze mnie. Teraz już czekam tylko na jej list: zerwanie. Jakże drogą stała mi się nagle ta utracona na wieki! Jakże moje zamiary względem niej stały się poważne, głębokie, uroczyste!

Siódma uderzyła, jak dzwon pogrzebowy. *Lasciate ogni speranza!* Robi mi się gorąco i zimno;

oczy bielmem zachodzą; zębami dzwonię, gryzę własne wargi. Jestem otruty, wściekły, zgubiony! Jedno mi pozostało: jechać do doktora Szyrwida, który leczy chorych na wściekliznę.

— Doktorze, ratuj! Wściekły pies mnie pokąsał.

Doktor zaczął się ranom przyglądać i długo się nie mógł zdecydować.

— Nie, panie, to rana bardzo niewinna! Pogryzł pana zły, ale zdrowy pies. To samo przejdzie, tylko myć kwasem solnym.

Zacząłem z wielkiej radości całować doktora.

— Wybawco, mistrzu kochany!

Przynajmniej od tej zgrozy losy mnie zachowały. Było to więc jedynie czarostwo Klemetyny.

Uspokoilem się nieco. Wypiłem parę szklanek herbaty z dobrym koniakiem i postanowiłem o wpół do dziewiątej iść do Mirkowskich, aby się zobaczyć z Iloną.

Chciałem ją naprzód przeprosić, ale po chwili zmieniłem plan. Postanowiłem przeciwnie wystąpić jako pokrzywdzony, z wyrzutami... (To lepsza metoda). Przewidywałem jeszcze małą komedię wobec Mirkowskich: niby to na preferansę przychodzę.

Męża nie było w domu. Pani Mirkowska przyjęła mnie bardzo życzliwie, ze zwykłym wyrzutem, że tak rzadko bywam...

— Ależ pragnąłbym jak najczęściej... Zajęcia—praca... Człowiek wiecznie w kieracie. (Ilony niema. Czemu jeszcze nie przyszła?).

— Zapewne, zapewne. Ale nie należy zapomi-

nać przyjaciół. I dzieci nasze tak pana lubią! Michaś naprzykład chce być literatem i ciągle myśli o panu, a Józio nie może zapomnieć tego konia, co mu pan dał kiedyś na imieniny, choć koń już połamany... Ale najzabawniejsza jest Wandzia — bo chce, żeby pan był jej „żon“ — tak w panu zakochana... Ciągle tylko mówi: Walelek — Walelek!

— Nigdy człowiek nie przeczuwa, z której strony szczęście płynie... (Ilony ciągle niema).

— Muszę też panu tajemnicę powiedzieć! (Coś o niej). Michaś (nie, nie o niej) napisał powieść: straszny kryminał! Trzeba panu wiedzieć, że choć on ma dopiero trzynasty rok — jest to chłopiec nad wiek rozwinięty... Czyta dużo, a najwięcej lubi Mayne-Ride'a, Ponson du Terrail'a i Montépin'a. Chciałby też pisać okropne awantury. Muszę panu w sekrecie pokazać tę powieść, bo inaczej Michaś rozgniewałby się na mnie. Wie pan, co za ciekawe pomysły! A pisze o miłości, to umierać ze śmiechu. Tam jest naprzykład jedna margrabina...

Rozległ się odgłos dzwonka. Przyszła Ilona; przyszła jednak nie sama: odprowadziła ją służąca od Szternów, u których Ilona wieczorami udzielała lekcji języka niemieckiego. Ale nie wracała nigdy tak późno. Cóż więc to znaczyło?

Spojrzelśmy na siebie. Ukłon z oddali. Była zmieszana. Zarumieniła się.

Dla czego przychodzi tak późno? Blisko wpół do dziesiątej. Sprawa nieczysta. A może jej odrazu powiedzieć tak, jak to radzi Chamfort:

— Pani! wiem o wszystkim. Przebaczam ci i żegnam.

Wbiegły dzieci, hałaśliwie witając Ilonę. Józio kochał ją bardzo, niemniej jak i Wandzia, ale ta już była w łóżeczku. Michaś natomiast przyglądał się jej ponurym i jakby podejrzliwym wzrokiem.

Czyżby ten malec kochał się w Ilonie? Zastanowiło mię to wielce. Bywają takie wypadki. Serce nieraz budzi się wcześniej. Ja sam, mając lat czternaście, kochałem się w matce jednego z moich kolegów: była to miłość, pełna cierpienia i czaru. O, gdyby człowiek dziś tak umiał kochać i cierpieć, jak wtedy. Może też ją podejrzewa, może też jest na nią oburzony?

Po tych powitaniach Ilona z dziećmi poszła do innego pokoju, i słyszałem tam dosyć gwarną rozmowę, w której przeważał głos Michasia i Ilony... Cóż to za tajemnica? Z pomieszanych głosów trudno było coś wyrozumieć... Można było tylko odgadnąć, że Ilona się gniewa, że jest na coś oburzona... Michaś z początku coś odpowiadał zuchwale, potem się sumitował i coś jej dyszkantem tłumaczył...

Siedziałem, jak na szpilkach, słuchając półuchem pani Mirkowskiej, a półuchem gwaru w sąsiedniej izbie...

Nagle dał się słyszeć śmiech Ilony, szeroki, srebrny śmiech, jak kryształowa kaskada!...

Wbiegła potem do pokoju, jak sarna, a jej rozpuszczone złote włosy i błękitna, jedwabna bluza przy szafirowej spódnicy — nadawały jej pozór istnej nimfy, roześmianej jakąś niebiańską wesołością.

Mimowoli podziwiałem umiejętność życiową Ilony: na stanowisku guwernantki cudzoziemki umiała ona tak politykować, że zachowywała się w domu, jak osoba należąca do rodziny, nigdy jednak nie przekraczając właściwego tonu. Trzeba też przyznać, że Mirkowscy byli to bardzo dobrzy ludzie.

A gdy pani Izabela pytała, co znaczy ten śmiech, Ilona zaczęła opowiadać nadzwyczajną historję, której część była — jak to czytelnik odgadnie — dla mnie tylko przeznaczoną i zrozumiałą.

— Wyobraźcie sobie — mówiła Ilona przez pół po niemiecku, a przez pół po polsku — co mi ten Michaś dziś zrobił. Byłam poprostu przerażoną i bałam się do domu powracać. Od godziny szóstej do ósmej mam lekcje u Szternów. Wychodzę tedy we właściwym czasie — i, mimowoli się odwróciwszy, widzę, jak za mną idzie dwóch chłopców z tego domu, jeden lat ośmiu, drugi — dziesięciu. Nie zwróciłam na to uwagi. Idę dalej — i przy skręcie na dworzec Wiedeński znów się odwracam: chłopcy za mną. Ponieważ chciałam sobie nastawić zegarek, weszłam na dworzec, aby go uregulować podług zegara kolejowego. Była prawie szósta: brakło paru minut. Wstąpiłam jeszcze kupić gazetę. Prawie o szóstej wyszłam na platformę od strony miasta i znów zobaczyłam tych chłopców. Myślałam już, czy zostać na dworcu, czy wracać do domu, czy też iść na lekcję, bo mnie te chłopcy bardzo niepokoiły. Ostatecznie poszłam do Szternów przez ulicę Wielką do Hożej. Odwróciłam

się koło Hożej, znowu te łobuzy szły za mną. Jakies szpiegi, czy coś podobnego. Bardzo się bałam. Ktoś widać im kazał mnie śledzić — i ci krok w krok za mną. Byłam szczęśliwa, kiedym się znalazła w mieszkaniu Szternów. O, jakże mi serce biło z trwogi. Co to jest? Jakaś tajemnicza ręka rozciągnęła nade mną swą władzę.

Lekcję odbyłam dość nerwowo, a kiedy o godzinie ósmej pożegnałam Szternów i znalazłam się na ulicy — patrzcie! znowu te dwa chłopcy stoją przed bramą i przyglądają mi się tajemniczo.

— Czego wy chcecie? — zapytałam — że tu ciągle za mną chodzicie.

— Nie możemy powiedzieć! — odparli.

— *Was ist das?* Co za sekret? Idźcie sobie precz, fort! — powiedziałam, ale oni nie ruszyli się z miejsca, tylko ten mały powiedział starszemu:

— Kupimy sobie bułek, bo jestem głodny.

Więc ja wróciłam na górę, a już zaczynało się robić ciemno i latarnie zapalono. Powiedziałam pani Sztern, co mi się przytrafiło, a ona nie chciała mnie puścić do domu, aż dopiero, kiedy chłopcy precz sobie pójdą! O dziewiątej wieczorem rzeczywiście już znikli; widać ich zmęczyło to długie oczekiwanie. Wtedy dopiero wróciłam z Kasią i całą drogę myślałam nad tym, co to ma znaczyć? Czy to jaki zazdrosny, zakochany pan, czy też policja mnie śledzi? Nic nie rozumiałam. I nareszcie Michaś mi tę sprawę wytłumaczył.

Było tak (tu Michaś aż się cały rozpromienił, jakby miał teraz następować hymn pochwalny na

jego cześć): Michaś czytał jakąś okropną powieść Conan Doyle'a o jednym panu Lecoq, czy coś takiego, który zorganizował bandę ludzi, aby śledzić wszystkich swoich znajomych i wiedzieć o nich wszystko, co tylko wiedzieć można. Ludzie ci nazywali się Czerwone Walety, czy też Złota Szajka, już nie pamiętam. Owóż muszę panu powiedzieć, że Michaś sam pisze takie okropności i przytym chciał naśladować Lecoq'a. Więc naprzód chciał się dowiedzieć o mnie. Zawołał tych dwóch chłopców z naszego podwórka i dał każdemu po sześć groszy, mówiąc:

— Idźcie za tą panią krok w krok, śledźcie ją, co robi, gdzie się zatrzymuje, dokąd wchodzi, z kim się wita, z kim rozmawia i t. d., a potem mi to wszystko opowiecie. — Nakazał im tajemnicę: właściwie nawet niewolno im było z nikim rozmawiać, choć pod tym względem chłopcy nie wytrzymali.

Słowem Michaś chciał, jak Lecoq, mieć swoją szajkę i chciał sobie stworzyć osobliwą służbę wywiadowczą. Tak mnie przestraszył, że nie mogę wypowiedzieć.

— Przyznam ci się, mój Michasiu — rzekła mama — że mi się to niebardzo podoba. W naszej rodzinie nie było agentów policyjnych.

— Ale ja tylko do powieści, proszę mamy — mówił zaczerwieniony Michaś. — Ja już tego nie zrobię.

— Mam nadzieję — zauważyłem nie całkiem bezinteresownie, podziwiając jednakże w duchu tę nową metodę zbierania materiału do powieści.



Niefortunny bywa czasem wtorek. A gdy bogowie chcą ci uczynić krzywdę, patrz! jakich wybierają sobie pośredników. Srodze mi dopiekli dzisiaj: ile klęsk w jeden dzień.

Przyszedł Michał i wraz z panią Izabelą zasiedliśmy do preferansa. Była potym wieczera. Dostałem osobliwy *sandwich* ze serem szwajcarskim, wyciętym w litery *Cs. hat.* Zrozumiałem: Czwartek, szósta.

Przysiągłem sobie, że w ten dzień o wpół do piątej już mnie w domu nie będzie.

Z panną Klementyną żenić się ani myślę, a na obiad do państwa Jerzych pójść nie pójdę. Wytłumaczę się listownie jakim bądź kłamstwem, co mi zresztą uda się bez wielkiej trudności.

---



ELFRYDA.



## Przedmowa autora.

Czytelnicy „Stypy“ przypominają sobie, jakie surowe wyrzuty czynili żalobni goście Karolowi, który na cmentarzu ognistą filipikę wygłosił przeciw kobietom, zbierał najzłośliwsze aforyzmy różnych pisarzy o płci nadobnej, a mimo to ożenił się w sposób zdradziecki i potajemny. Zażądano od niego spowiedzi. Jakoż Karol słowa dotrzymał: opowiedział nam historję swojej żony, niejkiej Janiny, zwanej Elfrydą, osoby w jego słowach nadzwyczaj zdumiewającej, do niemożliwości naiwnej i rzekłbyś nie realnej. Ale taki, zdaje się, los najzatwardziały sceptyków: zdaniem jego słuchaczy, a zwłaszcza Dantyszka, Okolicza i Fredzia — Karol był pod czarem jakiejś ułudy — i rzeczywista Elfryda była zupełnie niepodobna do tej, którą sobie wymarzył, stworzył i opisał nam Karol. Był on przytym, jak dotychczas, na tyle przezorny czy złośliwy, że nie zapoznał jej z nami.

---



## I.

*Młoda Elfryda wybiegła w ranek,  
By ślubny wieniec uszczknąć na skroń.*

Tak miłym i dźwięcznym głosem śpiewała panna, siedząca na oknie w salonie cioci swojej pani Marskiej, przez pół odwrócona na pokój, a przez pół na ogród za oknem.

Okno wychodziło na słońcem oblany, niewielki ogródek, który jednakże w mieście mógł uchodzić za dość obszerny. Wprost okna szła w małym oddaleniu główna aleja ogrodu, wysadzona dwoma szeregami czerwonych, ciemno-fioletowych i białych malw, które się kołysały od powiewów zefiru i wydawały się zdala, jak procesja dziewcząt w kolorowych sukniach. Nad tą barwistą linią stały wysmukłe głogi i akacje, kwiatem różowym i białozłotym obsypane, a w dalszej części trawnika wiśnie i jabłonki, z których kwiat wiosenny już oblatywał; wreszcie jakby na straży na czterech krańcach ogrodu — stały dwa kasztany i dwie topole nadwiślańskie, połączone linią kunsztownie wyciętych grabów. Ogród huczał od wrzawy pszczół, bąków i chrabąszczy; i świergotu pliszek, pośmieciuch i wróbli.

Całe to życie ogrodu, pełnego dziewanny, słoneczników i maku, gdzie parę krzaków róż i fantazyjnych ostów stanowiło niby wytwór kultury wyższej — całe to życie nadawało jakiś wiejski charakter temu miłemu ustroniu, w którym przebywałem.

Był to salonik dość obszerny o starym umeblowaniu z lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych; o sprzętach mahoniowych, krytych czerwoną materją; w kącie stała serwantka, pełna różnych osobliwych przedmiotów z porcelany i szkła, a obok niej stary, długi fortepjan; stół duży, pokryty ciężkim dywanem — stał przed kanapą, a na nim stare albumy i kilka nigdy nie czytanych książek, w edycjach luksusowych. Pod zwierciadłem, pochyło zawieszonym, konsola z kandelabrami, a wśród nich figurki porcelanowe: pasterze i pasterki. Pod piecem stało pudło, w którym świeżo pomieszczono dwa parotygodniowe szczeniaki.

W chwili, o której mówię — siedziała w saloniku pani domu, p. Marska, z małym, czarnym kotkiem na ręku, jej towarzyszką, p. Eliza, nauczycielka Francuzka, wreszcie na oknie siedziała owa młoda, śpiewająca panienska.

Spoglądała ona przez pół w ogród, uważając, jak słońce powoli płynie z ogrodu do salonu; przez pół zaś zwrócona była do nas; buzia jej się nie zamykała, i trzeba przyznać, była to panienska bardzo wymowna i rozmowna.

Zaczynała rok dwudziesty i miała figlarne, iskrzące się niebieskie oczy i nad wyraz różowe, świeże,



półwilgotne wargi, a za niemi białe, jak perły, zdrowe ząbki, które przy ciągłym śmiechu nieustannie nam pokazywała; przy uśmiechu też powstawały dwa czarowne dołeczki w kącikach ust na biało-różowej, świeżej, jak wiśnia, twarzy. Niebieskawe żyłki snuły się koło szyi, a złote, bujne, niepokorne włosy dowolnie się wiły koło czoła, koło skroni, koło uszu... W tych włosach było coś anarchicznego.

To cudowne zjawisko w kretonowej bluzce lila i w sukni barwy *chamois*, w tualecie bardzo prostej i niewyszukanej, siedziało na oknie, założywszy ręce po napoleońsku i kołysząc nóżkami, aż się w słońcu jarzyły jej czarnozłote pantofelki i migały białe, ażurowe pończoszki.

Ciocia Marska siedziała koło kanapy na fotelu pod oknem i w zachwycie patrzyła na dziewczynę, a panna Eliza nalewała czarną kawę w filiżanki.

Z panienką poznałem się niedawno, gdyż dopiero parę tygodni temu przyjechała do Warszawy wraz ze swoim bratem, studentem prawa, i zamieszkała u ciotki, którą odwiedzałem od czasu do czasu.

Osóbka ta, średniego wzrostu, ale zbudowana tego i postawnie, patrzyła na mnie zabawnie wyzywającym wzrokiem i, lekko z białoruska przeciągając, tak mi opowiadała:

— Tak, proszę pana, mam na imię Elfryda. To bardzo śmieszne imię — romansowe. Ale mam takie imię przez mamę, a nawet przez tatusia, bo tatuś właśnie tak zrobił, jak mama kazała. A to było tak, że kiedy się mój tatuś z mamą ożenił,

to bardzo się kochali, a raz mama śpiewała tę samą pieśń, co ja, bo ja tę pieśń bardzo lubię.

Młoda Elfryda wybiegła w ranek,  
 By ślubny wieniec uszczknąć na skroń...  
 Tam ją w dolinie czekał kochanek,  
 I w takie słowa przemówił doń:  
 Edgarem jestem, koronę noszę!  
 Powiedz, Elfrydo, czy kochasz mnie?

To bardzo miła śpiewka — i to uszczknąć ogromnie mi się podoba. Ale nie o tym chcę mówić. Kiedy mama tak parę zwrotek zaśpiewała, mówi do tatusia: — „Janku, jak będziemy mieli córkę, to ją nazwiemy Elfryda!“ — Ale ojczuś strasznie się rozgniewał: — „Niech Bóg broní — zawołał — to jakieś imię z teatru, z opery! Wolę Magdę albo Baśkę!“ — mamusia na to: — „Nie, nie! musi być Elfryda!“ — I tak się długo sprzeczcza-  
 li, aż nakoniec tatuś zawołał: — „Wolę wcale nie mieć córki, niż żeby się nazywała Elfryda!“ — Tak powiedział ojczuś w złą godzinę, a ja się bardzo tym zmartwiłam i nie chciałam się urodzić! Aż trzy lata minęło — bardzo smutnie — i raz tatuś mamę pocałował w rękę — i tak powiada: — No, niech już będzie Elfryda, byleśmy mieli dziecko. Więc, kiedy ojczuś tak powiedział, jak mama kazała, dopiero wtedy się urodziłam — i tatuś mnie nazwał Elfrydą, ale zawsze śmiał się ze mnie: — „ty, figura z Fra-Diavola!“ — Ale mamusia była zadowolona, bo postawiła na swoim... Bo mamusia jest trochę uparta, nawet bardzo uparta! Śliczna kobieta, żeby pan ją znał, toby się pan w niej

zakochał na śmierć. Mamusia bardzo a bardzo ojca kocha, ale jak chce co zrobić, to napewno zrobi, żeby tam tatuś nie wiem jak długo mówił: — „nie i nie!“ — Tak to, panie, dostałam takie imię z opery, ale naprawdę, to panu powiem, że ja jestem Joasia, a tamto Elfryda, to tylko w oficjalnych *bumagach*...

Ciocia patrzyła na dziewczynę okiem, pełnym miłości. Była to miła staruszka, niegdyś pewnie bardzo piękna osoba; przed piętnastu laty utraciła młodocianą córkę i całą swoją miłość przelała na Elfrydę.

— Jak ta laleczka szczebiocze — mówiła. — Zdaje mi się zawsze, że to małe dziecko, a przecież ma lat dziewiętnaście, niby to naiwna, ale bardzo mądre stworzenie i serce złote! Roztrzepana ogromnie, ale uczyła się doskonale i skończyła pensję w Rydze z nagrodą. Tu się zamierza dalej kształcić.

— Ale co też ciocia mówi! Nie mam wcale dziewiętnastu lat, tylko dwadzieścia i nawet jeszcze miesiąc — i wcale nie jestem naiwna, bo mam już dużo doświadczenia, i wcale nie mam złotego serca, bo najlepiej to chciałabym być, jak lady Makbet albo Lukrecja Borgia! Ale teraz inne czasy: trzeba się uczyć, i właśnie przyjechałam tu na latający uniwersytet, bo kocham naukę i chciałabym umieć wszystko od *a* do *zet*. Stasiak zapisał się na prawo; będzie adwokatem, ale teraz mówi, że się głównie uczy hulać. Ach, jak ja chciałabym hulać! jak ja chciałabym być chłopcem! To wielka

niesprawiedliwość, że dziewczyna nie może się zmienić w chłopca! I cóż z tego, że ja się nauczę biologji, psychologji, fizjologji, antropologji, socjologji, ekonomji, malarstwa, rzeźby, muzyki, literatury, geologji, statystyki i tego wszystkiego...

— O Boże! — zawołałem — tego wszystkiego chce się pani nauczyć?

— Rozumie się!

— Co za gienjusz! — mówiła ciocia.

— Rozumie się, i jeszcze wielu innych rzeczy: filozofji, metafizyki, trygonometriji, chemji, fizyki, mechaniki, i tańca, i gimnastyki!... I, proszę pana, poco mi ta cała nauka, jeżeli mi niewolno iść samej do teatru, ani do kawiarni, ani do kabaretu! Cóż to? niewolno mi być samodzielną kobietą? Jeżeli chcę się nauczyć tego wszystkiego, to właśnie żeby być samodzielną kobietą! Pan wcale nie wie, jaka ze mnie anarchistka! Ja cały świat przewrócę do góry nogami i będę żyła zupełnie inaczej... Ja zostanę prostytutką!...

— Co też ty wygadujesz, Lalu, na miłość Boga! — zawołała przerażona ciocia.

— O co wam idzie? czego się ciocia gniewa? czyż ja powiedziałam co złego?

— Ależ, dziecko, ta prosty...

— No, właśnie! prostytutka: kobieta prosta, szczerą, prawdziwą, naturalną i bez ceregieli...

— *Mais elle ne comprend pas ce qu'elle parle* — przerwała panna Eliza, która, choć nie mówiła po polsku, ale wszystko rozumiała.

— Czyż powiedziałam jakie głupstwo? Chcę

być kobietą bez ceregieli i bez konwenansu... i będę sama chodziła do teatru i do kawiarni. Nawet bez panny Elizy, i bez cioci, i bez Staśka... Tylko chcę, żeby mnie kiedy Stasiak zaprowadził na jakie pijaństwo, żeby tak się zabawić po kawalersku... Palić papierosy umiem i piję koniak, jak grenadjer!

Słuchałem tej gawędy z zaciekawieniem, obserwując tę szczególną osobkę, na którą spoglądałem z najwyższą sympatją. Panna Eliza dała Elfrydzie filiżankę kawy i ciastko kremowe, żeby jej „dzióbek zatkać“. Gdyż wraz z ciocią dystygowana ochmistrzyni była pełna obawy, co powie nieobliczalna Elfryda. Panienska ze smakiem zjadła ciasteczko i wypila haustem czarną kawę, już zimną, przyczym cudownie w górę podniosła swą łabędią szyję, a potem znowu do mnie się zwróciła:

— Pan się ze mnie śmieje, bo panu się wydaje, że ja plotę, jak sroka! Ale ja nie jestem takie dziecko, jak się panu zdaje. Ja mam już dwadzieścia lat, ale czy pan myśli, że w Pogoryszkach można się rozwinąć umysłowo. Dopiero tu, w Warszawie, zaczęłam poznawać życie. Już byłam raz w cyrkule, w szpitalu odwiedzałam znajomą, byłam u rejenta, nawet w lombardzie byłam! A jakże! Wszystko widziałam. Ja jestem bardzo ciekawa, jak mamusia, i uparta, jak mamusia! Ja chcę wszystko poznać! Ja wiem, że pan się zbiera w jednej „knajpie“ (z dumą użyła tego wyrazu) ze znajomemi, i że wy tam urządzacie „Platońskie“ biesiady. Tak mi mówił doktor Lędziwiłł, i wiem, że tam bywa

kilku poetów i malarzy, i kilku bardzo zabawnych ludzi: p. Henryk Nawara, Dantyszek, ten sławny pisarz, i profesor Tarło, i Styczeń: będę musiała kiedyś być na waszym zebraniu, to już pan mię tam wprowadzi! A możebym została inżynierem, jak pan! Budowałabym mosty. Wie pan, chciałabym zbudować taki most do samego nieba!

— Ależ pani jest sama mostem do nieba! — zawołałem mimowoli.

— Ach, jak mi się to podoba, co pan powiedział! To coś, jakby z sonetów Michała Anioła!

I klasnęła w ręce, zeskoczyła z okna i zaczęła naraz skakać po pokoju, wzięwszy z rąk cioci czar- nego kotka i, niby to skacząc, niby tańcząc, całowała to wypieszczone stworzonko i śpiewała:

Kochanków liczę na tuziny,  
Sam na sam z chłopcem, to mi raj!

Poczym rzuciła kotka, który, łyskając zielonym okiem, uciekł z powrotem pod skrzydła cioci, a następnie zbliżyła się ku piecowi, gdzie w dość obszernym pudle na słomie leżały dwa grube, jak kluski, trzytygodniowe szczeniaki z gatunku wyźłów pokojowych. Wraz z niemi mieściła się tam wiecz- nie śpiąca, stara wyźlica, czarna z żółtą plamką na nosie. Szczenięta były ciemno-żółte, widać nie po matce. Gramoliły się niezgrabnie po swoim pudle i żalonym skomleniem dawały znać o sobie. Stara suka znała dobrze Elfrydę, gdyż ta przybyła właśnie w dniu narodzin szceniąt — i od pierw- szej chwili roztoczyła nad matką i dziećmi najczul-

szą opiekę, tak, iż miała ona tutaj szerokie przywileje. Śpiąca suka nie protestowała zupełnie, gdy Elfryda wyjęła z pudła dwa szczeniaki i zaczęła się bawić z niemi, jak mała dziewczynka lalkami.

— Ach, jakie śliczne psiątka! — mówiła pаниenka, poczym jęła się im bacznie przyglądać i do dała. — To suczki.

— *Mais Jeannette, tu es folle!*

— Dla czego? Czym nie poznała się na tym?

— Naprzód o tym się nie mówi, a po wtóre, to nie suczki!

— Nie suczki? Więc jak ty odgadujesz? *Elise! dites le moi, ma chérie!*

— *Ah, mon Dieu! Quelle enfant terrible!* Jak, o tym ci mówić teraz nie będę, ale tylko ci to powiem! *Bijou* jest piesek, a *Żola* — suczka!

— Ha, ha! — zaśmiała się Joasia. — Patrzcie, a *Tereska* mówiła, że to dwa pieski, ja znowu, że to dwie suczki, a tymczasem... To ciekawe!...

— Mogłaby też wiedzieć o tym panna *Tereska*...

— Jakim sposobem! To niełatwa rzecz! Przecież u małych dzieci do roku nie można poznać, czy będzie chłopiec, czy dziewczyna, a dopiero u szczeniaków...

Tak mówiła Elfryda, oburzona, że ludzie drwili z jej ciemnoty, ale to jej wyjaśnienie przyjęto wybuchem śmiechu tak serdecznego, że Elfryda zrozumiała odrazu: Palnęłam jakieś głupstwo.

W jednej chwili stała się czerwona, jak ogień; poczym poleciała wprost do okna i jednym susem, jak sarenka, wyskoczyła przez okno do ogrodu.

Tu, niby strzała, pobiegła między szeregami malw, sama barwna, jak malwa, i, szybkołotna, ukryła się w zasłonie dzikiego wina, pokrywającego altankę u wylotu alei. Chwilę tam pozostała — i ukazała się znowu, wypływając z gęstwiny bzów. Wnet też usłyszeliśmy jej śmiech srebrny, niemal dziecinny, pełny radości osobliwej. Powróciła znów powolniejszym krokiem i, zbliżywszy się do okna, powiedziała do mnie:

— Wracam, panie Karolu, niech mi pan poda rękę!

Natychmiast z całą galanterją starzejącego się kawalera podałem jej rękę. Wyznaję, że dotknięcie tej młodej, białej rączki podziałało na mnie, jak prąd elektryczny — i sam nie wiem, dla czego obudziła się we mnie myśl, coby to była za rozkosz posiadać w domu taką czarodziejkę.

Lekko, jak bezcielesna istota, wskoczyła na okno i z okna znowu do pokoju. Ukłoniła się żartobliwie i śmiała się, niby szalona, aż jej skrzące się niebieskie oczy zdały się na chwilę raczej zielono-złote, niż niebieskie. Włosy jej zaś, zupełnie fantastycznie, niby złoty obłok, rozbujały się na główce, zasłaniając białe, szerokie czoło.

— Niech pan nie myśli, że ja jestem taka głupia! O tych pieskach, to mi się tylko tak wyrwało. Ale ja wiem wszystko, doskonale wiem! Stasiek mi to wszystko powiedział. Bo musi pan wiedzieć, że Stasiek to już prawdziwy mężczyzna, student uniwersytetu, lubi sobie wypić, pobawić się — i to wszystko. Stasiek, proszę pana, ma już kochankę.



To jest jedna panna z teatru, śpiewa na scenie i tańczy! Tak, panie Karolu! Bo jakże młody człowiek mógłby żyć bez kochanki? Tak mi powiedział Stasiek. Pan pewno także ma kochankę, nieprawda? Mówili, że pan jest cynik. Czy pan jest naprawdę cynik? Cynik to jest ten, co się śmieje z miłości, a mówią, że pan nie wierzy w miłość. Czy to prawda? Ale swoją drogą, kochankę pan ma, tylko pan o tym nie chce mówić. To bardzo szlachetnie z pańskiej strony, bo każdy prawdziwy mężczyzna jest dyskretny.

I Stasiek jest dyskretny: nikomu o swojej damie nie powiedział, tylko mnie pod sekretem, bo ja jestem dobra do sekretu, a musiał mi powiedzieć, bo chciał jej sprawić suknię, ale nie miał pieniędzy, więc mi zabrał futro i zegarek — i zastawił w lombardzie za 50 rubli. Sama z nim byłam w lombardzie. Stasiek zapewne mieszkałby tu z nami i byłoby nam weselej, ale nie może, bo on tę damę przyjmuje u siebie. Szczęśliwy chłopiec! Jak jabym chciała być chłopcem! Zarazbym sobie wzięła za kochankę pannę Elizę.

— *Mais tais - toi donc, petite drôle* — wołała panna Eliza, rosła brunetka południowego typu francuskiego, o wielkich, czarnych, żywych oczach i śniadej cerze, osoba wcale przystojna, lat około trzydziestu, ubrana ciemno, dyskretnie i ze smakiem. Śmiała się, mówiąc do Elfrydy, bardzo zadowolona z jej oświadczyn — i, ująwszy ją za rękę, posadziła na swych kolanach — i zaczęła ją całować.

— Ależ ja cię kocham, Elizo! — mówiła Joasia, całując nawzajem Elizę. — Kocham cię bardzo i gdybym była chłopcem, tobym się ożeniła tylko z tobą!

Widok tego całowania rozmarzył mnie dziwnie, ale nie mogłem uczynić nic więcej, tylko nalałem sobie kieliszek benedyktynu. Elfryda tymczasem zeszła z kolan panny Elizy i z melancholją, niemniej zabawną od jej wesołości, zbliżyła się do fortepjanu. Zagrała kilka akordów z preludjum Szopena i na nowo zaczęła mówić.

— Jakie to dziwne, że kobieta nie może się ożenić z kobietą. Wielka szkoda! Ja nie mogę się ożenić, tylko muszę wyjść za mąż. I mamusia moja, kiedy wyjeżdżała do Warszawy, tak mówiła do mnie mądrze, bo mamusia jest bardzo mądra. „Pamiętaj — powiedziała — że te wszystkie nauki, filozofje i ekonomje, to nic po tym, a główna rzecz, żeby panienka wyszła za mąż i złapała sobie jakiego chłopca, żeby to był chłopiec nie za stary i nie za młody, żeby miał stanowisko i dobre dochody, np. żeby był inżynjerem...“ O, jak pan Karol! — tu klasnęła w ręce — słowo daję, mama pewno myślała o panu. To ja już chyba pana będę musiała „złapać“. Dla czego nie? To bardzo ładna rzecz być inżynjerem!

Robiło mi się słodko koło serca.

— A jeszcze mamusia powiada: „Musisz zrobić dobrą partję, przecież ty jesteś bogata: masz kamienicę w Poniewieżu... i pięćdziesiąt tysięcy“... Ale to wszystko nieprawda. Mamusia kłamie tak z mi-

łości. Bo to wcale nie kamienica, tylko drewniany domek, a ja wcale nie mam pięćdziesięciu tysięcy posagu, tylko dziesięć. Więc to jest bardzo mało— i nie mogę zrobić świetnej partji. Czy pan jest świetna partja? Pan mi się bardzo podoba. Pan jest podobny do Staśka, ale tak, jakby Stasiek był już zupełnie dorosły człowiek. Albo nie!... Właśnie pan wcale nie jest do niego podobny. Stasiek to szalawiła, sowizdrzał, smarkacz. Ja lubię tylko ludzi poważnych, głębokich i dojrzałych. Właśnie, jak pan. Ja się znam na ludziach i mam dużo doświadczenia. Pan jest bardzo przystojny. Ach, jakby to było zabawne, gdyby się pan ze mną ożenił. Razem budowalibyśmy mosty dla pana starosty — nieprawdaż? Pan musi mnie nauczyć sztuki inżynjerskiej i całej technologii: to piękna sztuka. Ja umiem rysować, miałam zawsze z rysunków piątkę, ale robiłam tylko główki i landszafty. Muszę się nauczyć kreślenia takiego właśnie, jakie jest potrzebne inżynjerom. Ach, pan mnie będzie uczył tego kreślenia: dobrze, panie Karolu, mój drogi panie!

Pomyślcie, czy mogłem odmówić tak hypnotycznej prośbie mojej czarującej rozmówczynie? Oczywiście, choć się lekcjami nie trudnię, przystałem, umówiłem się na trzy razy tygodniowo i za dwa dni mieliśmy już zacząć pracę w charakterze urzędowym.

Wogóle zachowywałem się wobec Elfrydy niemal całkowicie biernie; zdawało się, że jestem bez

woli i że ona mnie, jako nieoporną, bezwładną masę, samoistnie bierze w swe posiadanie.

Byłem upojony tym wiosennym śpiewem ptaka, co mógł świergotać byle jaką melodję, a wszystko wychodziło niezmiernie uroczo, jakby każdy ton miał rozmaite elastyczne znaczenia. Czas był już na mnie i opuściłem salon pani Marskiej, dziwnie poruszony. Mieszkanie było tak położone, że szło od ogrodu wzdłuż bramy i miało dwa okna, wychodzące na ulicę. Jedno z okien należało do pokoju panny Elizy, drugie do Joasi. Kiedym się znalazł na ulicy, z najbliższego okna usłyszałem okrzyk: „panie Karolu!“

Joasia już była w swoim pokoju i przesyłała mi ręką pożegnanie, które na mnie robiło wrażenie pocałunku. Ta krótka godzina czasu, przebyta u pani M., zdawała mi się jakby złoty moment, wykrojony przypadkiem z Edenu. Coś zaperliło się we mnie, jak puhar wina szampańskiego. Coś zakotyłało się we mnie, coś zapachniało konwalją i jaśminem.

Zdawało mi się, że już moje życie uczuciowe dawno wygasło, a tymczasem naraz coś mię znowu wytrąca z drogi rozsądku i spokoju, i budzi w moim sercu nowy dreszcz wiosenny. Czy aby nie za późno? Rusałka, pełna magicznej siły, wcielenie pokusy, przebudziła naraz to, co już we mnie dawno zastygło, i ukazała mi perspektywy ślicznych zamków na księżycu. Wyznaję, że nigdy w życiu nie był tak romansowo i romantycznie usposobiony, jak w owo popołudnie czerwcowe, gdy się pożegnał

z Elfrydą. Nawet kiedy, jako gimnazysta, kochałem się w Jadzi i kiedy, jako student, kochałem się w Czesi, nie miałem tego osobliwego dreszczu, tego drżenia całej mej istoty, jak teraz, kiedym ujrzał to niezwykle zjawisko. Co innego historia z panią Julją: była to przygoda raczej tragiczna, a która dla nas obojga zakończyła się rezygnacją i rozeszliśmy się oboje z sercem nadkruszonym, choć nie popełniliśmy nic złego, owszem, był w naszym postępowaniu pewien heroizm; cała ta sprawa miała w sobie jakiś wielki, beznadziejny smutek.

Tu, przeciwnie, jakaś radość drgająca, jak promień słońca na zielonych liściach młodej brzozy — rozszerzała mi serce, iż czułem się wprost odrodzony i odmłodzony. Dawne wspomnienia były mi raczej podniętą, niż zaporą. Nigdy nie spotkałem takiej czarownej osoby — i myśl o niej popchnęła mnie momentalnie w kierunku najdalej idących postanowień.

Ożenić się! — co za szczególna idea. Natychmiast się roześmiałem sam do siebie z tego pomysłu, ale był to w gruncie rzeczy śmiech szczęścia.

Prawda, jest między nami znaczna różnica wieku: ona ma koło dwudziestu lat, a ja prawie o lat dwadzieścia jestem od niej starszy. Czy to uczciwie z mej strony łączyć się z tak młodą dziewczyną? Ale z drugiej strony, czy jest uczciwie zdeptać to szczęście, co się do mnie uśmiechnęło?

— To moja ostatnia miłość! — mówiłem sam do siebie. — Czy istotnie miłość? Jakiś mędrzec

powiada, że u mężczyzny ostatnia miłość jest najsilniejsza.

Nie chciałem teraz widzieć się z nikim, choć miałem zebranie wieczorem; wolałem marzyć o tej syrence, którą dziś ujrzałem.

Wróciłem do domu — i zacząłem niby to gorliwie rysować plan jakiejś pompy ssąco-tłoczącej. I oto ciągle mi się zdawało, że koło mnie krąży jakaś niewidzialna postać w bluzce lila i w sukience „chamois“ — i że ma bujne rozwiane złote włosy i skrzące niebieskie oczęta — i nieustannie słyszałem jej śmiech i świegotanie, a każde jej słowo przybierało dla mnie znaczenie, całe odmienne od tego, jakie miało zewnętrznie; w słowach jej odczuwałem jakieś niesłychanie głębokie i wyraźne objawienia.

I żał mi było, że to tylko widmo i ułuda — i że jej tu niema — i roilem, co to byłoby za szczęście, gdyby ta róża polna na zawsze u mnie zamieszkała, jako moja żona.

Żona! prawdę mówiąc, nigdy na serjo nie myślałem dotąd o małżeństwie, a dziś już po raz drugi coś mi w tym rodzaju migota. Ani Jadwiga, ani Czesia, ani tymbardziej pani Julja — nie wiązały się nigdy w mojej wyobraźni z ceremonją ślubną. Były to miłości mniej albo więcej poważne, mniej albo więcej trwałe, ale, że się tak wyrażę, poza społeczne.

Teraz dopiero po raz pierwszy — myśl ta stała tak jasno przede mną, żem się poniekąd uląkł paru moich przyjaciół, którzy wespół ze mną za-

kleli się, że nigdy się nie ożenią. Spisek szczególny i właściwie nierozsądny. Zresztą mój akces do tego spisku był bardzo nieokreślony; poczyniłem na wszelki przypadek rozmaite zastrzeżenia: „Jakkolwiek bądź — to jednakże, w każdym razie, gdyby naprzykład...” Ta niewyraźna formuła chroniła mnie przed zobowiązaniem bezwzględny. Jednakże taki Nawara, albo Herkner, albo Styczeń niewątpliwie przeciw mnieby wystąpili: Zdrada — zdrada — wołaliby do mnie.

Z tego powodu wołałem się z niemi nie widywać — i głównie przesiadywałem w domu, albo też potajemnie, jak zbrodniarz, mówiąc stylem Schopenhauera — śpieszyłem na ulicę Zieloną — do małego domku z ogrodem.

— Widzisz, stary szaleńcze! — mówiłem sam do siebie. — A jednak instynkt gatunku — opanovał i ciebie! I choć cię Schopenhauer ostrzegął, to przecież idziesz oślepiiony i bezwłasnowolny. Pomyśl, takie studenckie historie w twoim wieku. Czy ci nie wstyd?

Alem już wszelki wstyd utracił. Chwilami budził się we mnie rozsądek, ale miał minę koślawej małpy, gdy moje szaleństwo było podobne do królewny z baśni.

Tam — przy ulicy Zielonej — zdawało mi się — jest bardzo blisko nieba. Jakoż nieświadomie budowaliśmy z Elfrydą most do nieba.

---

## II.

Elfryda okazała się nadzwyczajną uczennicą. Co prawda i ja też byłem nader gorliwym nauczycielem — i wobec mojej panienki czułem się wprost natchniony, tak że kreślenie linii krzyżowych, hiperbol i parabol, linii spiralnych i sinusoid — wszystko to rozwijało się w moich oczach w jakieś symfonje poetyczne — i z tych lekcji tworzyła się jakaś zupełnie oderwana, nie mająca nic wspólnego z naszą pracą, symboliczna, nieskończona melodja.

Zaczynałem nie rozumieć, jak się to stało, że ja dotychczas mogłem istnieć bez Elfrydy — i nawet już wątpiłem, czym dotychczas wogóle egzystowałem.

Praca nasza odbywała się w pokoiku Elfrydy. Ponieważ miałem wtedy na niektóre rzeczy uwagę wprost przeczuloną, zauważyłem niedługo, że koło okna Elfrydy, już to bliżej, już dalej, czasem na chodniku przeciwnym, czasem po naszej stronie, krąży ciągle paru młodych ludzi, na oko sądząc, studentów, a którzy niewątpliwie czuwają tu dla Elfrydy.



Był tam jeden młodzieniec rudawy, barczysty, o minie bandyty, w kolosalnym kapeluszu, z grubym kijem w ręku: stał on godzinami pod latarnią na przeciwnym chodniku i ćmił papierosa za papierosem, niby to patrząc w niebo, a w gruncie śledząc nasze okno.

Był drugi elegancki mały brunecik, z melancholijnym okiem, w czarno oprawnych okularach na szerokim sznureczku i w niebieskim krawacie. Ten stał w pobliżu okna, koło bramy naszego domu — i właściwie tak się umieszczał, że nic nie mógł widzieć, ale oddychał powietrzem, którego warstwą bliższą oddychała Elfryda. Było jeszcze paru, co nie chcieli stać na miejscu, ale woleli badać sprawę metodą perypatetyczną — i krążyli po ulicy, aby od czasu do czasu rzucić okiem do pokoiku Joasi.

Jeden poważny młody człowiek, o minie profesora — stale robił sto kroków tam i z powrotem — i nagle pod okienkiem niby to przypadkiem się zatrzymywał i spoglądał w okno, za którym stała Elfryda; udając, że stało się tak od niechcienia — szedł z pośpiechem dalej, robił kilkadziesiąt kroków i wracał z powrotem.

Inny, wygolony, jak Anglik, pan w pelerynie, czupurny i żywy, o świdrującym czarnym oku, tę samą podróż odbywał w kierunku odwrotnym, ale ten zatrzymywał się pod oknem na dwie minuty i dłużej, śpiewając jakieś arje z operetek.

Zaprowadziłem zwyczaj radykalny; zapuszczałem firaneczki tak, że nic nie było widać — i do-

radziłem Elfrydzie, żeby zawsze to samo czyniła, co też mi ona obiecała.

Młodzież ta — wyznaję — z lekka mię zaczęła niepokoić. Bez trudu domyśliłem się, co znaczy ta defilada. Widocznie chłopcy zauważyli ładną dziewczynę i krążyli koło okna, jak wilcy koło owczarni. Od panny Elizy dowiedziałem się nawet, że Joasia dostała w okolicy przezwisko: panienka z okienka.

Jakoż z czasów poniewieskich został jej obyczaj, mało znany w większych miastach, wyglądania przez okno. O ile była sama w swoim pokoju, rano czy wieczorem, stawała w oknie i przez otwarty lufcik patrzyła na ulicę. Zresztą nie było tam nic ciekawego do widzenia: była to ulica spokojna, mało ruchliwa, oddalona od centrum, w niehandlowej dzielnicy; w każdym prawie domku był tam ogródek, a chodniki były wysadzone kasztanami. Domów wyższych nad dwupiętrowe widziałeś tu niewiele; byłeś niby na prowincji, gdzie się mniej więcej wszyscy, choć z widzenia, znają. Nic też dziwnego, że zjawienie się Elfrydy obudziło tu powszechne zajęcie.

Zapuszczanie firaneczki, ów bardzo prosty, obmyślany przeze mnie strategiat stał się, jak to zrozumiałem później, powodem konsternacji w całej dzielnicy.

Elfrydę te wędrownki chłopców wielce bawiły. Serdecznie śmiała się z tych serenadowych przedstawień, a że była aż nazbyt żywa i mało przeczorna, przeto, wyglądając przez okno, nieraz wymieniała z niemi spojrzenia i wyglądało tak, jakby

ich sama ośmielała. To też, niewątpliwie, ci młodzi studenci mieli o Elfrydzie zupełnie osobliwe pojęcie.

— To są wszystko moi wielbiciele — mówiła Elfryda. — Kochają się we mnie i okropne oczy robią do mnie, aż mi się chce nieraz od śmiechu pokazać im nosa. Ja ich znam teraz wszystkich z imienia i nazwiska. Każdy z nich mi już tu dawał różne znaki i raz mi jeden przysłał bukiet, inny jakąś osobliwą malowaną pieczętkę z Amorem, inny znów bardzo trudny do odgadnięcia rebus albo znów list cyfrowany. Ale ja jestem *une personne très sérieuse* — nic na to nie odpowiadam. Chłopcy tu krążą całymi godzinami. O, ten rudy, co wygląda, jak zbójca, to jest malarz, nazywa się Michał Kierz, a ten brunecik, Kazimierz Zwański, to kolega Stasia i gdyby był mędrszy, toby go Staś do cioci wprowadził. Ten, co wygląda na profesora, to Józef Proszek, a tamten w pelerynii — to medyk z III roku, Leon Busz!

Elfryda mówiła o tym wszystkim tak wesoło, że we mnie, sam nie wiem dla czego, obudziło to wielką melancholję. Zapewne też odbiła się ta żalność na mojej twarzy, bo wnet i Elfryda dziwnie posmutniała, pytając:

— Czy ja co złego zrobiłam? Dla czego pan tak dziwnie na mnie patrzy?

— Nie, nic złego, ale niech pani im się nie przygląda tak z okna, bo mogliby to sobie źle wytłumaczyć.

— No, to już dobrze, nie będę wyglądać przez okno.

Rozmowa ta jednak wpłynęła na mnie ujemnie. W duszy przyznawałem, że którybądź z tych młodych ludzi miałby daleko większe prawo do Elfrydy, niż ja; myśl, że zostałbym mężem osoby, prawie o połowę młodszej ode mnie, napełniała mnie trwogą, i chwilami całe moje zachowanie się wobec Elfrydy wydawało mi się jeszcze bardziej żakowskim, niż postępowanie tych studentów. Zaczynałem się gniewać sam na siebie i duszę moją gryzły wielkie wątpliwości. Na stare lata zakochałem się w smarkatej dziewczynie — i stałem się nie mniej śmieszny, jeżeli nie więcej, jak ci studenci. Postanowiłem też sobie, że przestanę dawać lekcje Elfrydzie, że przestanę o niej tak dziecinnie marzyć, i wogóle zapomnę o niej zupełnie: wrócę na nasze zebrania w knajpie u Wincentego, gdzie na nowo rozpocznę sceptyczno-cyniczne biesiady, aby się uleczyć z mojej spóźnionej roman tyki. Takem sobie postanowił i dotrzymałem słowa. Koledzy powitali mię hucznym brawem, jako marnotrawnego syna, i honorowy poncz mi ofiarowali. Nie spowiadałem się im z powodów mej dłuższej nieobecności; starałem się być, ile można, drwiącym i cynicznym — i wogóle okłamywałem sam siebie, bo w istocie było mi nieskończenie smutno.

Czasami też sam siebie chwytałem na przejawach aż nazbyt młodzieńczego sentymentalizmu. Raz, naprzykład, nieświadomie prawie, kupiłem pudło cukrzonych pomarańcz i dopiero, powróciwszy do domu, zrozumiałem, co to znaczy: Elfryda mówiła mi kiedyś, że bardzo lubi pomarań-

cze w cukrze; to też, ile razy widziałem w jakim magazynie ten smakołyk, zawsze mię coś korciło, żeby go kupić. Głównym źródłem mojego smutku był brak decyzji: z dnia na dzień, z godziny na godzinę zmieniałem postanowienie.

— Nigdy już tam nie pójde.

— Jutro muszę się zobaczyć z Elfrydą.

— Karolku, jesteś stary głupiec. Spraw sobie szlafrok i pantofle!

— Bez niej wyżyć nie mogę. Przecież to samobójstwo. Jutro oświadczę się cioci i pannie!

— O, idjoto! czy wytrzymasz bez śmiechu tę ceremonję?

— Nie, śmiać się nią będę! Będę się zachowywał z najwyższą powagą. Będę wzruszony!

— To idź do Wincentego — i porozmawiaj z butelką węgrzyna!

— A jednak!... Jakże mi szkoda tej krynicy życia i zmartwychwstania! Czyż na zawsze mam być trupem — i niewolno mi się odrodzić?

Toż skoro tylko zamykałem oczy, natychmiast, jakby tam na siatkówce była tylko ona jedna, wypływała Elfryda w całej swej postaci, kształtna, wysmukła, silna, dysząca radością. Coś niesłychanie pieszczotliwego płynęło mi od tej wizji — i byłem niezadowolony, że takie samemu sobie nieprzyjazne uczynił postanowienie, i że już dzień dni nie był u Elfrydy — i nawet nie wiem, jak daleko posunęło się zuchwalstwo tych błaznów studentów.

Właśnie był dzień jedenasty, gdy w godzinach

porannych listonosz przyniósł mi kartkę z malowanką. Obrazek przedstawiał człowieka, który tonie w wodzie, i drugiego, który się w głąb rzucił i nieszczęsnego ze spienionych fal mężnie wydobywa.

Pod tym obrazkiem widziałeś miłe, drobne pismo; fioletowym atramentem nakreślone były wyrazy:

*Pan nigdy nie będzie taki!*

*Jeanne.*

— To od niej. Co za gorzka pogarda — pomyślałem sobie — i stało mi się na świecie bardzo miło i zabawnie. Gniewa się na mnie za moją nieobecność, którą nawet listownie zaniechałem wytłumaczyć.

Zdecydowałem się ostatecznie, że pójdę do niej! Przyszła mi na myśl dziwna refleksja: ile razy występowałem w roli amanta, byłem stanowczy, szybki i pewny ręki; skoro tylko wiązała się z tym choćby daleka myśl o małżeństwie, traciłem równowagę ducha i stawałem się niepewny siebie. Zdaje mi się, że budziła we mnie trwogę idea ciągłości związku — i tej krępującej jednostajności, co się z nim łączy. Czyby nie zmienić taktyki z Elfrydą? Myśl o małżeństwie denerwuje mnie i ubezwładnia. Niech naprzód zostanie moją kochanką, a potem zobaczymy. I odepchnąłem natychmiast tę decyzję z oburzeniem.

Nie znaczy to bynajmniej, abym miał chęć obrażać pamięć kobiet, które mnie kochały, gdyż za-

wsze świętą jest pamięć osoby, która ci dała w życiu choćby godzinę szczęścia, ale postać Elfrydy w mojej wyobraźni kojarzyła się z ceremonjałem czysto społecznym. Może dla tego, że była to jakby leśna dryjada, i słodko mi było marzyć, że taką właśnie istotę, oswojoną, będę miał w domu. Może to wpływ czwartego krzyżyka — i utajony egoizm, pożądanie słońca na nadchodzącą jesień żywota, nie wiem, ale odrzuciłem stanowczo wszelki zamiar nieprawny względem Elfrydy, a z drugiej strony — stara nawyczka! niesłuchanie trudno było mi wejść w formuły obyczajowe.

Gdym przybył do małego domku przy ulicy Zielonej, panowało tam wielkie wzburzenie. Ciocia wyglądała na osobę bardzo strapioną, p. Eliza była blada, nawet żółtawa nieco, i oczy opuściła w ziemię, Elfryda zaś miała pod oczkami sinoczerwone prążki, jakby długo przedtym płakała. Był nadto w pokoju student, brat Elfrydy, chłopiec wysmukły, o małych wąsikach, szatyn ciemny, mający oczy, podobne do Elfrydy, choć spojrzenie mniej czyste: widać, że ten młodzieniec niemało uciech sączył z pułapu życia. Był ubrany w sposób wyszukany, mundur nosił zawsze galowy, a na oczach miał wcale niepotrzebne binokle bez sznurczka. Przemawiał nieco z góry, jakby urzędowy opiekun siostry. Krążył po pokoju, z rękami w kieszeniach, bardzo wzburzony — i, jak dotąd, jedną tylko etażerkę z kwiatami przewrócił, kota wyrzucił przez okno do ogrodu, a suce groził, że to samo z nią uczyni, jeżeli warczeć nie przestanie.

— Moja Joasiu — mówił — jesteś cielątko. Kiedy zamąż wyjdiesz, to będziesz mogła roman-sować — to jest przyjęte. Ale dopóki jesteś panną — to się pilnuj. Tu nie jest Poniewież, tylko Warszawa. A tym opryszkom ja poprzetrącam nogi i ręce... Kamień na kamieniu nie pozostanie...

— Co się stało? — pytałem zaniepokojony. — I czemuż to pan siostrę zowie cielątkiem — i takie szczególne nauki jej daje.

— Nauki moje są tylko esencją dzisiejszego ustroju społecznego — tak właśnie, jak to się praktykuje, a że cielątko jest — to jest. Mnie, starszemu bratu, wolno tak powiedzieć do siostry, bo i ona mi nieraz mówi: ty, baranie.

— Czy p. Elfryda miała jaką przykrość? — zapytałem cici, nie chcąc tymczasowo poruszać tematów Stasia.

— O, i wielką — powiedziała ciocia z ciężkim westchnieniem, a panna Eliza jeszcze boleśniej westchnęła.

— A to wszystko przez pana — zawołała do mnie Elfryda. — Dostał pan moją kartkę? Czy pan wie, że ja omało nie utonąłam, a pana tu nie było, żeby mnie ratować. Bo pan jest nie-czuły, lodowaty, bez serca... Żebym ja była o tym wiedziała...

— Ale o czym? Skądże te groźne posądenia? I gdzie to pani omało co nie utonąła...

— W tym oknie. Bo to cała historia przez to okno. I dopiero jak zobaczyli Staśka, to się ulękli...

— Kto zobaczył Staśka... kto się ulękł?...



— Te chłopcy. Nie wiedziałam, że studenci są tacy złośliwi. Więc to było tak: oni tu się ciągle kręcili pod oknami, ale ja nic nie winna, bo przecież nawet się na nich nie patrzyłam. Dla czego oni to robili — nie wiem: to pewno taka zabawa studencka. A ja, że pan nie przychodził, rysowałam ciągle te same linje i te same figury, co mi pan pokazał. Więc siedziałam raz w nocy przy lampie i rysowałam, a wszyscy już spali — i panna Eliza spała (tu zauważyłem, że panna Eliza jeszcze bardziej oczy opuściła), a że było bardzo gorąco, więc otworzyłam lufcik. Była może pierwsza po północy. Wtym słyszę z ulicy głos, co woła: Panno Joasiu! W tej chwili wstałam i wyjrzałam przez okno, a tu pod oknem wszystkie te chłopcy, i Leon, i Kazio, i Michał... stanęli i czapki zdjęli, grzecznie mi się kłaniają. A ten, co wygląda na profesora, p. Józef, tak mi powiada: — Proszę pani, wielkie grozi ci niebezpieczeństwo, i przychodzimy cię ostrzec! — Ach, jak to ładnie z ich strony... — tak sobie pomyślałam i zaraz im podziękowałam. — Serdecznie jestem obowiązana panom, panowie studenci. Cóż mi grozi? powiedzcie, bo się bardzo lękam. — Więc oni znowu: — Jest tu jeden wielki siłacz, atleta z cyrku, który się chwali, że panią porwie i na koniec świata zawiezie! — Aż mię dreszcz przeszedł, gdym to usłyszała: żeby mnie jakiś straszny człowiek porwał i uniośł gdzie daleko, i nie mogłabym zobaczyć się z mamą, ani z ciocią, ani ze Staśkiem, ani z panem Karolem! Więc, oczywiście, tak powiadam: — Ah! jacy wy

dobrzy, jacy szlachetni, że mnie ostrzegacie! Uratowaliście mnie od strasznego nieszczęścia! A mama to mi mówiła w Poniewieżu, że pilnuj się — powiada — i czuwaj nad sobą tam, niby w Warszawie, bo tam są ludzie chytry i złośliwi, a tymczasem wcale nieprawda! Dusze pocziwe i oddajecie mi rzeczywiście wielką usługę! Przysięgam, że lubię was za to ogromnie, za tę waszą szczerłość i złote serce! Już ja wam tego do końca życia nie zapomnę i musimy się zapoznać bliżej: ja was poproszę, to tu przyjdziecie do mnie kiedy na herbatę wieczorem, i ciocia będzie, i panna Eliza będzie — (panna Eliza nagle twarz odwróciła) — i będzie Stasiak, mój brat, i pan Karol, mój narzeczony — a gdy ja z pewnym zadziwieniem słuchałem tego słowa, pośpieszyła dodać — umyślnie tak powiedziałam „mój narzeczony“, żeby im zaimponować, że niby już zamąż wychodzę, ale przecież ja wiem, że pan mnie nie kocha, i że pan wcale nie jest mój narzeczony! I, proszę pana, naraz te chłopcy, jeden naprawo, drugi nalewo, i powiadają: — do widzenia, dziękujemy! — i, sama nie wiem dla czego, śmiali się bardzo...

Chciałam jeszcze im podziękować i niemało powiedzieć, ale oni zniknęli — i zrobiło mi się smutno. Pomyślałam sobie: szkoda, że tu niema Staśka albo pana Karola, toby z nimi lepiej pomówił. Bo przecież to było bardzo zacnie, że mnie ostrzegli przed tym olbrzymem! Nieprawda? Zamknęłam okno i tak sobie myślę: czy aby nie zrobiłam jakiego głupstwa? Co to za człowiek z cyrku, co

mnie chciał porwać? Gdzie on mnie widział i kiedy? Nic sobie nie przypominam i nigdy go nie widziałam. Czy to nie był tylko figiel — i dla czego oni, skoro jeno usłyszeli: Stasiek, Karol, pan Karol, to zaraz uciekli? Tak sobie myślałam, bo jestem bardzo bystra — i zaraz sobie powiedziałam, że jestem cielę i osoba niedojrzała i nie można mnie samej sobie zostawić. Na drugi dzień o tym powiedziałam cioci i p. Elizie, a p. Eliza aż zemdląła, gdy usłyszała moje opowiadanie — (tu, jakem zauważył, panna Eliza zaczerwieniła się, jak burak) — a ciocia bardzo się na mnie pogniewała i powiada: „ty jeszcze kiedy utoniesz, taka jesteś lekkomyślna!“ — A dopiero Stasiek jak mi zaczął mówić, że jestem cielę, i gęś, i takie różne rzeczy, com już sama sobie powiedziała! Pewnie ma słuszność, bo on jest doświadczony. Ale nikt mię nie bronił, więc mi było smutno. Myślę sobie: pan Karol pewnie byłby po mojej stronie, ale to człowiek zimny, bez duszy i zapomniał już o mnie.

Ta dziewczyna stanowczo przeczuwa, że we mnie coś się odbywa szczególnego i że jestem niemal pod jej władzą; zachowuje się tak, jakby to, o czym ja marzę chwilami, niestanowczo, czasem ironicznie — już oddawna było faktem dokonanym.

— Bezwarunkowo będę pani bronił, a co do pani oskarżeń, że jestem bez duszy, to znowu...

— Przepraszam, kolego! — przerwał z powagą Stasiek — pozwólcie, że ja się tą sprawą zajmę. Był to, oczywiście, ze strony tych panów nieprzyzwoity żart, to też ja (tu wskazał na swoją kami-

zelkę) — muszę ich ukarać. Gnaty im pogruchocę, pokrwawię ze szczętem, rozprawię się z nimi ostro i stanowczo. Cześć kobiety, rozumiecie, to nie drobiazg! Będę walczył o cześć mojej zhańbionej siostry.

— Ależ, Stasiu! — zawołała przerażona ciocia. — Co ty pleciesz! Skądże znowu zhańbionej...

— No, niezhańbionej, ale mogłaby nią być. W każdym razie tego nie można puścić płazem. Zresztą... Możeby ciocia dała mi co do zjedzenia, bo właśnie jestem bez obiadu; krucho ze mną, a gospodyni już nie chce kredytować...

Ciocia wydała odpowiednie rozporządzenia, ja zaś zapytałem:

— A gdzie są ci młodzi ludzie?

— Właśnie, że znikli, jak kamfora — i niewiadomo, co się z nimi stało... Od trzech dni ich nie widać.

— Ja ich pod ziemią wynajdę — emfaticznie wołał Staś. — Ścigać ich będę na koniec świata. Honor rodziny tak mi każe...

W tej chwili poproszono go do jadalnego pokoju, a ja z ciocią zacząłem tę sprawę rozważać i doszliśmy do wniosku, że właściwie nic się nie stało, że właściwie nie było żadnej tragedji — i że cała ta przygoda nikomu nie wyrządziła krzywdy. Fortel studencki z atletą cyrkowym był w gruncie dość naiwny; zaufanie Elfrydy raczej dobrze świadczy o jej czystości duszy, a znowu jej koncept, ów „mój narzeczony“, celnie powalił na ziemię atletę. Ciocia była udobruchana, a Elfryda patrzyła na

mnie z filuternym uśmiechem, aż jej mały, nieco zadarty nosek z lekka się poruszał — i mówiła:

— O, zaraz mówiłam, że pan Karol wszystko zmiarkuje i wytłumaczy. Bardzo dziękuję — ale teraz druga sprawa. Powiem panu, że pan jest szkaradny i że gniewam się na pana: dla czego pan tyle dni nie przychodził?

Zacząłem się tłumaczyć w sposób dość nieokreślony, to też czułem, że Elfryda mi nie dowierza. Swoją drogą nastąpiła zgoda — i obiecałem na nowo rozpocząć lekcje. Gawędziliśmy jeszcze z pół godziny, przeważnie na temat, czy prawdą jest to, co mówił Stasiak, że kiedy panna zamąż wychodzi, to zaraz potym zaczyna romansować, a przecież Stasiak zna życie, więc dobrze wie, co mówi.

Twierdziłem stanowczo, że to jest nieprawda, że nigdy na świecie nic podobnego nie widziałem; że było to tylko za czasów Heleny Trojańskiej, raz jeden w historii. Takem opowiadał półdrwiąco — i czułem się odrodzony widokiem Elfrydy, która mi się wydawała zgoła wyjątkową osobą: zwątpienia moje pierzchły, byłem zdecydowany na krok ostateczny: zresztą nie oznaczyłem sobie dnia, ani godziny.

Tymczasem pannie Elizie zrobiło się niedobrze. Pobladła, jak trup — i zemdlona osunęła się na fotelu; obie kobiety ją podtrzymały, a ciocia prosiła mnie, żebym poszedł po doktora.

Natychmiast ruszyłem w drogę, a Stasiak ze mną.

— Niech pan lepiej zostanie — rzekłem. — Może pan będzie tu potrzebny.

— Na nic — rzekł, wychodząc wraz ze mną. — Zresztą mam pilną sprawę, panie kolego, a przede wszystkim muszę się zająć walką przeciw tym kanalom. Posiekam ich na drobne kawałki. Będę miał z pięć pojedynków, a tu, jak na złość, jestem goły, jak bizun. Pożyczcie mi 30 Er na tydzień czasu. Zwrócę, jak zegarek.

Żadaną kwotę wręczyłem Stasiowi i dodałem te słowa:

— Mój panie, czemu pan siostrze opowiada, że po ślubie można romansować z innymi? Czemu pan zatruwa tę kryształową, czystą duszę?

— Szanowny kolego — odparł Stasiak, zapalając cygaro — to, co mówiłem, jest to nauka dla kobiet mądrych, ale Joasia tego nigdy nie zrozumie! Będzie taka, jak jej matka: będzie wyprawiała różne hece, ale zawsze najbezpieczniej dochowa wierności mężowi!

Pomyślałem sobie wówczas: obyż ta Joasia była naprawdę nie za mądra! W słowach Staśka czułem tensam cynizm, który i my uprawialiśmy niegdyś, i dla nieczystego sumienia była we mnie trwoga, bo, jak powiada mędrzec: to się mści!

Czyż i na mnie to się zemści?

---

### III.

Postanowiłem więc, że w jak najprędszym czasie całą sprawę załatwię i rozwiążę.

Z tym postanowieniem wróciłem do domu, ale w nocy na nowo mię opanowały zwątpienia. Przewszystkim rozważałem, czy nie łudzę się, sądząc, że związanie się z kobietą, choćby tak słodką, jak Elfryda, jest konieczne dla spełnienia moich przeznaczeń. Jakkolwiek moje stanowisko na świecie jest dosyć skromne, to jednak wierzę w to, że każdy człowiek ma swe przeznaczenie, pewną rolę do odegrania na ziemi; rola ta, o ile ją wykonywasz należycie, niewątpliwie określi rację twego bytu na świecie. Jest to jednak rola nieosobista i nieświadoma, jesteś tu niby jednym z owych ślimaczków, których miljardy złożyły się na kredówce. — Była to, jak widzimy, droga, jak to mówią, użyteczna, ale bez blasku. Byłem zresztą bardzo ceniony w swoim zawodzie i świeżo otrzymałem propozycję budowania mostu w gubernjum Czerńhowskim. Jednak, bądź-jak-bądź, należy mi się też jakiś promień w życiu; nie przypuszczam, aby ta promienność popsuła mi natchnienie. Ale z drugiej strony obawiałem się kolegów, zaklętych wrogów

stanu małżeńskiego, a którzy z miłości stworzyli sobie jakiś fenomen sam w sobie i dla siebie, absolutny i zamknięty, bez celu i bez przyczyny; w gruncie i ja miałem te same poglądy. Jedyne cel miłości stanowiła dla nich rozkosz; nawet rozmaite cierpienia, rozczarowania, niewzajemności, załamania, samobójstwa — nawet to wszystko wchodziło do programu tej samolubnej, oderwanej od życia miłości. Owóż czułem, że tu, poza rozkoszą, ukazuje się nadto jeszcze inna potęga: obowiązek, połączenie na całe życie, coś, co mi niezmiernie trudno sobie wyobrazić. Dzięki perwersji, jakiej nabyłem sam z siebie i w towarzystwie swoich kolegów — przychodziły mi do głowy i takie myśli, że prędzej czy później z Elfrydą się rozłączę — i, wyznaję, że mi ta myśl rozłączenia była niemniej przyjemną, jak myśl połączenia.

Bądź-jak-bądź, z tą bandą byłem tak związany, że główna moja myśl krążyła koło kwestji, aby się moi przyjaciele jakim bądź sposobem o moim grzechu nie dowiedzieli. Dawno już między nimi nie byłem, ale widać jakieś plotki o mnie rozpuszczono po mieście, gdyż spotkałem się raz z doktorem Lędźwiłem i z Dantyskiem, i obaj czynili dość ironiczne aluzje do jakiejś mojej erotycznej przygody. Nicem na to nie odpowiadał, udając, że nie rozumiem; jednakże mnie to zastanowiło. Ostatecznie nie zwracałbym na to wcale uwagi, gdyby nie to, że ja osobiście całą ich ironję miałem w samym sobie.

Nim usnąłem, zdecydowałem po raz nie wiem który:



— Nie — nie! Będę dla niej ojcem — mistrzem — bratem — co chcecie, ale nie...

Na lekcje uczęszczałem bardzo akuratnie. Moja uczennica robiła znakomite postępy: rysowaliśmy już małe projekty arkad i mostów; słowem, panna stawała się doskonałym inżynierem.

Ja jednakże zachowywałem się na lekcjach w sposób tak oficjalny, że Joasia bywała najczęściej łzawo melancholijna, jakby jakiś żal miała do mnie, co mi znowu sprawiało rzeczywistą przykrość.

Czasem też przerywała pracę — spoglądała na mnie żałośnie — i naraz wołała:

— Pan nic nie rozumie! — albo...

— Pan jest zimny, jak lodowiec! — albo znowu:

— Szkoda, że pan nie jest inny!...

Rozumiałem to wszystko aż zanadto dobrze — i tylko to mię smuciło, że Elfryda była blada, żaloszna, melancholijna — i że traciła humor.

I ciocia była o nią też niespokojna. Mówiła mi, że nie wie, co się stało z dziewczyną, że miasto na nią źle oddziaływa, że jada, jak ptaszyna, że pewnie jest chora...

Zaczynałem się trwożyć, bo widocznym jest, że choć moje postanowienia były mocne, niemal niewzruszone — to jednak, bójcie się Boga! łyzy panny, jej bladość i smutek — wszystko to budziło we mnie zwątpienie i łamało moją wolę.

Gdym na nowo był sam ze sobą, rozmyślałem, co zrobić: czy wyjechać do ziemi Czernihowskiej, zanim będzie to konieczne (miałem jeszcze sześć tygodni czasu) — czy brutalnie zerwać raz na za-

wsze i raz na zawsze powrócić do pana Wincentego — czy też, mówiąc po mieszczkańsku, oświadczyć się pannie — i poddać się wymogom społecznym?

Bo wiedziałem już, że niema wyjścia. Przeczynałem niebo słodczy, ale dostrzegąłem też czarną stronę tego nieba. Nie będę o tym wspominał, gdyż na naszych zebraniach u Wincentego instytucję małżeńską takeśmy do cna obgadali, obciosali, obstrugali, że byłem raczej przygotowany na najgorsze, niż na najlepsze — rezultaty. Nikt z większą niewiarą nie przystępował do tej sprawy, którą, niewiadomo dla czego, ludzie nazywają wielką sprawą. Gdybym chciał określić, jakie było moje główne uczucie w tym momencie, to powiedziałbym, że było to uczucie szyderstwa, połączonego ze strachem wobec nieznanego...

\* \* \*

Gdym tak pewnego dnia rozmyślał, pisząc listy w sprawie Czernihowskiej — usłyszałem naraz gwałtowne dzwonięcie. Otworzyłem drzwi — i oto do mego przedpokoju weszli kolejno: stróż domu, chłop olbrzym białowąsy, w kubraku, który był niegdyś szaro-zielony; nieznajoma, niemłoda kobieta w łachmanach jedwabnych, wreszcie Elfryda...

Widok ten zadziwił mię razem i ucieszył. Elfryda, z twarzą zarumienioną od wiatru wrześnieowego, w niebieskim płaszczyku, robiła na mnie wrażenie świeżo rozkwitłej giencjany... Śród tego stróża — zacnego bardzo, ale mało wytwornego czło-

wieka — oraz tej kobiety, którą czuć było rynsztokiem, wyglądała, jak zjawisko. Parę nieokreślonych słów powiedziałem do Elfrydy, chcąc wyrozumieć znaczenie tej wizyty. Kobieta w łachmanach, podtrzymywana przez stróża, ledwie mogła stać na nogach — i, zamglonym okiem patrząc dokoła, szeptała, jakby do siebie:

— O, Boże miłosierny, zlituj się nade mną! — a spirytusem czuć ją było na dwadzieścia cztery metry.

Stróż ze stoicyzmem rzymskiego legionisty stał koło tej kobiety i podtrzymywał jej niepewną postawę dwunożną, gdyż najwidoczniej miała ochotę położyć się na ziemi. Cała ta scena odbywała się w przedpokoju. Poprosiłem Elfrydę do mego gabinetu, a stróż z nieznaną pijaczką został w przedpokoju. Kobietę posadzono na kanapie; pijaczka natychmiast usnęła.

— Co się stało? — zapytałem Elfrydy, która stała zmieszana. — Co to znaczy?

Elfryda milczała, nie mogąc znaleźć słów odpowiednich, ale Ignac przemówił.

— A to, proszę łaski pana — ta pijaczka baba zwała się pod bramą — i tak ciągiem siedzi a siedzi, ciągiem płacze a płacze... Ja ją znam, bo to się tu jeszcze dziesięć lat temu włóczyło po ulicy, niby jako miłosierna panna, co to każdego kocha... Ale potym to to się zestarzało — pies jej nie chciał — zestarzało się i — na śmieciarkę poszła... Takem ją chciał przepędzić, bo to niewolno włóczęgom — aż tu — ta panienska zbliża się do niej...

— Nie, to było nie tak. Oto ta kobieta, biedna i nieszczęśliwa, siedziała pod bramą zapłakana — więc się do niej zbliżyłam, bo mię litość ogarnęła, i pytam: Co za jedna? A ona do mnie: „O, moja złota paniusiu, moja święta — taka jesteś podobna do mnie, kiedy byłam w twoich latach, że mogłabym paniusię kochać, jak córkę!“ Bardzo mię to ujęło, więc mówię: Moja biedna pani, cóż to z wami się stało, że tu we łzach siedzicie pod bramą, a ten niedobry człowiek was wypędza — „Paniusiu droga, samotna jestem na świecie, sierota opuszczona, bez ojca i matki, bez kawałka chleba, od trzech dni nic nie jadłam! Ulituj się nade mną, królowno złocista!“ — A gdzież wy mieszkacie, dobra kobieto? — „Gdzie się uda, panieneczko. Kąta nie mam pod głowę, ani domu, ani dachu — sierota opuszczona, bez ojca i matki...“

Tak mówiła Elfryda — i szczęście, że się pijana baba obudziła, bo jej chrapanie przeszkadzało mi słyszeć głos dobroczynej panienki... Scena ta mimowoli przypomniała mi obrazki z „Wieczorów Rodzinnych“. Elfryda, mówiąc, naśladowała czarownie każde słowo i grę twarzy obcej kobiety, która się przyglądała tępym okiem całej tej scenie, choć nie brakło w jej spojrzeniu pewnego zachwyty dla swej dobrodziejki.

Stróż zaś słuchał tego opowiadania z wyrazem wyższości, właściwej urzędnikowi, znającemu instrukcję policyjną, od czasu do czasu uśmiechał się życzliwie a ironicznie — i zaznaczył:

— Tak świegotała ta śliczności panienka — ale

ja przecież wiem, co robię — i muszę słuchać naczałstwa — a włóczęgów nie puszczać! Toć ja wiem, co za jedna ta stara Wikta...

— Wikta! — pomyślałem i baczniej się zacząłem przyglądać kobiecie...

— Jeszcze dziesięć lat temu — to to wyglądało inaczej! Ubierało się, jak marmuzela, a włosy, co ich teraz prawie że niema, malowała galancie na żółto i mieszkała we trzech pokojach... Ale jak się to zestarzało, a stało się niezdolne niby już do tej zabawy, to ją facety przepędziły — i teraz to tylko czasem gdzie pijany żołnierz jej się trafi, co jej da dychę. I tak z rozpaczy pije i włóczy się po ulicach, zamiast — by to zostać śmieciarką albo inny uczciwy proceder prowadzić.

— O, jaki to zły, niepocziwy człowiek! I nie wiem, czego on chce od tej nieszczęśliwej kobiety! Przecież ona nie winna, że dzisiejszy ustrój społeczny powoduje nędzę! Gdyby ten ustrój zmienić na inny — lepszy, to odrazu cały świat inaczejby wyglądał i nie byłoby takich strasznych kategorii! Ale tu nie o to idzie; tu trzeba pomóc tej kobiecie, ocalić ją od nędzy i upadku: pan się tym zajmie — nieprawdaż, panie Karolu! Właśnie, kiedym z nią rozmawiała, patrzę, aż tu Nr. 27. Myślę sobie: w tym domu mieszka pan Karol. Zobaczymy, czy on ma serce! Więc zaraz poprosiłam tego człowieka...

— Już to widać, że paniusia ma dobre serce, bo i tej kobiecie dała pół rubla — i mnie pół

rubla! Pokornie dziękuję, choć, uczciwszy uszy, dla takiego ścierwa to szkoda było całej tej fatygi...

— No, mój Piotrze, dajcie już pokój. Trzebaby z tą starą coś zrobić: odwieźcie ją do domu przytułku, dam wam tu list do pani N...

Mówiąc to, wyszedłem do przedpokoju, gdzie przyjrzałem się Wikcie. Cierpko mi się zrobiło, a zwłaszcza, gdy naraz ta rozpijaczona twarz starej więdźmy zaczęła mi się przyglądać zezem, wyłupiastym, sinym i podsiniąłym okiem...

— Franek! — zawołała na mnie — i tu jałem błogosławić moją chytrość studencką. Znałem kiedyś tę kobietę, znałem ją przed dwudziestu laty; ona to, starsza od nas, w wolnej miłości żyjąca osoba, wtajemniczyła zarówno mnie, jak i wielu z naszych kolegów, w arkana Erosa. Kiedy dziś patrzę na tę pierwszą moją realizację miłości, zgroza mnie ogarnia i myślę, jak dziwnymi drogami prowadzi nas życie ku prawdzie. Mieliśmy z Wiktą system taki, żeśmy zmieniali imiona: Władek nazywał się Michałem, Stasiak Jerzym, a ja — Frankiem. Prawdziwe to zbawienie było dla mnie, gdyż coby to było, gdyby ta kobieta знаła moje imię; coby to było, gdyby mnie tak nazwała wobec Joasi: zaiste, nie wiem i myśl o takiej możliwości napełniła mnie zgrozą; w oczach mi się zrobiło ciemno, poblądłem, aż musiałem się oprzeć o ścianę i drżącym głosem niecierpliwie już mówiłem do Piotra:

— Weźcie tę kobietę i wsadźcie do dorożki. Odwieź ją tam a tam, a dorożkarzowi dajcie mój

bilet dla pani N. — piliłem stróża, aby jak najprędzej sprawę załatwił. Dałem mu jeszcze rubla za pośpiech — i odetchnąłem dopiero, gdy Piotr z babą znaleźli się za drzwiami.

Wróciłem do swego gabinetu, gdzie w pobliżu drzwi stała Elfryda. Byłem zawstydzony i onieśmieszony; poprostu było mi wstyd mojej przeszłości, tego momentu, który mi się dziś wydawał hańbą. I trwoga była we mnie, czy aby Elfryda nie miała jakich podejrzeń; czy nie domyśliła się czego. Ale ta łabędzia dusza nawet przypuszczeń żadnych nie miała; okrzyk „Franek“ przeszedł koło jej ucha niedosłyszany. Owszem, rozjaśniona, dziękowała mi bardzo, z uśmiechem tak czarownym, że cały mój niepokój prysnął, niby mgła. Byłem teraz, jak w marzeniu: sam na sam z tą czystą, ukochaną, słodką dziewczyną.

— Teraz widzę, że pan ma serce. Bardzo się cieszę. Tyle nieszczęścia jest na ziemi — i to wszystko. I gdyby tylko zmienić ustrój socjalny...

Moje drogie biedactwo, ona wierzyła, że ustrój socjalny można zmienić odrazu, byle się tylko ludzie na to zgodzili; ale mnie to sprawiało wielką przyjemność, kiedy ta miła istotka plotła sobie takie koszałki-opałki, i, owszem, jeszcze ją podniecałem. Strasznie urągałem na ten ustrój socjalny i dawałem jej nawet fantastyczne pomysły zmiany „tego wszystkiego“. Zgadzała się ze mną doskonale i powoli znikła jej nieśmiałość w stosunku do mnie. Rzeczywiście, sytuacja była wyjątkowa dla tak zwanej panny dobrze wychowanej. Była w mieszkaniu

kawalerskim, co prawda, u starego kawalera, ale bądź-jak-bądź wiedziała, że mi nie jest obojętną. To też chciała zaraz uciekać i już mię żegnała; ja zaś dziękowałem jej pokornie za ten zaszczyt, za zjawienie się u mnie, za to rozświecenie moich ciemności i rozcieplenie mojego zimnego mieszkania swoją osobą.

— Ach, jaki też pan szkaradny, żeby mi takie głupstwa opowiadać! Pan mię pewno ma za jakąś gęś salonową — i dla tego mi pan tak pochlebia. Jużbym wolała, żeby pan był cynik, bo mi mówili, że pan jest cynik. Czy pan naprawdę jest cynik? Co to jest cynik?

— Cynik? Nie wiem. Nigdy nie byłem cynikiem. Co pani nazywa cynikiem?

— Cynik — to jest taki, co dźwi z miłości i nie odczuwa miłości. Mnie się zdaje, że pan nie odczuwa miłości.

— Droga panno Joasiu, odczuwałem ja miłość, kiedy byłem młody, ale nie dziś to dla mnie o tych sprawach myśleć.

— To pan już taki stary?

— Ojcem pani mógłbym być...

— Cha, cha! To zabawne... Wcale, wcale nie mógłby pan być moim ojcem, tylko...

— Tylko...

— Tylko... Kiedy pan nic nie rozumie. Pan jest bez serca. Czasem to ja pana bardzo nie lubię... O, jaki tu u pana nieporządek...

Tu Elfryda zaczęła mi pokazywać braki mojego mieszkania, które mnie się wydawało bajecznie czy-



stym i eleganckim. Ale ona wskazała mi tysiące braków i niedostatków. Na ścianie wisiały obrazki Stycznia i kilku innych moich znajomych malarzy, a nadto ośm lub dziewięć fotografii kobiecych.

— A to co za kobiety? To pewno pańskie kochanki. Czy pan się kiedy kochał? Czy pan się naprawdę kochał? Niech pan mi powie.

Opowiedziałem Joasi parę *ad hoc* upiększonych historyjek, w których mniej więcej bohatersko występowałem. Niektóre pomiąłem: wspomniałem Czesię, Jadwigę, Wandę, Maryłę — wreszcie najdłużej zatrzymałem się nad historją Julji, której fotografia zresztą była ukryta w biurku — i nie wisiała na ścianie. Była to, rzeczywiście, tragiczna sprawa, choć niezmiernie prosta. Julja była żoną mego kolegi — i kochaliśmy się z nią bardzo gorąco, ale razem bardzo czysto i szlachetnie: gdyż niemniej kochałem jej męża, który o tej miłości wiedział i który owszem dał nam wolną drogę do postępowania. Wiedzieliśmy, że pójść za popędem serca, byłby to dla męża Julji wyrok śmierci — i że on oczekiwał tego wyroku z najwyższym spokojem. Otóż ani ona, ani ja nie chcieliśmy do tego dopuścić — i postanowiliśmy się rozejść. Jakoż rozeszliśmy się na zawsze z sercem obolałym. Mówiłem o tym z prawdziwym wzruszeniem — i naraz usłyszałem spazmatyczny płacz Elfrydy. Widoczne było, że ją ta historja rozrzewniła do głębi.

— O, jaki pan był nieszczęśliwy! O, jakże to piękne! Pocieszenie panu jest konieczne!

Widziałem, że Joasia całą tę historję o Julji

przeniosła niemal na dziś lub najbliższe wczoraj— i przetopiała ją w swoim własnym liryzmie. Siedziała przy mnie na fotelu, w niebieskim płaszczu i kapelusiku czarnym filcowym, przystrojonym w róże herbaciane.

Było mi tak dobrze, rozmowa nasza była tak serdeczna i słodka, że czułem się niesłychanie młody i naiwny. Z lekka cała ta rzewność zaczęła mi się wydawać nieco śmieszną. Chochlik jakiś podsuwał mi grzeszne myśli. Ale odpychałem te myśli od siebie. Owszem — postanowiłem zachowywać się surowo dla dwóch powodów: naprzód, aby nie angażować się na żaden czyn, któryby w przyszłości mię wiązał, a po wtóre — na wypadek, gdyby Elfryda miała zostać moją żoną, chciałem, aby weszła do mego domu, jako *virgo immaculata*, najmniejszym pożądaniem ani dotknięciem nie splamiona.

Postanowiłem być wobec niej czysty bezwzględnie, choć czułem, że w tej czystości jest więcej cynizmu, niż gdybym się oddał temu, co było we mnie istotnie. Byłoby najwłaściwszym wytrwać w tej obłudnej i cynicznej czystości, ale mię opanowała wiosna i naraz stałem się, jak młodzieńczyk, który własną wolę zatracił.

Elfryda wstała i zaczęła się żegnać. Twarzyczka jej biało-różowa, wcale nie klasyczna, owszem niezupełnie regularna w rysach — ale niezmiernie ładna — zdała mi się nagle zjawiskiem, którego niewolno oglądać bez pocałunku. Niespodzianym ruchem ująłem Elfrydę w pól i pocałowałem ją w to

miejsce, gdzie koło ust formują się dołączki. I oto stała się rzecz, której w głębi duszy oczekiwałem.

Jej jasne oczy zabłysły tak, że zdawały się jak płomienie. Spojrzała na mnie z niesłychaną pogardą królowej obrażonej — i bez słowa pożegnania opuściła moje mieszkanie. Szczególna rzecz, byłem z jej postępowania bardzo zadowolony — i, choć w duszy mię to bawiło, przybrałem maskę człowieka, uderzonego piorunem. Zwłaszcza ta maska utrzymała się, gdy po małej chwili usłyszałem dzwonek. Otworzyłem: weszła Elfryda, niemniej surowa i pełna powagi, jaką miewają królowe w bajkach dla dzieci — i powiedziała te słowa:

— Zapomniałam parasolki.

Z zimną powagą wręczyłem królowej parasolkę, ukloniłem się jej sztywno; ona zaś, wzięwszy zapomniany obiekt, wyszła krokiem dumnym, w którym znać było, że serce ją boli z rozczarowania.

— Stało się! utraciłeś mię na wieki! — tak mówiło całe jej zachowanie.

Gdym znalazł się w samotności, zacząłem rozważać, czy nie stało się dobrze. W istocie bowiem małżeństwo moje z tym dzieckiem byłoby absurdem: w ten zaś sposób nie ja zerwałem z nią, ale ona ze mną. Stałem się wielkim optymistą. Logika zdarzeń była dobroczynna. Jutro wyjeżdżam nad Dniepr; pójdę tylko przedtem pożegnać się do pani Marskiej.

W jakąś godzinę potym zjawił się u mnie Stasiek. Byłem przekonany, że mnie przychodzi wy-

zwać na pojedynek w obronie honoru swej zhańbionej siostry. Nic jednak o tym nie wiedział.

— Szanowny kolego! — rzekł — mam tragiczną historję. Pewna kobieta, uważacie... Miłość ognista, *rendez-vous*, upojenie najwyższe, a tu — patrzcie — golizna zupełna! Potrzeba mi nagwałt pięćdziesięciu rubli. Jeżeli mi nie pożyczycie — muszę skończyć samobójstwem...

---

#### IV.

Wkrótce wyjechałem nad Dniepr. Nie będę opisywał swego tam pobytu, gdyż to do rzeczy nie należy.

Cały się oddałem pracy przygotowawczej co do budowy mostu w powiecie N., gubernjum Czer nihowskiego. Naprzemiany siedziałem w kancelarji swojej lub też byłem w rozjazdach, czyniąc pomiary i projekty.

Starałem się zapomnieć o Joasi, ale, rzecz osobliwa — coraz bardziej mi się przypominała jej postać, a zwłaszcza jej wizyta u mnie, zakończona tak nieszczęśliwie, czy też tak szczęśliwie — pocałunkiem. W wyobraźni sprawa ta przedstawiała mi się z ciągle rosnącą mocą, jako coraz okropniejsza zbrodnia. Skutkiem tej zbrodni — zdawało mi się czasem, że utracił na wieki jedyną cudowną sposobność do szczęścia. Czasem naodwrot wyda wało mi się, że ocalił i ją i siebie. Jednakże tu na tej dalekiej ukrainie taka we mnie nastąpiła zmiana, że mój nastrój sceptyczny jakoś pierzchał — i stawałem się melancholijno-marzycielski.

Czyniłem sobie wyrzuty, że wyszedł ze swej

roli czystego cynizmu lub też cynicznej czystości i zem przez swój studencki postępek sprofanował to właśnie, co chciałem mieć kryształowym.

Przed wyjazdem byłem z pożegnaniem u cioci. Elfryda miała również kufry spakowane. Dowiedziałem się, że wyjeżdża do rodziców na wakacje. Pożegnała się ze mną lodowata i niewzruszona. Nosek jej tylko drgał nieco, a oczy, przesłonięte rzęsą, w dół opuszczone — były niewidzialne. Twarz miała bladą i dumną, jak figurka z Tanagry. Ponieważ całą tę sprawę traktowałem w jakiś szczególny sposób, jakby to była historia nie realna, ale poprostu fantazja na fortepjan, przeto, choć mi ta przygoda była przykrą, to jednakże jej bieg interesował mię, jak zabawna nowela, dotycząca rzekomo trzecich osób. I ja też z surową powagą, niby to żartujący, niby obojętny — pożegnałem Elfrydę.

Dodać muszę, że p. Elizy nie widziałem, gdyż leżała w swoim pokoju w łóżku — i była „nie-swoja“; mdłości, torsje, omdlenia ją nawiedzały; wogóle choroba zdawała się dość niewyraźna — i doktor dotąd nie określił jej nazwy.

Żyłem tedy na dalekiej ziemi naddnieprzańskiej, cały zajęty matematyką, ale w istocie moja myśl była gdzieindziej — była daleko — i krążyła koło Pogoryszek, wcale nieznanego mi miasteczka, ale które, mimo to, kochałem, gdyż tam mieszkała... ona... Miałem jej liściki, miałem jej rysunki — i nieraz je przeglądałem, jakby to była niewyczerpana kopalnia marzeń. Na południowym słońcu tutej-

szym stawałem się coraz bardziej studencki. Minęło parę miesięcy. Nadchodził listopad. Znakomita część mojej pracy była już wykonana — i zamierzałem niedługo na pewien czas pojechać do Warszawy. Byłem teraz często poza domem, jeździłem po brzegach rzeki już to po stronie miasta N., już to po drugim brzegu, gdzie często nocowałem w chatach włościan ukraińskich, w chatach, czysto wybielonych, zdobnych w rozmaite malunki, z ogródkami, pełnymi słoneczników. Wieczorami gościnni gospodarze śpiewali mi pieśni i grali na bałabajkach.

Widok szerokich bezbrzeżnych pól, z lasami na dalekim widnokręgu, ogromne czerwone księżyce, wiatry już szumiące jesiennym powiewem, ale ciepłe i przyjemne — wszystko to wciąż rzewniejszy budziło we mnie nastrój. Sny ukazywały mi Joasię w coraz piękniejszych, w coraz bardziej anielskich postaciach.

Właściwie nie należy nigdy myśleć o tym, co stracone. Ale czy są na świecie rzeczy bezwzględnie stracone? Oto właśnie, że nie wierzył w stratę — wspominałem tę moją wizję rusałczaną.

Zaczynam wierzyć, że nasz kolega, Jan Podobłoczny, który się w ostatnich czasach zajął okultyzmem, ma słuszność. Istnieje zapewne nieświadoma komunikacja dusz na odległość. Przekonałem się, że Elfryda nie przestała myśleć o mnie, choć jeszcze była na mnie rozgoryczona.

Pewnego razu, wróciwszy z chutoru do miasteczka, znalazłem kartę pocztową. Karta była czerwona, a na niej ręcznej roboty akwarelka z podpisem:

*widok Pogoryszek* (lasek, rzeczka, domki, kościółek), zaś poniżej wiersz bezimienny, który przepisuję dosłownie:

Ukochałam w tobie to, co boże,  
Twoich marzeń idealny źródł;  
Ukochałam myśli twoich zorzę —  
Przewodnią mi gwiazdą był duch twój.  
Dziś nie wielbię cię, nie czczę, nie wierzę:  
Rzucam święty twej kapłanki próg —  
Bo poznałam w tobie jeno .....!  
A myślałam, żeś wielki, żeś bóg.

Na boku napisane było jeszcze: *Exegi!* wielkimi literami.

Wiersz może niezupełnie jasny i nie wszędzie odpowiadał warunkom prozodji, ale niewątpliwie był to owoc długich rozmyślań i pewnej namietności. Z pisma, oczywiście, poznałem, kto był autorem, raczej autorką tego listu; niemniej i treść jego, piorunująca i groźna, doskonale odpowiadała moim marzeniom.

Wiersz, jak okazało się później, był plagjatem; jest to przepisany i przekręcony dowolnie utwór jednego z poetów współczesnych. — Zaznaczam to w nawiasie.

Liścik ten i rozrzewnił mnie i zabawił. Moja laleczka chciała zabawić się w Junonę — i wyrazić mi raz jeszcze swą niezgłębioną pogardę dla mojej osoby... Z drugiej strony nie domyślałem się wcale, że ona we mnie widziała tyle wielkości, tyle boskości i innych cudów. Okazuje się, że trzeba mieć odpowiednie oczy, aby widzieć bóstwo tam, gdzie go niema. I ten ból rozczarowania — o moja słodka, pieściwa gołąbko, jakżeś ty nie-



szczęśliwa, żeś utraciła wiarę w swego boga! Żal mi cię bardzo, ale bądź pewna, że się dostroję do twoich wyżyn.

Nie, ta osóbką dziwy ze mną wyprawia. Muszę się stać wielki, muszę w sobie zogniskować boskość, muszę w sobie zwalczyć *kropki*... inaczej wszystko będzie stracone!

Byłem tego wieczora bardzo wesoły i zadowolony: już czułem się podniesiony wysoko ponad... i już marzyłem o spotkaniu z Joasią w Warszawie.

W niedługim czasie potem byłem już z powrotem w swoim starym mieszkaniu. Było po wakacjach; nazajutrz zaraz spotkałem się ze Staśkiem, który miał jakąś sprawę honorową i na jej konto pożyczył ode mnie 25 rubli. Dowiedziałem się od niego, że Joasia za parę dni wraca do cioci.

Jakoż zdarzyło się bardzo fortunnie, że i Elfrydę spotkałem na ulicy. Uśmiechnęła się do mnie czarownie i słodko, jakby zapomniała o swojej roli — obrażonej bogini, ale wnet odęła buzię i zaczęła być lodowata.

Dziękowałem jej za pamięć i za tę kartkę czerwona z malowanką i z wierszykiem: wiersz, choć tak gorzki — piękny jest i podniosły, wyrzut słuszny i niewątpliwie ten, do kogo słowa były zwrócone, pod wpływem tych cudownych słów się zmieni i z *kropek* stanie się na nowo bogiem.

Joasia szczerze była zadowolona tą tyradą, prawdopodobnie słabo odróżniała sztuczność od prawdy, choć i ja tak byłem rozradowany spotkaniem z Joasią, że i we mnie sztuczność stała się mimowoli

prawdą. Pragnąłem zostać bogiem — nagle, bez wysiłku, cudem, aby... właściwie, aby sprawić przyjemność Elfrydzie... Czy istotnie tędy prowadzi droga do boskości — wąpiliby o tym zapewne ci starzy cynicy, którzy się zbierają na kolacjach u p. Wincentego, ale ja w tym momencie przestałem być cynikiem, byłem na nowo młody i odmłodzony, czułem się zakochany, jak student, choć, co będzie dalej, o tym nie myślałem. *Amabam amans amare* — jak mówi Ś-ty Augustyn.

— To, co pan wie... wtedy u pana... to było bardzo brzydkie. Ale ja... pana lubię. Tylko musi pan się zmienić i być tak, jak przedtym. Tak mi przyszło na myśl napisać ten wierszyk, choć ja sama nie pisuję wierszy, ale jaki pan jest mądry, że się pan odrazu domyślił, że to ja napisałam.

— Przez intuicję...

— Czy pan o mnie kiedy myślał? Pewno pan o mnie zapomniał zupełnie! Co ja dla pana znaczę? wy wszyscy jesteście jednakowi. Stasiak już się teraz w piątej pannie kocha, a zawsze na wieki, zawsze jedyny, pierwszy i ostatni raz, zawsze aż do śmierci. Ale teraz to Stasiak kocha się w bardzo bogatej pannie. Jabym go tam nie kochała: szalapat, zmienia się co chwila i strasznie się zadłuża: tatuś musiał za niego 700 rubli długów zapłacić, a jeszcze futra mego nie wykupił z lombardu ani zegarka... Ale czy pan wie, co za nieszczęście mamy z panną Elizą?

— Cóż się stało?

— Nie, nie mogę panu powiedzieć, bo to sekret. W każdym razie p. Eliza jest bardzo chora,

ale to wszystko przez ten ustrój społeczny. Niech pan do nas zajdzie: ciocia będzie bardzo rada.

\* \* \*

Kiedym już się pogodził z Elfrydą i kiedy już na nowo ją zobaczyłem, jako nieutraconą, ale owszem jakby odzyskaną, znów obudziły się we mnie wątpliwości i wszystkie marzenia, które mi ozłacały samotne wieczory nad brzegami Dniepru — prysły nagle i zupełnie z innej strony mi się ukazały. U p. Wincentego powitano mnie bardzo serdecznie: niektórzy mię uważali, jakobyem już był pogrzebiony, ożeniony, zmarły — i na nowo rozpoczęli swoje złośliwe opowiadania o kobietach. Choć były wśród tych opowiadań niektóre bardzo zabawne, to jednak, gdym się znalazł sam na sam ze sobą, doszedłem do takiego wniosku:

— Wszystko, co oni mówią, może być prawdą: ale Joasia jest zupełnie inna, jest to wyjątkowa, jedyna kobieta — i na całej ziemi nie znajdzie się druga, do niej podobna.

Formuła ta stała się dla mnie tak oczywiście prawdziwa, że mi się wyrzyła w duszy, jako zasadniczy aksjomat mego życia. Dalszych wniosków jednakże z tego nie wyciągałem; tylko mi ciągle błędził wierszyk:

Gdybym był młodszy, dziewczyno!

i byłem szczęśliwy, zem taką wyjątkową, jedyną w życiu spotkał. Wszystko, com w Joasi zauważył, jej postać, jej głos, jej słowa, jej myśli, uśmiech,

postępowanie — wydawało mi się nieskończenie harmonijnym — doskonałym, wyjątkowym, jedynym. Nie, ten cynizm moich przyjaciół, zresztą i mój własny — to przecież ślepotą i nic więcej. Po prostu przejrzałem i stałem się jasnowidzący.

Spotkałem się kiedyś z Janem Podobłocznym, który, choć bywał na naszych zebraniach, to jednak miał odmienne pojęcia o miłości, gdyż kochał się raz jeden tylko w życiu, i żona jego — jak mówił — była nadzwyczajnym medjum miłosnym. Nie objawiając mu tajemnicy, pytałem go dyskretnie o pewne fenomeny psychiczne, jak je rozumieją okultyści — i z jego objaśnień dowiedziałem się, że wszystko właśnie odbywa się tak, jak u mnie: nadzwyczajne przeczulenie, jasnowidztwo, odczuwanie na odległość, wyjątkowa promiennosc widzeń sennych i t. d. Świat mi się ubarwił tak jaskrawo i żywo, jakbym dopiero wchodził w życie — i nie było dla mnie niespodzianki, którejbym nie oczekiwał w sposób najspokojniejszy. Im rzecz była dziwniejsza, cudowniejsza, tym mi się zdawała bardziej naturalna i istotniejsza, tym zgodniejsza z wewnętrzną logiką zjawisk. Nieraz o czym zamarzyłem, natychmiast się urzeczywistniało, jakby moje marzenie było właśnie wolą fatum.

Jeżeli mówię — nieraz, to przesadzam; zdarzyło się to raz jeden. Siedziałem kiedyś u siebie i marzyłem tak:

— Jakby to było ładnie, gdyby tu znów się zjawiała Elfryda.

I oto dał się słyszeć dzwonek; biegnę otworzyć

drzwi — w progu stała Elfryda. Byłem nad wyraz szczęśliwy: jakiś dobry bóg mię wysłuchał! Elfryda była blada, zmieszana, niespokojna. Płaszczyk miała na sobie ciemny, aksamitny, rodzaj futerka i białe boa z piór na szyi; kapelusz czarny słomkowy nosiła niezupełnie równo szpilką dużą przekłuty, jakby nie miała czasu przybrać się należycie. Oczy miała podczerwienione, jakby płakała. W pierwszej chwili przypuszczałem, że — jaka scena z ciotką, albo może Stasiak przykrość jej zrobił: słowem, niespokojnie patrzałem na tę ptaszynę, w której sercu widocznie kołatało jakieś niespodziewane nieszczęście.

— Panie! — zawołała, wszedszy do mego gabinetu — musi pan mię ratować... to jest nie mnie... Dziecko... Właściwie nie dziecko, bo jeszcze niema dziecka... To ten rudy malarz, co wygląda jak bandyta — wszystko przez niego.

— Niechże się pani uspokoi, na miłość Boga... Nic pani nie rozumiem... Co się stało?... Może szklanek wody...

— Dobrze, niech mi pan da szklanek wody.

Natychmiast wykonałem jej życzenie, a gdy się uspokoiła, zacząłem ją pytać, co się stało.

— Eliza! — powiedziała mi na to — i zrozumiałem wszystko. — Pan wie, że Eliza długo była chora, a nikt nie wiedział, co jej jest, bo doktor nawet cioci nie chciał powiedzieć. Ale teraz to już nie można ukrywać, bo wszystko się ujawniło — i Eliza sama powiedziała. Ona jest zhańbiona, a to wszystko przez tego malarza, co do niej chodził nocami przez okno. I teraz ona jest brzemienna

(powiedziała to surowo i mocno, jakby podkreślając swą odwagę i świadomość, że wymawia takie słowo) i będzie miała dziecko — i to bardzo niedługo. Jak tylko ciocia się o tym dowiedziała, to się wielce rozgniewała i powiedziała: Taki skandal w moim domu! Nie można pozwolić! Eliza nie będzie już u mnie! Niech sobie szuka gdzieindziej przytułku, nie u mnie — i t. d., i t. d. Nie dziwię się cioci, bo to kobieta staroświeckich przekonań, zresztą bardzo szanowna, ale nie rozumie, że temu wszystkiemu jest winien ustrój społeczny. Ale tymczasem trzeba przecież ratować pannę Elizę, nie można jej tak zostawić: choć ona trzymała się dotąd bardzo dobrze i ukrywała swój stan zrzęcznie, ale ostatecznie jest już za późno. Pan rozumie, że musiałam tu zwrócić się do kogoś zaufanego o pomoc. Niech pan się nie dziwi, że ja tu wszystko mówię tak otwarcie, ale pan zrozumie, że teraz nie czas na fałszywe ceremonje. Ja teraz już jestem dorosła i wszystko wiem, co należy wiedzieć. A co do pana, to mam nadzieję, że pan swego błędu nie powtórzy i że pan zachowa się...

— Nie tak, jak wtedy... — zauważyłem półironicznie.

— Właśnie, żadnych kropek... — odparła z uśmiechem.

Muszę wyznać, że mi zachowanie się Elfydy imponowało: widocznym było, że przez te wakacje dużo myślała i znacznie dojrzała duchowo. Z tego miłego dziecka stawała się wspaniała kobieta.

Całe jej wzięcie się do sprawy z Elizą wyda-

wało mi się nadzwyczaj szlachetnym i czystym w swojej śmiałości.

Naturalnie zająłem się najgoręcej tą nieszczęśliwą damą francuską, która miała taki *accident*.

Sprawa ta wymagała pewnych sum, których nie miała ani Joasia, ani Eliza. Ciocia wypłaciła swej damie do towarzystwa więcej, niż się należało, gdyż Eliza była bardzo lekkomyślna i wszystkie swoje dochody wydawała na fatalaszki, tak, iż właściwie była zadłużona u cioci. Jednakże pani Marska, wobec fatalnej sytuacji, dała jej sto rubli.

Owóz zająłem się tą sprawą gorąco. Wszystko to robiłem dla Joasi — i sprawa Elizy wydała mi się naraz tak nieskończenie ważną, jak żadna inna. Zaniedbałem na parę dni nawet swoich prac inżynierskich — i krążyłem nieustannie między instytucją, gdzie umieściłem Elizę (dyskrecja zapewniona), a domkiem pani Marskiej.

Ciocia była mocno zgorzozona tym zdarzeniem, ale że była to wielce dobra kobieta, więc się interesowała losem swojej dawnej panny do towarzystwa, którą bardzo lubiła, gdyż Eliza była to osoba niezmiernie miła, temperamentu południowego, pełna żywego polotu i dowcipu. Temperament ją gubił: mówiła mi ze śmiechem, że zawsze sobie przysięga, że będzie *très sage, très sage!* i nigdy się jej to nie udaje, co parę lat musi jakieś głupstwo zrobić.

Byłem kilka razy u jej opiekunki: Eliza wychodziła do *parloir'u* w ubraniu quasi-szpitalnym; oczy miała zawsze wielkie, czarne, błyszczące, ale twarz wy-

nędznią, poźólką; miała w sobie szczególną kombinację przygnębienia z powodów socjalno-jurydycznych swej sytuacji z tą osobliwą, roślinnego niemal charakteru radością, jaka błyszczy w spojrzeniu kobiety, która ma zostać matką.

Ta smukła niegdyś postać, dziś zdeformowana, robiła na mnie przykre wrażenie i niewątpliwie uciekałbym zawsze po paru minutach, gdyby nie to, że mi towarzyszyła Elfryda, która z rozrzewniającym współczuciem przypatrywała się swej przyjaciółce.

Te szczególne odwiedziny powtarzały się kilkakrotnie, co mi pozwalało ciągle niemal obcować z Joasią. Oczywiście, było mi to nad wyraz przyjemne, choć nie przypominam sobie, żeby kto z zakochanych bywał w takim groteskowym położeniu, odwiedzał ze swą ubóstwianą jej przyjaciółkę, która ma nielegalnie zostać matką — *Shocking!* A jednak tak było — i sprawiało mi to niezmierną radość, gdym widział, jak delikatnie i życzliwie Elfryda zachowywała się wobec nowego, na świat wschodzącego życia. Było w niej samej jakieś słodkie i rozkoszne upojenie, niby przeczucie macierzyństwa, niby zwiastowanie przyszłych nowych istnień, których ona byłaby rodzicielką. Elfryda już kochała to nieistniejące dziecko, może więcej, niż jego rodzona matka, która miała rozmaite powątpiewania co do potrzeby tego zjawiska.

Eliza w istocie bardzo ironicznie traktowała zarówno *ce cochon d'enfant*, jak i jego papę — tego



bandytę-malarza, co godzinami stał pod latarnią, patrząc w okno Elfrydy.

Gdy jednakże się okazało, że Elfryda nie jest tak dostępną, jak młody człowiek przypuszczał, bandyta pewnego razu na ulicy zbliżył się do Elizy i zaczął z nią rozmowę o Elfrydzie: tymczasem z rozmowy tej wynikły rezultaty wcale nieoczekiwane. *Cette canaille* zmienił nagle swój afekt i zaczął flirtować z Elizą; był to, jak mówiła Eliza, *un brute*, ale miał w sobie *un diable*, i oto *enfin*, jakoś, kiedyś, coś — zaczęło się, a skoro się już zaczęło, to, koniec końców, trzeba było dojść do końca. Pewnego dnia malarz zniknął i nawet niewiedomo, gdzie się ukrył. Nikt go nigdy nie widział.

— *Nous n'irons plus au bois, les lauriers sont coupés!* — zakończyła swoją historję Eliza, która wcale nie traktowała swej sytuacji tragicznie, owszem, nieco operetkowo.

Pewnego dnia powiedziała nam „mądra pani“, że nie może nas przyjąć i że Eliza nie wyjdzie z łóżka. Był to moment krytyczny, który na Joasię oddziałał bardzo przygnębiająco. Zapłakana wróciła do domu i nieustannie wysyłała mnie po wiadomości. Jakoż w parę dni potym, gdym był w azylu pięknej uwiedzionej, usłyszałem wielką nowinę:

— Dziecko się urodziło. Matka jest zupełnie zdrowa, również i nowonarodzona dziewczynka.

Elfryda znów się rozplakała, tym razem z radości, gdym jej tę nowinę powiedział. Była tak ucieszona, jakby sama została matką.

Jeszcze dwa tygodnie leżała Eliza w przytułku, poczym jednak trzeba ją było odebrać z zakładu i gdzieś prywatnie pomieścić. Eliza z niezmiernym humorem przyjęła swoją córkę, małego, straszliwego potworka, czerwonego, jak raczek, a krzykliwego, jak papuga. Bawiła się nią, jakby lalką, pieściła ją, całowała; słowem, czy to pod wpływem nagłego poczucia macierzyństwa, czy też poprostu dla tego, że się pozbyła tego ciężaru, co jej łono deformował — stała się niezmiernie tkliwą matką. Dodam, że po tym przejściu bardzo wyładniała, i pod niebieską kołdrą, w białym staniku i białej zasłonie na głowie, wyglądała poprostu urocz.

Nie dziw też, że ją Elfryda całowała, uszczęśliwiona, że się narodziło dziecko, i że jego matka jest taka piękna. W Joasi też dziewczynka znalazła czarującą opiekunkę, pełną miłości i tak gorliwą, jakby już się z dzieckiem nigdy miała nie rozłączać. Początkowo Elfryda prosiła ciocię, aby wzięła do siebie Elizę z powrotem. Ale ciocia nie chciała na to żadną miarą przystać: rygor jej moralności byłby nieustannie gorszony widokiem dziecka, nie zapisanego w odpowiedniej kancelarji, na odpowiednim stemplowym papierze. Ostatecznie, zacna starsuszka pogodziła się z faktem, pragnęła nawet zobaczyć dziecko Elizy, odwiedziła ją w przytułku ale nie mogła żadną miarą na to przystać, aby to zgorzenie w domu jej było wciąż obecne.

Raz jeszcze ofiarowała dwieście rubli, aby Elizie umożliwić paromiesięczną egzystencję, ale zastrzegła sobie, żeby ta gdzieindziej wynajęła mieszkanie.

Elfryda na chwilę miała ideę — dość naiwną — abym ja Elizę pomieścił u siebie, ale pomimo całego mego afektu dla tej cudownej istoty — nie zgodziłem się na to.

Sam jej wynająłem pokój u jakiejś zacnej kobiety — i tam też się wprowadziła razem ze swoją córką.

Nawiasem mówiąc, byłem zadowolony, że już się ta sprawa skończyła. Miałem już tego dosyć. Niechże się teraz Eliza sama zajmuje swoim dzieckiem. Jednakże cały ten osobliwy okres nie był dla mnie bez przyjemności: skutkiem tych ciągłych odwiedzin Elizy nastąpiło między mną a Joasią takie zbliżenie i taka serdeczność, że właściwie różnicy wieku między nią a sobą już nie czułem i zupełnie naturalnym wydawałoby mi się, gdybym się z tą osobką ożenił.

Mimo to jednak nie mogłem się zdecydować. Cała sprawa z Elizą nie pozwoliła mi na to, com postanowił jeszcze w N., aby na nowo w sobie rozbudzić bóstwo, jak tego pragnęła Elfryda. Istotnie, ciągłe wizyty u akuszerki, odwiedzanie położnicy, poszukiwanie mamki i t. d., są to wszystko działania bardzo zacne, ale bynajmniej nie pomocne w pracy nad wywoływaniem w swej duszy boskości. Bezwarunkowo, w ciągu tego miesiąca czasu byłem tak zajęty, że nie mógł szukać bóstwa, a zapewne ta trocha, com ją posiadał, wyparowała ze mnie i ulotniła się, niewiadomo jak i gdzie.

I oto sprzeczność losów ludzkich: Elfryda, która żądała ode mnie, abym został bogiem, przez swoje

zajęcie chorą przyjaciółką przeszkodziła mi w osiągnięciu boskości.

I cóż tu czynić? Takem się przyzwyczał do obcowania z Elfrydą, że było mi zupełnie niepojętym, jak będę istniał bez niej.

Zapewne, myśl połączenia się z nią na zawsze był to egoizm z mojej strony, ale niemniej egoizmem była myśl rozłączenia się, aby nie zmieniać warunków mego dotychczasowego życia.

Pytanie: dla czego nie mam wybrać tego egoizmu, który mi daje większe zadowolenie — czyli, dla czego nie wybrać małżeństwa?

Czy wogóle *horror* małżeństwa nie jest takim samym przesądem, jak samo małżeństwo? Czy wogóle w naszych wielu pozornych sprzecznościach życiowych niema utajonej tożsamości? I dla czego z pośród wielu utajonych tożsamości nie mam wybrać tej, która ma takie śliczne złote włosy, i takie śliczne niebieskie oczy, i takie dobre, jedyne, wyjątkowe serce.

Odwiedzaliśmy jeszcze nieraz Elizę — i zwykle prowadziliśmy ożywione dyskusje właśnie na temat poszukiwania bóstwa i tożsamości. Joasię moje słowa drażniły, gdyż czuła w nich utajoną ironję, która zupełnie nie odpowiadała jej lirycznemu usposobieniu. To też pewnego razu, gdyśmy szli do Elizy, jakby rozżalona, mówiła do mnie z powodu tego rodzaju tyrady:

— Omyliłam się na panu. I dobrze, że jesteśmy sami, bo raz na zawsze niech pan wie o tym, że panem gardzę, nie cierpię pana, nienawdzę... I że,

gdyby pan mię na klęczkach błagał o przyjaźń, albo o co więcej — tobym panu powiedziała: Nie chcę! Idź precz!

— Z rezygnacją odejdę... Przeczuwałem, że tak będzie... A więc dziś pożegnamy się na zawsze...

— No, to dobrze... To się pożegnamy... Już ja pana znać nie będę...

I mówiąc to, moja słodka dusza łkać zaczęła tak żałośnie, aż mi serce zajękło. I naraz zaczęła kaszlać, jak osoba, zagrożona cierpieniem płucnym, a tu grudzień był w pełni i śniegi już padały. Zauważyłem dopiero teraz, że Elfyda chodzi niedostatecznie okryta, w jesiennym płaszczu.

— Ależ pani jest przeziębiona! Gdzież pani futerko!

— W lombardzie. Stasiak mi je zastawił — odpowiedziała, ciągle jeszcze łkająca i zapłakana — i chusteczką obcierała oczki.

— Ależ trzeba wykupić — czy pani ma kwit?

— Mam — i wyjęła małą portmonetkę, z której kwit wyciągnęła. — Należy się 30 rubli: tu są w sakiewce.

Wziąłem sakiewkę i pytałem, czy woli iść do domu, czy też razem ze mną pójść do lombardu. Wolą odrazu się przebrać. Pojechaliśmy dorożką do zakładu zastawniczego, oboje milcząc, jakby między nami otchłań runęła. Ja grałem rolę człowieka odpalonego — i byłem smutny bez granic; ona zaś wyglądała tak, jakby spełniła surowy, groźny obowiązek, co jednakże sprawiało jej wielkie cierpienie.

Lombard był na jakiejś bocznej ulicy; jaskinia dość podejrzana — i niewiadomo dla czego Stasiak wybrał właśnie tę instytucję, a nie inną. Jak mi potem Stasiak objaśnił, tu dawali więcej za przedmioty zastawione, ale też procent liczyli ogromny. Ciemne, ciasne, zimne ubikacje, przepełnione liczną, hałaśliwą, niezbyt czystą publicznością — była to owa instytucja, w której się znaleźliśmy. Nie mały czas minął, zanim otrzymaliśmy swój przedmiot, t. j. futro (oraz złoty zegarek). Natychmiast przebrałem Elfrydę, a płaszczyk, który miała na sobie, odesłałem do domu przez posłańca.

Wracaliśmy znowu dorożką, aby do Elizy pojechać.

Chociaż futerko mocno czuć było naftaliną, ale Joasi było ciepło, tak że powoli się uspokajała w swej melancholji. Spoglądała na mnie z wielkim żalem, jakby mówiła: niedobry jesteś...

Wyznaję, że utraciłem przytomność. Wszystkie moje żale i tęsknoty tak się jakoś poplątały na widok tej drogiej, kochanej, jedynej, że zacząłem ją błagać, aby się ukoiliła, aby mi przebaczyła wszystkie moje grzechy, aby została moją na zawsze, bo ją kocham, ubóstwiam...

Na co ona, nagle błysnąwszy w oku nadzwyczajną błękitną radością, powiedziała:

— Jestem twoją! Zwyciężyłeś!

Masz tobie — a ja sądziłem, że się poddałem. Zresztą było mi to wszystko jedno. Byłem niezmiernie szczęśliwy.

\* \* \*

Eliza wielce się uradowała z tej wiadomości, a jeszcze bardziej ciocia.

Stasiek szczerze wieszował Joasi i mnie porówno, poczym zwierzył mi się, że tę bogatą pannę już porzucił, że znalazł inną bogatszą i nadzwyczaj piękną, szampańską kobietę — i że na ekspensa tej wyprawy potrzeba mu gotówki, a tu golizna okrutna.

— Kochany szwagrze — zakończył — pożyczcie mi sto rubli. Oddam za tydzień.

---





MELODRAMAT.



— Wy, moi panowie - literaci — mówił Okolicz, kierownik instytucji pod nazwą „Biuro powszechne“ — wy, moi panowie, grubo się łudzicie, jeżeli wam się zdaje, że naprawdę znacie to, co się zowie życiem. Wy znacie tylko niektóre linje życia i nic więcej... A kto chce naprawdę zgłębić życie, do mnie pójdz na naukę! Moje biuro — to mikro-kosmos społeczności, esencja życia stolicy i całego kraju. Biuro moje dzieli się na 77 departamentów, obejmujących wszystkie dziedziny życia społecznego; otrzymuję dziennie po 500 listów z rozmaitych stron świata i widuję po 200 do 300 osób — ze wszystkich sfer ludności, od najwyższych do najniższych... Teraz pomyślcie, jak szerokie pole mam do studjowania tego zwierzęcia, które się zowie *homo*... Moje biuro to czatownia, z której widzę życie ze wszech stron, jak szerokie, szumiące morze... Niejedno bo też przesunęło się przed moim okiem. Widziałem dramaty, jakichby żaden pisarz nie wymyślił. Nie wierzycie? Opowiem wam historję, która właśnie — że tak powiem — przeszła przez moje biuro. Gdybym umiał pisać, tobym wam napisał taką powieść, czy dramat, że poprostu włosyby czytelnikom sta-

wały dęba! *Natri bromati* musieliby zażywać na uspokojenie. Prawdziwa tragedja. Uważajcie...

Pewnego dnia przychodzi do mnie młodzieniec bardzo przystojny i sympatyczny: szuka posady zarządcy w gospodarstwie rolnym. Świadectwa doskonale: pracował przedtym w powiecie oborskim, w majątku Pożaryszcze, gdzie byli z niego bardzo zadowoleni. Dla spraw rodzinnych zmuszony był opuścić tę posadę — i szuka gdzieindziej. Jestem człowiek dyskretny, więc o tajemnice rodzinne pytać go nie chciałem, przekonany zresztą, że i tak się o nich dowiem. Właśnie zaś miałem dla niego świetną posadę.

— Doskonale pan trafił — mówię mu. — Była u mnie wczoraj pewna pani, poszukująca administratora majątku — koło czterdziestu włók — pensja przyzwoita. Pójdzie pan na ulicę Hożą Nr ab, do pani Leśniewskiej, gdzie obywatelka ta się zatrzymała. Zdaje się, że to również powiat oborski, więc gleba tasama i warunki gospodarcze podobne. Majątek duży. Kultura wysoka. Proszę się pytać o siostrę pani Leśniewskiej.

Młodzieniec, nazwiskiem Jan Paweża, wielce mi dziękował — i natychmiast udał się na ulicę Hożą. Co tam zaszło, nie wiem, ale nazajutrz, koło pierwszej popołudniu, przychodzi do mnie pani Świętokrzyska, właśnie siostra pani Leśniewskiej, obywatelka z powiatu oborskiego, bardzo wzburzona — i tak mi powiada:

— A to ładnych urzędników pan mi przysyła! Czy pan wie, że ten człowiek chciał mię zamordo-

wać? Rzucił się na mnie, chciał mnie dusić!... Ledwie się wyrwałam. Stróża musiałam wezwać do pomocy.

Nic nie rozumiałem. Pawęża wydawał mi się człowiekiem bardzo przyzwoitym. Cóż więc go mogło skłonić do tego czynu? Zapytałem o to wręcz panią Świętokrzyską.

— A skądże ja mogę wiedzieć... Zdaje mi się, że to jaki anarchista, albo poprostu warjat.

Mówiąc to, moja klientka była bardzo zmieszana. Miała czerwone wypieki na piegowatej twarzy, a wodniste oko migało się tylko pod rudawą powieką. Gdyby była młodszą, mógłbym podejrzewać jakieś obłąkanie miłosne lub coś podobnego, ale moja dama liczyła napewno wyżej czterdziestu lat — i nawet śladów minionej piękności (jeżeli kiedykolwiek była piękną) — nie było znać na jej twarzy. Myślę, że ta kobieta nigdy ładną nie była; chuda i płaska, a przytym wysoka, miała jakiś ostry, niemiły wyraz twarzy, a wystające, duże, żółtawe zęby górnej szczęki nadawały jej głowie charakter złośliwego buldoga. Nie będę mówił o jej kostjumie: drogie, jedwabne materje świadczyły zarówno o jej zamożności, jak złym smaku. Pstrokaczna kolorów — aż oczy bolały! Miała w sobie nadto coś denerwującego, właściwego histeryczkom: siedząc przy niej, odczuwałem jakiś fluid antypatyczny, który mię niepokoił. Tylu ludzi widywałem, tylu mogłem wytrzymać: jej nie byłem w możności znieść. Poprostu moje życzenie utajone było, aby ta baba poszła sobie precz...

Wkrótce też moje duszne marzenie spełniło się: prosiła o innego rządcę — bez skłonności do morderstwa — i wyniosła się... Ach, jak mi było lekko! Zacząłem nad tą sprawą rozmyślać. Jeżeli ja wobec tej kobiety powziąłem życzenie, aby się nagle znalazła o sto mil ode mnie — to może i ten człowiek... Zapewne, ale, spojrzawszy na nią, mógł on najspokojniej powiedzieć: Do widzenia! — i koniec. Więc, jeżeli to prawda, cóż to mogło znaczyć?

Oczekiwałem Pawęży, ale więcej niż tydzień minął, zanim się ukazał. Był jakiś nieswój, markotny. Spokój, który, zdaje się, stanowił główną cechę jego charakteru — przeszedł w stan osobliwej tępoty. Nie chciałem go urazić nazbyt ostrym słowem.

— Co pan zrobił? — mówiłem łagodnie. — Ta pani skarżyła mi się tu na pana w sposób... niepojęty. Podobno, że się pan wobec niej zachował tak... osobliwie. Co to ma znaczyć? Pani Świętokrzyska...

— O błagam, niech pan nie wymawia tego nazwiska! Gdybym był wiedział, że to ta kobieta, ta przeklęta, ohydna kobieta... Czemużem tam chodził? To djabeł wszystkiemu winien... Dla czego mi pan nie powiedział z góry, jak się nazywa ta przeklęta?... Nie poszedłbym do niej, żadną miarą bym nie poszedł... Stało się wielkie nieszczęście...

Muszę zaznaczyć, że Pawęża ze stanu ośpienia przeszedł nagle do gwałtownego podniecenia — i zaczął chodzić po pokoju szybkim krokiem, tam

i z powrotem, a w oczach mu zabłyśły szczególne ognie...

— Niech się pan na mnie nie gniewa — dodał znacznie spokojniej. Ja panu niecałą prawdę powiedziałem. Tak, ale jakże miałem po światach obnosić swój wstyd i nieszczęście?... Widzi pan (zaszeptał) — ja byłem półtora roku w domu obłąkanych; i to ja panu określiłem jako powody rodzinne... Bywają sprawy rodzinne — bardzo szczególne... bardzo... I wyleczyłem się, zupełnie wyleczyłem... Pan mnie widział: czy pan domyśliłby się, że ja jestem warjat? Doktor przy pożegnaniu mi powiedział: „Panie Janie, pan jest dziś zdrowszy ode mnie!“ I to wszystko wie pan przez kogo (mocno ścisnął mnie za rękę)? Przez tę kobietę. I co za dziwne zdarzenie! Pan mię wysyła, do kogo? Do niej. Pierwsza osoba, którą zobaczyłem po wyjściu stamtąd. Czy pan rozumie (ach, żeby ten człowiek puścił już moją rękę!) — czy pan rozumie, co się ze mną stało, kiedym ją zobaczył? Oszalałem na nowo — do szczytu oszalałem. Rzuciłem się na nią — chciałem ją zamordować. Tak, to prawda. Ale szczęściem, że mnie wypędzili: stróż — bardzo mocny chłop — i drugi jakiś furman. Dopiero na ulicy wytrzeźwiałem, ale kiedym wrócił do hotelu — straszna gorączka rzuciła mi się na mózg i całe ciało. Byłem blizki delirjum. Sprowadzono doktora, a pewien znajomy zatelegrafował do matki... Moja dobra, święta, ukochana matka (tu ręce złożył, jak do modlitwy, wyzwalając mnie z kleszczów) czuwała nade mną dzień

i noc... Ostatecznie wyzdrowiałem, wróciłem do siebie... Jestem silnie wzruszony, ale zupełnie przytomny. Niech się pan na mnie nie gniewa. Już się to szaleństwo nie powtórzy. Praca mi potrzebna, praca mi konieczna. Tylko teraz będę musiał dokładnie znać nazwisko. Chcę wiedzieć, do kogo idę...

Dałem mu kilka nazwisk, przeprosiłem za omyłkę, żałowałem smutnego wypadku i cieszyłem się z jego wyzdrowienia. Odchodził ode mnie zupełnie uspokojony.

Nie chciałem go bliżej badać. Właściwie bardzo mało wyrozumiałem sprawę z opowiadania Pawęzy. Główna nić uchodziła mi z pod ręki. Co za tajemnica łączy młodego, pięknego mężczyznę z tą kobietą, dziwnie antypatyczną, starą i brzydką? Czy jakiś romans przewrotny, czy nienawiści rodowe, czy sprawy polityczne albo rachunki pieniężne? To rzecz pewna, że się znali z sobą.

Zajmowałem się tym więcej nawet, niż mi pozwalały moje sprawy: tak, że miałem z tysiąc paręset nierozpieczętowanych listów. Ostatecznie jednak życie samo przeważało czysto teoretyczną sympatię do Pawęzy — i powoli o historii tej zapomniałem.

Minęły jakie dwa miesiące. Pawęza nie pokazywał się u mnie, listownie mi tylko doniósł, że wyjeżdża na Ukrainę — i przysłał mi należność.

Pewnego dnia woźny mi donosi, że jakaś star-



sza dama chce się ze mną zobaczyć na osobności. Poprosiłem ją do swego gabinetu. Weszła kobieta w żałobie, osłonięta welonem.

— Jestem Marja Pawężyna, matka Jana, który tu przez biuro pańskie szukał posady...

Sympatyczna, o regularnych rysach twarzy staruszka miała oczy podsiniące z płaczu, ale widać już jej łzy skryształizowały się w jakąś cichą melancholję... Pytającym okiem patrzyłem na nią. Zrozumiała moje milczenie.

— Syn mój... Syn mój umarł... Zastrzelił się. Nie żyje. Miałam go jednego tylko na ziemi. Teraz już nie mam nikogo...

— Na miłość Boga, co się stało? Niezrozumiała dla mnie historia. Wybacz pani moje zaciekawienie. Szczerą życzliwość czułem dla pana Jana. Był u mnie kilka tygodni temu. Opowiadał mi dziwne rzeczy. Czyżby znowu ta kobieta?

— Nie, nie ta... Inna, ale przyczyna wszystkiego złego — to znów ta megiera... Nie mogę jej nazwać inaczej. Właśnie przyszłam do pana, żeby mu wszystko wyjaśnić. Zresztą, czuję potrzebę mówienia o nim. To mi ulży... Niech pan mi wybacz, pan to zrozumie.

I oto nieszczęśliwa staruszka opowiedziała mi taką historję.

Jan Pawęza, — syn jej — był administratorem dóbr Pożaryszcze w powiecie oborskim.

Rozmłowany w swej pracy, szeroko pojmując stanowisko rolnika, mało się oddawał zabawom i wywiadom o tym, co się dzieje w sąsiedztwie.

Matka mieszkała z nim razem, jako wdowa po właścicielu małego folwarku, który ich nie mógł wyżywić, tak, iż musieli pracować w obcym gospodarstwie. I ona również, pracą zajęta, mało co wiedziała o mieszkańcach powiatu. Okazało się wkońcu, że to bardzo źle — i że wiedzieć coś o bliższych i dalszych sąsiadach — rzeczą jest użyteczną i konieczną.

Smutna to nauka, ale zdarza się, że niewolno zatykać uszu na pogłoski, co krążą o ludziach... A zresztą życiem naszym kieruje raczej ślepy traf, niż jakabądź rozumna wola... Dla czego w to życie spokojne, ciche, pracowite i czyste dwojga ludzi wdarła się nagle burzliwa, gwałtowna tragedja, która się zakończyła, musiała się zakończyć jak najżałobniej? Kto zrozumie, jaki był sens istotny tych przeznaczeń? dla czego stało się tak, a nie inaczej? Dla czego *fatum* wybrało na swą ofiarę właśnie tego człowieka i to w chwili, kiedy jego życie miało się rozwinąć w najbujniejszy kwiat wieku męskiego?

Niemasz odpowiedzi. Wiele jest zagadek w życiu, wyższych nad wszelki rozum ludzki.

Pawężyna z Janem żyli tak oddani pracy gospodarskiej, a potem muzyce, czytaniu i zajęciom umysłowym, że nie wiedzieli nic o bardzo blizkich sąsiadach, o Świętokrzyskich, którzy siedzieli w Zielenicach, niedalej, jak pięć mil od Pożaryszcza. Stosunki zielenicckie były szeroko znane mieszkańcom tutejszym, ale Pawężowie, którzy tu przybyli zaledwie rok temu — nic o tym nie wiedzieli.

Dopiero — po nieszczęściu — dowiedzieli się o wszystkim. Za późno. Gdyby ich ktokolwiek był uprzedził! Ludzie znali tajemnicę, a przypuszczali też, że i Pawęza ją zna. Podejrzewali go o podłość i odrazu to podejrzenie uznali za prawdę. Kłamliwa przyzwoitość, wprost nieuczciwa grzeczność, kryjąca pod obojętnym uśmiechem zatajoną pogardę, nakazywały wszystkim spokojnie i pobłażliwie przyglądać się temu, co się stało.

W tym milczeniu powszechnym, kiedy właśnie należało krzyczeć jak najgłośniej, stała się rzecz straszliwa.

Musimy więc naprzód poznać, jakie były stosunki w domu Świętokrzyskich, w Zielenicach. Janusz Świętokrzyski był to niegdyś bardzo zamożny szlachcic, który w ciągu lat piętnastu, zanim doszedł czterdziestki, zrujnował się do szczętu, jedno mu tylko zostało: ożenić się bogato. Właśnie też w Zielenicach znaleziono mu pannę; była to osoba nad wyraz brzydka, ale zamożna. Posag jej liczone na pięć milionów złotych polskich. Jako przedmiot zapalów erotycznych, przedstawiała się ona najfatalniej, a perspektywa współżycia z nią budziła w Januszu jakby dreszcz fizycznego wstrętu. Ale nadewszystko lękał się nędzy i pracy.

Zresztą miał parę ładnych kochanek, w Warszawie i w Radomiu, nie licząc dziewcząt wiejskich.

Bywają takie typy ludzkie. Kobiety do niego lgnęły, jak muchy. Dla czego nie wybrał sobie sympatycznej żony — niewiadomo. Był to w całym tego słowa znaczeniu piękny mężczyzna, ale dla

jednych był już stary, u drugich szkodziła mu opinja: utracjusz, bałamut, pijanica. Wreszcie były i takie, co chciały się poświęcić, ale znów miały posag zbyt drobny na zaspokojenie potrzeb starego birbanta. Trudno było Januszowi znaleźć żonę i jedna tylko panna Elżbieta zaryzykowała. Była to osoba trzydziestoparoletnia, która, pomimo zamożności, napróżno czekała na męża.

To też skwapliwie przyjęła propozycję Janusza, który tę sprawę załatwił przez jakąś mądrą ciotkę. Elżbieta, bardzo łatwowierna i życiowo nie wyrobiona, była z początku przekonana, że za swoje miliony kupuje sobie wiernego i wdzięcznego człowieka.

Jednakże wkrótce po ślubie Janusz się ujawnił: wcale nie myślał ukrywać swego wstrętu względem niej i nieustannie ją dręczył ironicznemi uwagami o jej niedoborach cielesnych. Popłakiwała w kącie, przypuszczając, że jednak stosunki się jakoś ułożą. Tymczasem Janusz niemało czerpał z kasy żoninej; wyjeżdżając do swoich przyjaciółek, w te i owe strony, znikał na parę tygodni z domu i powracał zawsze zbrojny w nowe sarkazmy i nowe sposoby torturowania biednej kobiety. Ta długo znosiła jego kaprysy, ale wkońcu zaczęła mu się stawiać okoniem. Przedewszystkim nie dawała mu ani grosza; Janusz początkowo znalazł ludzi usługowych, którzy mu pożyczali na duży procent. Wkońcu Świętokrzyska ogłosiła w gazetach, że długów żadnych za swego męża płacić nie będzie. Odtąd stary hulaka był przytwierdzony do gruntu; nudził się w Ziele-

nicach, z żoną nawet klócić mu się nie chciało, choć ta zrzędziła bez przerwy, stale podrażniona w złym humorze. On albo siedział całymi dniami w domu i układał pasjanse, albo do sąsiadów uciekał, albo włóczył się po folwarkach, szukając tam pocieszenia...

Trwało to póty, póki się nie znalazła jakaś bardzo piękna dziewczucha, która wywołała wielki przewrót w Zielenicach i miała stać się źródłem niesłychanych klęsk i nieszczęść.

Tereska miała na imię, a z ojca zwała się Gołębianka. Była z Zielenic, prosta chłopka, miała lat dwadzieścia, a ktoby na nią spojrział — myślałby: królewna. Czasem w zapadłej chacie taki się kwiat urodzi, co to raz na sto lat zakwita. Miała ona „złe oko“ — to rzecz pewna. Nie było chłopca w Zielenicach, Olszynie, Strawnikach, Piasecznie, Kurhanach, coby przez nią nie płakał z wielkiej miłości, co też, oczywiście, było przyczyną gorzkiego zmartwienia dziewcząt wiejskich.

Kiedy słowo powiedziała — to mimowoli każdy jej słuchał. Wszyscy ją uwielbiali, ale nie bez trwogi zbliżali się do niej. Nikt nie miał siły oprzeć się jej czarom. Była dotychczas panną i nikt nie miał odwagi zaproponować jej ślubów.

Z trzeciej wsi syn gospodarski przysyłał do niej swatów: wyśmiała go i tyle.

Miała wielkie ambicje i wysoko mierzyła. Janusz zapoznał się bliżej z Tereską, na którą od dawna już miał oko — i musiał jej nęcące poczynić obietnice, jeżeli się zgodziła przyjąć stanowisko

panny służącej w Zielenickim dworze. Sprawił jej piękne suknie i zachowywał się względem niej z wyszukaną galanterją. Tereska została kochanką Janusza, czego z początku Elżbieta się nie domyślała, choć zawsze czuła dziwną trwogę na widok tej pięknej dziewczyny.

Pewnego razu Elżbieta stwierdziła zdradę mężowską, zastawszy oboje w momencie konwersacji kryminalnej. Nastąpiła grzmiąca burza domowa. Elżbieta groziła dziewczynie, że ją przepędzi „na cztery wiatry“, ale tu stała się rzecz niespodziewana.

Tereska nietylko że się nie ulękła swej pani, ale jak obrażona królowa powstała na nią i zaczęła z nią mówić tak właśnie, jakby to ona — Tereska — była panią, a Elżbieta — intruzem. I niewiadomo, jak to się stało, ale pod czarem „złego oka“ Elżbieta się ulękła i z największą pokorą zaczęła ją przeproszać, nie wiedzieć dla czego. Niepodobna tu opowiadać szczegółów. Po tej rewolucji domowej nastąpiła zmiana panowania. Prawie nazajutrz po tej przygodzie Teresa stała się panią domu, a Elżbieta zeszła do roli sługi i kucharki — i nie miała siły, by zmienić to położenie rzeczy. Ile razy sama buntowała się okrutnie, gorzko pomstowała — i przed klucznicą biadała na swoje położenie. Ale skoro tylko znalazła się w jej obecności — traciła śmiałość, była uległa i pokorna.

Tereska mówiła do niej: „ty“, wydawała dyspozycje, dotyczące gospodarstwa w domu i na polu, prowadziła rachunki, kierowała robotą ekonomów i karbowych: słowem, sama zaczęła admi-

nistrować Zielenicami. Janusza też za łeb wzięła i teraz dopiero człowiek ten, który czterdzieści pięć lat życia przeproźnował, zmuszony był zabrać się na serjo do roboty, a jeżeli rozkazów nie wypełnił, groziły mu męczarnie Tantalowe...

Niedość tego. Teresa miała czas na wszystko; kazała Elżbiecie, aby ta ją uczyła muzyki i francuskiego. Po roku nauka ta wydała świetne rezultaty: Teresa mówiła po francusku lepiej od Elżbiety, a do muzyki okazała niepospolite zdolności. Dużo, choć bezładnie, czytała; stąd i zowąd połapała różne wiadomości, kierowana przytym jakimś osobliwym instynktem, tak że mogła wybornie udawać osobę wykształconą.

Zdaje się, że Janusz obiecywał Teresie małżeństwo w razie śmierci żony: ale Elżbieta była to baba strasznie zdrowa; dziw poprostu, że nie miała dzieci.

Janusz i jego kochanka byli skrępowani tylko pod względem pieniężnym, gdyż — bądź-co-bądź — właścicielką majątku była Elżbieta, a choć Teresa, dzięki sprężystej administracji, zdobyła sobie pewne własne źródła dochodów, to jednak sumy te były szczupłe i panowanie Teresy było, koniec końców, połowiczne.

Elżbieta zaś ciągle rozmyślała, jakby się pozbyć tej dziewczyny. Zaproponowała jej posag i małżeństwo z jakimś młodym człowiekiem, mającym przyszłość przed sobą. Od pierwszej chwili wybrała sobie Elżbieta za ofiarę do tej intrygi — młodego Pawęzę.

Znała jego szlachetność i łatwowierność i wiedziała, że on jest jedyny może człowiek w okolicy, który nie zna tajemnic zielenickich. I jego matka też nic nie wiedziała.

Pewnego razu zjawiła się w Pożaryszczu, gdzie czasami po sąsiedzku bywała, i tu poprosiła matkę z synem na poufną konferencję.

— Mam wychowanicę — mówiła — z pochodzenia włościankę, ale więcej wartą od byle szlachcianki. Bardzo wykształcona, dobrze wychowana, rządna, gospodarna, pracowita, oszczędna, rozumna — słowem, skarb. A przytym piękna, jak bogini. Kocham ją, jakby córkę rodzoną, jak siostrę wybraną i chciałabym ją wydać za mąż za uczciwego człowieka. Wiele słyszałam o panu Janie i jego właśnie chciałabym widzieć mężem Tereski. Mam zamiar dać jej w dniu ślubu pięć tysięcy rubli posagu, na co mogę złożyć zobowiązanie piśmienne. W tym tygodniu jadę do Radomia; niech państwo tam przyjadą, to się młodzi zapoznają.

Pawężyna zgodziła się w zasadzie na ten projekt, a co do piśmiennego zobowiązania, to i słyszeć o tym nie chciała. Pojechali do Radomia i nadzedł dzień fatalny, w którym Jan poznał się z Teresą. Rzecz prosta, młody człowiek, naiwny i czysty, w jednej chwili uległ niepojętemu czarowi królowny. Trzeba dodać, że i on się podobał Teresie, może nie czuła dla niego miłości, jednak wyraźnie z nim sympatyzowała, a chwilami zdawała się jakby czymś zawstydzona i skrępowana i pogrążała się w milczeniu; ale Jan był tak rozmowny, że nie zwracał



na to uwagi, a i samo jej milczenie stanowiło dla niego nowy urok dziewczyny.

— Trzeba było przedewszystkim — mówiła Paweżyna — załatwić wszystkie formalności przedślubne, co trwało blisko pięć tygodni, aż nareszcie nadszedł dzień wesela, dzień straszliwy i przeklęty.

Ślub miał się odbyć w Radomiu, we środę. Wszyscy zatrzymaliśmy się w jednym hotelu. Tylko Janusz Świętokrzyski nie przyjechał.

Cały wtorek oboje państwo młodzi przepędzili jakby we śnie zaczarowanym, w oczekiwaniu jutra. Ja też, patrząc na nich, radowałam się samym ich urokiem: oboje byli dziwnie piękni i jakby przeznaczeni ku temu, aby utrwalić wiarę w człowieka.

Pod wieczór tego dnia przyniesiono Elżbiecie telegram. Była szczególnie podniecona i uradowana wieścią, którą jej przynieśli. Nie chciałam jej rozpytywać, ale sama mnie objaśniła, że wygrała proces, który ją trapił oddawna.

Nazajutrz ślub się odbył i młodzi zamierzali odjechać do Pożaryszcza, póki nie minie termin służby Jana. Za pół roku chcieli się przenieść na własne gospodarstwo. Jan rachował, że za otrzymaną gotówkę dokupi kilka włók ziemi. Przypuszczałam, że Elżbieta wieczorem sumę wypłaci.

Tymczasem zauważyłam, że pani Świętokrzyska była od rana względem nas jakoś bardzo oziębła, a po ślubie natychmiast poszła do swego pokoju i zapowiedziała, że za godzinę wyjeżdża. Niezupełnie jasne było mi to zachowanie, ale nie miałam pretensji. Powiedziałam tylko Janowi, aby poszedł

się z nią pożegnać i przy sposobności wspomniał o obietnicy.

Trudno mi było namówić syna do tego przypomnienia, gdyż był to zawsze człowiek wysoce delikatny, ale ostatecznie przystał na to. W gruncie rzeczy nie szło mu o posag, kochał szalenie Teresę; widział w niej bóstwo i nieskończoność, o pieniądzach poprostu zapomniał. O ileż lepiej było, gdyby nie był poszedł do tej przeklętej!... Ja to zbłądziłam, ja go namówiłam. A zresztą — tak czy owak — źle to musiało się skończyć!

Już tak nam było w losach zapisane...

Ledwie wszedł do jej pokoju, Elżbieta już zdaleka wołała:

— Wiem, poco pan przyszedł! Wiem, ale groza pan nie dostanie! Złamanego grosza! Figa!

Była to zupełnie inna Elżbieta: uszczęśliwiona furja, nie można jej nazwać inaczej.

— Ha! myśleliście, że już na wieki jestem w waszej niewoli? Bóg czuwał nade mną, Bóg się ulitował! Ten podły rozpustnik, ten nikczemnik Janusz nie żyje!

Wczoraj — na apopleksję — zmarł nagle — opilec, łajdaczysko! Djabli go wzięli, twoja to łaska, Panie Boże miłosierny!

Jestem wolna — oddycham, oddycham! Nie zależę od nikogo: ani od niego, ani od tej ładacznej dziewczki, od tej wozgry!

Jan nic nie rozumiał...

— Nie wiesz niby, co to znaczy? Udajesz niewiniątko? Ha, ha! mądry spekulant z ciebie, ko-

medję grasz do końca. Nie wiesz, kto była Tereska? Folwarczna dziewczka, bazarka, kochanica mego męża, która mi dom zhańbiła i życie zatrzymała! Cztery lata siedziała u mnie, cztery lata! Chciałam się jej nareszcie z domu pozbyć i zapłacić jej za to, przeto ją wydała za takiego dudka, jak ty, mój miły spekulancie na swoją i cudzą hańbę!...

Wszyscy o tym wiedzieli! a tybys nie wiedział?!... Obiecałam ci pięć tysięcy rubli, ale teraz ten podlec Janusz zdechł, jak pies, a Tereska nic nie znaczy... Ani feniga nie dostaniesz... A teraz fora ze dwora, mam już was dosyć!...

Łatwo zrozumieć, co działo się w sercu Jana. Nie szło mu o pieniądze, ale o to przerażające odkrycie, dotyczące przeszłości Teresy. Wszyscy, wszyscy dokoła milczeli, owszem, posądzali i nas o najbrudniejsze spekulacje!

Jan przyleciał do mnie, jak półobłąkany. Mózg mu się palił. Padł mi do nóg i płakał, jak dziecko.

Właśnie zaś weszła do mego pokoju Teresa — i pytała, co to znaczy. Jan — bezładnie — powiedział jej wszystko, co usłyszał.

— Czy to prawda? — zapytał.

Teresa, na słowa Jana, czerwieniała i bladła naprzemian; o mało nie upadła bezsilna i zemdlona, chwilowo źrenica jej łzami zaszła, a była w tej chwili piękna, jak nigdy: bogini smutku i żalu... O, gdyby żal wyraziła, jabym jej przebaczyła, bom ją ogromnie kochała... I onby jej przebaczył...

Ale jakiś bies się w niej zbudził.

— Ot — zachnęła się — nie zawracajcie głowy! Co było, to było. Nie ważna sprawa!

— Więc to prawda? Więc ty nie rozumiesz, co to za ohyda?

— Zaraz ohyda! Jak ci się nie podoba, to ja mogę sobie iść, a ty zostań! Poradzę sobie na świecie. Do widzenia!

I poszła sobie, Bóg wie, dokąd. Nikt jej nie zatrzymywał.

Jan całą noc gorączkował, a nazajutrz musiałam go pomieścić w domu obłąkanych. Półtora roku tam siedział, aż nakoniec wyzdrowiał.

Myślałam, że nastaną lepsze czasy.

I rzecz dziwna, jakie losy mu były zapisane: bo naprzód ta śmierć nagła Janusza w sam dzień ślubu, potym nowe spotkanie z tą przekłątą, tak złośliwie przez samego djabła przysposobione, i nowe jego obłąkanie...

A teraz nowe nieszczęście: przyjechał do Kijowa w sprawach rozmaitych, niech pan sobie wyobrazi, kogo tam spotyka? Wchodzi na wieczerzę do restauracji, a tam siedzi Teresa, wystrojona, wyfjokowana, wyróżowana, w towarzystwie jakichś paniczów, pije szampana, śmieje się, śpiewa, prowadzi besecne rozmowy.

Niewątpliwie go poznała, niewątpliwie chciała go umyślnie rozdrażnić...

Siedział tam, jak skamieniały, dziesięć minut... Wrócił do hotelu i odebrał sobie życie...

— Nie mam teraz nikogo na ziemi — kończyła staruszka.

— Byłem do głębi wzruszony — kończył swą mowę Okolicz — tym opowiadaniem.

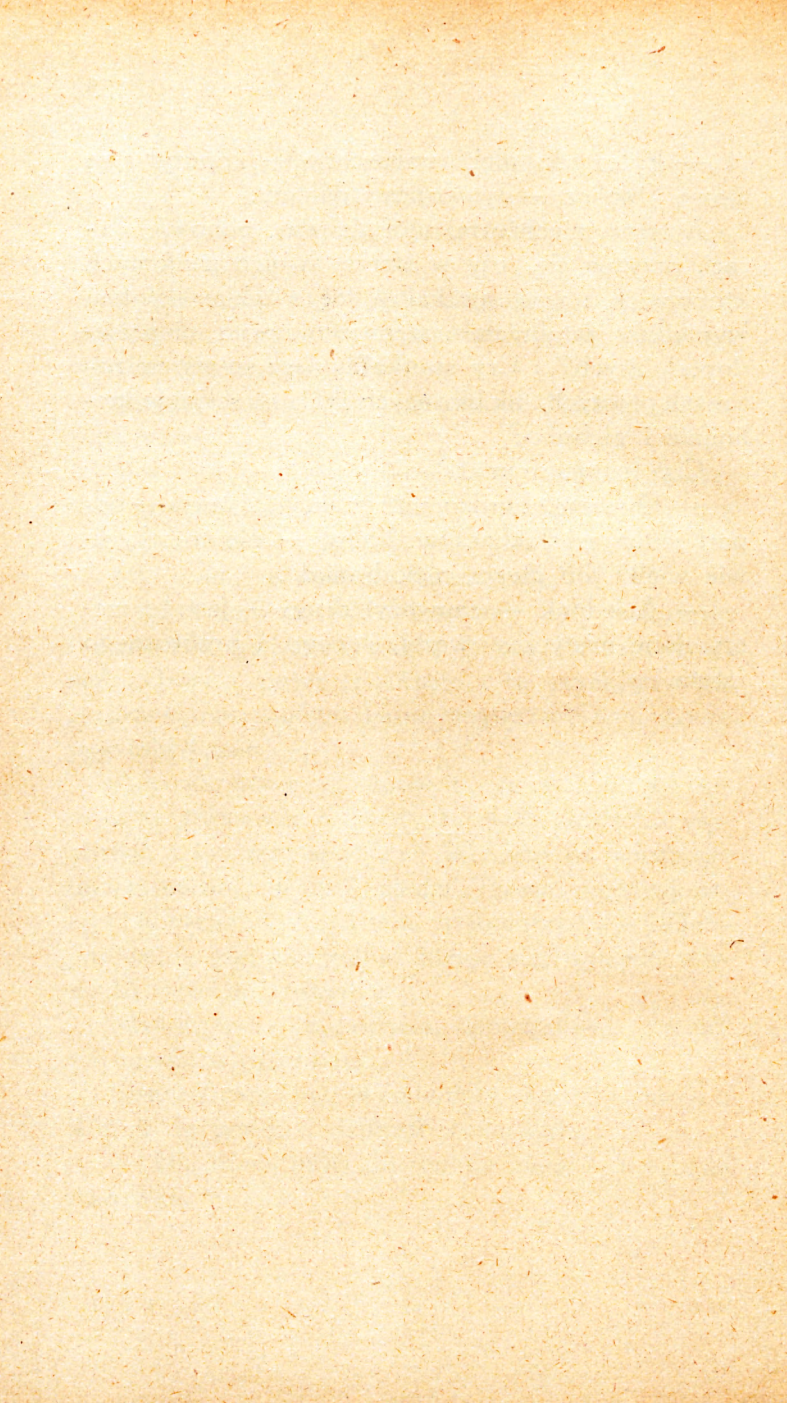
A teraz, niechże mi który z was, panowie literaci, przyzna się, czy w sferze swoich znajomych ktokolwiek z was spotkałby się z takim splotem wypadków fatalnych, przeznaczeniowych, nieprawdopodobnych?... Czy spotkałby się z szeregiem natur tak prostych, tak biorących życie na serjo, jednoliniźnie i głęboko?

Czy to nie dramat?

— Owszem, bardzo wzruszająca historia — odparł jeden ze słuchaczy, literat — ale to właściwie wielki *fait divers*, melodramat...

— A jednak — zauważył drugi — jest tu rzeczywiście mistyczny węzeł ślepego a bezlitosnego fatum.

---



POJEDNANIE.





Ostatnia scena, jaką miałem z Emilją, spowodowała zerwanie, jak mi się zdawało, ostateczne. W gruncie przyczyna była błaha.

Przeczytaliśmy w dzienniku wiadomość, że piękna p. Irena K. wyszła za mąż. Zналиśmy ją oboje — i zacząłem chwalać jej osobę: jej piękność, inteligencję, dobroć, szlachetność. W Emilji naraz zbudziła się nieokreślona zazdrość i zrobiła mi gwałtowną scenę, a że miałem właśnie rozmaite przykrości i byłem nieco rozdrażniony, zacząłem jej również czynić wyrzuty z powodu różnych momentów jej niewłaściwego zachowania. Mała ta burza tak jednak oddziałała na mnie, że postanowiłem z Emilją zerwać na zawsze, przeczuwając, że przygoda dzisiejsza jest wróżbą i postacią całego naszego życia w przyszłości.

Pożegnaliśmy się zimno — i opuściłem jej dom, aby już tu więcej nie powrócić. — Byłem — po tym zerwaniu — nie tyle smutny, ile raczej zły na samego siebie. Popełniłem cały szereg błędów i czułem do siebie żal za popełnione błędy. Rozważałem je teraz po szczególe i mimowoli wszystko to rosło mi w wyobraźni do niesłychanych rozmiarów; w gruncie całe jej wystąpienie nie świadczyło o niej ujemnie. Coraz bardziej chwytalem samego siebie

na grzechu „niedorzeczności“; bo jeżeli Emilja z nieuzasadnionej zazdrości uczyniła mi gwałtowną scenę, to ja powinienem był właśnie zachować się z lodowatym spokojem; tymczasem ja, w rozdrażnieniu, postawiłem jej rozmaite zarzuty i wkońcu przypomniałem sobie jedno nazwisko, które jej w twarz cisnąłem:

— A Łącki?

Nic mi nie odpowiedziała; i jeżeli — jak mi wiadomo — dla Emilji zerwanie to było nader przykre, to znowu ja, przekonany nawet, że z nią zerwał niezupełnie słusznie, miałem to jedno imię — Łącki — jako pierwiastek racji dostatecznej.

Wiem, że gdybym tylko jedno słowo powiedział, wszystkoby wróciło do dawnego stanu: alem się uparł — i postanowiłem znajomość z Emilją uważać za umarłe *plusquamperfectum*.

— Nigdy! — takem powiedział i jej i sobie, kiedym ją widział po raz ostatni.

A jednak byłem ciągle pełny wspomnień o Emilji, wspomnień, które mą duszę ze wszech stron opłatały, tak, że ledwiem oczy zamykał, już mi niewiadomo skąd wypływała jej twarz, jakby rozżalona, piękna, złotym, gęstym opleciona włosom i te usta, tyle razy całowane i jeszcze pocałunków spragnione. Czasami te usta przybierały wyraz drwiący, gdy oczy były załzawione; czasami naodwrot oczy się śmiały, ale usta były niewymownie smutne.

A jednak sam sobie zakazałem iść za tym widmem, co mnie ku sobie wzywało. Postanowiłem szukać zapomnienia, oszołomić się, upić czy oszaleć...

Zwłaszcza pewnego razu obudziła się we mnie szczególna chęć, aby iść na maskaradę. Pięć tygodni minęło już od tej sceny — i zaczynał się karnawał.

Pewnego ranka był u mnie Michał Z., gorliwy bywalec wszelkich zabaw publicznych — i powiedział mi:

— Byłem wczoraj na maskaradzie. Zbliżyła się do mnie maska, która mi tak powiedziała: Ty znasz Stanisława B. Powiedz mu zatem, że Emilja jest na niego bardzo rozżalona, że ją opuścił tak nagle, bez wyjaśnienia.

— Bez wyjaśnienia! — zawołałem. — Wyjaśnienie tu niepotrzebne. Ona wie doskonale, dla czego to się stało. I cóż dalej owa maska?

— Owa maska zniknęła i odeszła. Ale w parę chwil potem inna maska zbliżyła się do mnie i rzekła: Jeżeli zobaczysz p. Stanisława — to powiedz, że mu Łącki się kłania.

— Łącki! toż to ironja bezczelna — to wyzwanie umyślne!

Tak się nazywał człowiek, o którym nic pewnego nie wiedziałem, ale którego raz zastałem u Emilji. Właśnie miał wychodzić; widziałem go w przedpokoju; była szara godzina i nie mogłem dobrze rozróżnić jego twarzy. Ale zapamiętałem nazwisko; co ten człowiek robił u Emilji — nie wiem; był to podobno administrator jakiegoś majątku w Lubelskim, gdzie Emilja miała pewne sumy.

Tak mi mówiła Emilja i nie miałem żadnego

powodu wątpić o prawdzie jej słów. Nie podobało mi się tylko, że go Emilja przyjmuje prawie po ciemku; jakiś czas milczałem o tym, lub dalekie ironiczne aluzje na ten temat robiłem; nakoniec owego wieczora rzuciłem jej w twarz to nazwisko — i wyszedłem. Jeżeli nieznajoma maska naraz to samo nazwisko wspomniała — i to natychmiast po słowach drugiej maski, która mówiła o Emilji: to znaczy, że pomiędzy jedną a drugą osobą istniał jakiś związek i że coś w tym było. Ale co? I gdzie znaleźć tego Łackiego, aby rzecz wyjaśnił?

Postanowiłem tegoż wieczora iść na maskaradę — w sali Włoskiej, gdzie właśnie Michał Z. miał owe dwa tajemnicze spotkania.

O ile mi było wiadomo, Łacki nie mieszkał w Warszawie; jeżeli jednak o nim wspomniano, to znaczy, że musiał przyjechać. Prawda, że właściwie ani Emilja ani ten jakiś Łacki nic mi nie obchodzi; że to jest daleka umarła przeszłość: ale, bądź-jak-bądź, gniew mój przeciw temu człowiekowi albo raczej przeciw samemu sobie — dręczył mię nieustannie i domagał się zaspokojenia. Postanowiłem w jakikolwiek sposób znaleźć Łackiego i należycie się z nim rozmówić.

Trzeba szczególnego zdarzenia, że tego wieczora znalazłem w Kurjerze, w rubryce „Osobiste“ wiadomość: Pan Hieronim Cezary Łacki przybył do Warszawy.

Oczywiście, nie mógł to być inny Łacki, tylko ten, o którym mówiła maska. Jakaś znakomitość. Nawet Kurjer wspomina o jego przyjeździe do

Warszawy, jako o ważnym zdarzeniu. Człowiek sławny — to dla kobiety zawsze coś nęcącego. Niewątpliwie od czasu tej znajomości zachowanie się Emilji względem mnie zupełnie się zmieniło. Teraz widzę to wszystko jasno i dokładnie. Człowiek sławny i bogaty — opętał ją bardziej niż ja, mało sławny i mało bogaty. Dowiadywałem się o Łackiego na mieście. Łąccy — jest to rodzina liczna, na różnych stanowiskach, zamieszkała w różnych okolicach kraju.

Ale kto jest Cezary Hieronim?

— Jeden z najzamożniejszych obywateli w swoim powiecie. Delegat Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w N., prezes Towarz. meljoracyjnego, założyciel cukrowni w K. i t. d.

Słowem figura. Muszę się z nim zobaczyć. Muszę z nim pomówić na serjo. Muszę go kategorycznie zapytać, dla czego, jakim prawem i w jakich zamiarach bywał u Emilji.

Ale może to nie on? — Trzeba rzecz zbadać dokładnie. Zawołałem posłańca miejskiego i, obiecawszy mu trzy ruble nagrody, dałem mu zlecenie, aby obszedł wszystkie główne hotele warszawskie i aby się dowiedział, gdzie mieszka Łacki.

Po tych wszystkich rozmyślaniach i czynach przybrałem się odpowiednio i poszedłem na maskaradę. Rozumiałem, że jakaś intryga przeciw mnie się knuje — i, sądząc z tego, co mi mówił wczoraj mój znajomy, przypuszczałem, że i dziś kogoś spotkam, co mnie w dalszym ciągu rozwinie te same motywy, które wczoraj jemu przedstawiono.

Sala oświetlona a giorno brzmiała skoczną melodją walców i polek, matsziszów i cake-walków, które wygrywała orkiestra. Tłumy ludzi, najosobliwiej poprzybieranych w kolorowe, fantastyczne suknie — krążyły po sali, hałasując, śpiewając, pokrzykując, tańcząc; między nimi mężczyźni w czarnych frakach.

Cała ta zabawa zresztą mało mię interesowała; głównie zajmowało mię, kto się do mnie zbliży i co tajemniczego mi powie.

Jak to jednak bywa najczęściej, doznałem zawodu. Jakaś maseczka, Colombina, zbliżyła się do mnie, mówiąc:

— Zapomniałeś o mnie, niewdzięczniku! Pamiętasz — Zakopane?...

W tej chwili ją poznałem; była to mała aktoreczka, z którą żyłem w przyjaźni przez parę tygodni. Parę słów z nią pogadałem; wypiliśmy parę koniaków — i pożegnaliśmy się, wspominając dawne czasy.

Znowu stanąłem w pozycji oczekiwania, gdy inna maska, Krakowianka, powiedziała mi wprost, bez żadnych omówień:

— Postawisz kolację?

Napróżno czekałem do trzeciej rano. Nikt z woli własnej nie zbliżył się do mnie — i nikt mi nie powiedział nic ze strony Emilji lub kogo innego.

Wypiłem parę kieliszków madery i poszedłem do domu, niezadowolony z siebie i jeszcze bardziej pełny gniewu na Łackiego.

Rano o godzinie ósmej obudził mię posłaniec,

który wczoraj wieczorem szukał po hotelach warszawskich mego nieprzyjaciela. Znalazł wkońcu jego nazwisko, w hotelu Saskim, ale już od dwóch dni go nie było; siedział tydzień i wyjechał do siebie.

— Dokąd?

— Do Skalisk, w Lubelskim, stacja Rejowiec...

A więc w Lubelskim, a więc Rejowiec. Właśnie te same punkty, do których zwykle docierała Emilia... Sąsiad, mniej lub więcej blizki; znali się od dziecka; pewnie byli w zażyłości; ukrywała przede mną wszystko.

Hieronim Cezary! Oczywiście nikt inny, tylko on... Ślad nieomylny, dowód niezaprzeczony... Sherlock Holmes inaczejby sprawy nie prowadził.

Śledzić jednak nie myślę; chcę postępować jawnie i otwarcie.

Otóż mogę się dowiedzieć o tym wszystkim jedynie bezpośrednio od Łackiego — i nie mam innego sposobu, tylko pojechać do niego. Tą drogą zrozumieć, co łączy go z Emilją; dla czego on mi każe się kłaniać, ona zaś przesyła mi jakieś sentymentalne nakazy w sposób tajemniczy — za maską. — Cała więc sprawa moja w chwili obecnej polega na tym: pojechać do Skalisk pod Rejowcem.

Jeżeli wyjadę pociągiem wieczornym, będę na miejscu koło siódmej rano; godzinę — dwie wypoczną; końmi dojadę na miejsce koło wpół do dziesiątej. Jakoż tak postąpiłem. Wziąłem ze sobą rewolwer w przypuszczeniu, że będzie mi istotnie potrzebny; przewidywałem dramat. Emilja oczy-

wiecie była teraz dla mnie przedmiotem obojętnym, dalekim, ale mi szło o zaspokojenie obrażonej miłości własnej: nie mogłem dopuścić, aby choć w przeszłości — z moją wiedzą — jakiś cień padał na mój stosunek z Emilją.

We dwa dni po maskaradzie wyruszyłem koleją nadwiślańską w stronę Rejowca. Nie mogłem usnąć; coraz inne widziadła przerywały mi niespokojną drzemkę: jużem widział nieznanego mi zresztą jak dotychczas — przeciwnika, który oto pada od mojej kuli i wyznaje mi prawdę: tak, on ją kochał i ona jego kochała!

...Albo znów naodwrot ja ginę — i szlachetnie mu przebaczam, nakazując tylko, aby wykonał swe obowiązki względem Emilji.

Albo strzelamy jednocześnie — obaj jednakowo celnie — i jeden drugiego przebija kulą na wylot; umierając, podajemy sobie rękę... Emilja rozpacza i żałuje za grzechy...

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że wszystkie te myśli tylko mnie niepotrzebnie drażnią — i postanowiłem czymś postronnym oderwać swoją myśl od tej sprawy. Zacząłem sobie powtarzać w pamięci wszystkie paragrafy kodeksu, dotyczące osób, które utraciły dokumenty, stwierdzające ich tożsamość.

To mię znakomicie uspokoiło, ale gdym dojechał do Rejowca, byłem tą bezsenną nocą tak zmordowany, że choć godzinę chciałem się przespać. Jakoż zaszedłem do poblizkiej, koło dworca, gospody — gdzie położyłem się do łóżka, ale za-



miast godziny spałem do południa. Posiliwszy się nieco, dopiero o godzinie pierwszej wyruszyłem do Skalisk.

Mróz był siarczysty, a moje futro, dość chude, chroniło mię od zimna niedostatecznie. Ze stoicyzmem jednak znosiłem te przykrości: czekała mię bowiem sowita nagroda.

Śnieg był dobry, droga gładka. W wynajętych saniach szybko sunęliśmy naprzód, pomimo lekkiej zadymki, która nam prószyła w oczy. Woźnica mój, którego rozpytywałem o Łąckiego, nie mógł się dosyć nachwalić.

— Pan dostojny, szlachetny, szczodry, uczony i t. d.

Słowem cnoty w najlepszym doborze.

— Tak, tak — mówiłem sobie — to musiało nastąpić. — Poczym dodałem głośno: — A do Burzanów stąd daleko?

— Jak prostą drogą, to za cztery godzinyby trafił; ale tak zwyczajnie — to blisko dziesięć godzin.

— A pan Skaliski czy bywa u państwa Burzańskich?

— Dokumentnie tego ja nie wiem.

Ale oto już jesteśmy blisko. Wkraczamy we wrota, objeżdżamy wkoło na dziedzińcu klomb, na którym liczne słomiane chochoły świadczą o obfitości róż w lecie tu przed dworem — i stajemy przed pięknym murowanym gmachem.

Służący wychodzi i pomaga mi wysiąść; ręce i nogi mam tak przemarznięte, że ledwie ruszać

się mogę. Wchodzę do przedpokoju, gdzie zdejmuję palto i futro — i gdzie zaczynam wkońcu miłe ciepło odczuwać, idące od obfitych drewn, płonących w wielkim kominie.

Podaję służącemu kartę i proszę o jej oddanie gospodarzowi.

Gospodarz, mężczyzna lat trzydziestu kilku, w swobodnym zimowym kostjumie domowym, bacznie mi się przygląda (pewnie mnie zna) i pyta z wyszukaną (aż zanadto) grzecznością:

— Czym mogę panu służyć?

Jeszcze nieco przemarznięty, czuję, jak ciepło zwolna rozgrzewa moje ciało i robi mi się nad wyraz przyjemnie; chciałbym przez wdzięczność gospodarza uścisnąć, ale sytuacja nie pozwala.

—Przybywam tu w sprawie dyskretnej, osobistej— mówię głosem, jeszcze nieco ochrypiałym z zimna — ale pełnym powagi. — Czy mogę pana prosić o dziesięć minut rozmowy?

— Służę — rzekł gospodarz, prowadząc mnie przez gabinet swój do sąsiedniego pokoju, zapewne kancelarji, sądząc z gromady ksiąg gospodarskich, kluczy, szpicrut, kijów, latarek i t. d.

Przechodząc przez gabinet, ukloniłem się zdaleka trzem panom, którzy siedzieli przy zielonym stoliku i pewnie z gospodarzem grali w winta. Widocznie grę przerwałem.

— Czym mogę panu być użyteczny? — rzekł gospodarz... — Ale przedtym — dodał — pan jest zdżony, możeby pan się napił czego gorącego? może pan zechciałby co zjeść?

Jeszcze nie skończył mówić, a już drzwi się otworzyły i służący wniósł tacę z herbatą, koniakiem, przekąskami.

Nie jadłem nic, ale na herbatę i koniak rzuciłem się chciwie — i niemal jednym łykiem ją wypłem.

Gospodarz przeprosił mię, że pali cygaro, na co mu dałem absolucję, poczym sam zapaliłem papierosa — i, rozgrzany wewnątrz herbatą i koniakiem, przytym opanowawszy emocję, jaką czułem wobec swego przedsięwzięcia, rzekłem:

— Sprawa moja ma charakter czysto honorowy. Parę miesięcy temu spotkałem się z panem u pewnej damy. Pan mię nie pamięta i ja również twarzy pańskiej sobie nie przypominam, gdyż właśnie pan wychodził, a w przedpokoju było ciemno. Nie reagowałem odrazu dla powodów, których wyłuszczać tu niema potrzeby — i dopiero teraz po rozważeniu wszystkich okoliczności zdecydowałem się przybyć tu do pana. Wiem, że pan niedawno był w Warszawie, że pan stał ośm dni w hotelu Saskim i wkońcu o pańskiej osobie w sposób ironiczny zawiadomiony zostałem na maskaradzie przez tajemniczą, nieznaną mi kobietę w masce; czy ta osoba działała z pańskiej woli czy też z woli własnej, nie wiem. W każdym razie zgodzi się pan, że nie mogę pozwolić na to, aby być pośmiewiskiem ludzkim. Sprawa ta najściślej wiąże się z moim honorem — i nie mogę takiego faktu pozostawić bez zadośćuczynienia — przeto pozwoliłem sobie przybyć do Sz. Pana po wyjaśnienie. Dziękując za

gościnne przyjęcie, proszę zarazem, aby mi pan wytłumaczył, na jakiej zasadzie pan był u tej damy owego wieczora i co pan tam robił?

— Nie zwykłem zdawać sprawy nikomu ze swoich czynności. Wybacz pan, ale żadnych objaśnień dać mu nie mogę. Jeżeli byłem tam, gdzie pan mówi, to niewątpliwie wizyta moja musiała mieć charakter zgodny z koniecznością rzeczy.

— Słowa to są niejasne i zagadkowe, a które dowodzą niezbicie, że moja osoba była tam na szwank narażona. Ponieważ pan najzupełniej moje przypuszczenia stwierdził, przeto sądzę, że nie jest rzeczą niewłaściwą, jeżeli od pana zażądam satysfakcji.

— Jeżeli satysfakcja zdaje się panu rzeczą konieczną, nie odmawiam. Proszę tylko określić czas i proszę mi przysłać świadków dla omówienia warunków.

— Czas — natychmiast; warunki pozwolę sobie określić sam: odległość, kroków ile pan zechce, w każdym razie jak najmniej; broń — pistolety, trzy strzały. Co do świadków, nie znam tu nikogo, ale ufam panu całkowicie i możemy śmiało — jak szlachcice hiszpańscy, strzelać się bez świadków.

— Musi być przynajmniej lekarz, a że właśnie mam tu gości, a między nimi doktor z sąsiedniego miasta, przeto pan wybacz, że go na chwilę opuszczę i pomówię z doktorem oraz innemi panami.

— Proszę bardzo — rzekłem, kłaniając się panu Łąckiemu — i przez jaki kwadrans czasu siedziałem sam. Śledząc uważnie dym papierosa, rozmy-

ślałem nad całym szeregiem tych zdarzeń, a chociaż były to zdarzenia przykre, to jednak czułem pewną dumę, że w sposób tak łatwy i pewny odkrył utajonego wroga i rywala.

Po kwadransie czterej panowie weszli do kancelarji. Przedstawili się, mrużąc jakieś niewyraźne dźwięki: M... N... Z...

Ten ostatni był lekarzem; był to winciarz zapalony — i jeździł zwykle po sąsiadach z narzędziami — na wszelki wypadek, gdyby go oderwano od winta.

Po prezentacji Łącki rzekł:

— Jakkolwiek nie jest to całkowicie *en règle*, panowie ci zgadzają się na proponowane przez pana warunki. Pan N. gotów jest nawet panu służyć za świadka, gdy pan M. będzie moim. Jako miejsce wybierzemy oranżerję w parku, gdzie jest i jasno i podłoga równa i obszar dostateczny. Czy pan ma pistolety, czy też pan zgadza się na moje?

— Zgadzam się na wszystkie propozycje — odparłem, wielce ujęty gentlemenerją mego przeciwnika.

Park, obejmujący z górą trzy morgi gruntu, sąsiadował z dworem ze strony wielkiej sali; miał on zarówno dobrze wyciągnięte aleje, jakoteż gęstwiny i dąbrowy, jak wreszcie polany.

Godzina była już trzecia i pół — i, gdyby nie białe puchy śniegu, które rozjaśniały krajobraz — możnaby rzec, że już zaczynało szarzeć.

Świadkowie ruszyli z nami — i skierowali nasze kroki w stronę wielkiej, szklanej, pokrytej hali,

która na przyszyły rok miała być przekształcona na cieplarnię; tymczasowo stała próżna, i tylko po kątach leżało tu różne żelaziwo, wapno, narzędzia ogrodnicze, wreszcie ogromna piramida żółto czerwonych jabłek, które szerzyły dokoła nadzwyczaj upajający zapach.

Hala miała wzdłuż 80 kroków, wszerz 36. Świadkowie zastrzegli się, że nie dopuszczą mniej nad piętnaście kroków odległości.

Pan M., jako starszy, obliczył kroki i rozstawił nas podług swojej miary. Poczym zwrócił się do nas, abyśmy sobie rękę podali do zgody: Gdy zaś to nie nastąpiło, zimno-wzruszonym głosem rzekł:

— *Au feu... Un, deux, trois...*

Padł strzał, ale obaj chybiliśmy; moja kula wpadła w jabłka. Tosamo powtórzyło się za drugim strzałem. Wreszcie za trzecim razem Łącki trafił mnie w lewą nogę, w mięśnie biodrowe; o parę cali wyżej, a strzaskałby mi kość ischiadyczną. W pierwszej chwili nic nie czułem — i dopiero później ujrzałem krew płynącą, która się mieszała ze strzępami kortu.

Przybiegł doktor i zaczął badać sprawę. Kula poszarpała ciało tylko z wierzchu i spadła na podłogę. Rana nie była niebezpieczna, ale zapowiadała na jakie pięć dni.

Doktor zatamował krew natychmiast — i poczynił pierwsze zabiegi; ponieważ zaś chodzić mi było trudno, dwóch panów wzięło mię pod bary i odprowadzili do domu. Tu wyznaczono mi pokój; doktor kazał mi się rozebrać i położyć do

łóżka, zapewniając, że za parę dni wszystko będzie w porządku.

Ścisłe biorąc, z moim przeciwnikiem nie poda-  
liśmy sobie ręki — i mnie przynajmniej sprawa  
tak się przedstawiała, że, skoro tylko wyzdrowieję —  
na nowo wyzwę Łąckiego.

Z drugiej strony wyznać muszę, że, choć po-  
szwankowany, czułem pewne zadowolenie, bo  
i długa jazda i cały ten epizod w Skaliskach spo-  
wodował znaczne wyładowanie mojej energii.

Doktór bardzo starannie zajął się moją raną;  
zdezynfekował ją, oporządził i obandażował jak  
należy. Po chwili przyniesiono mi buljon i wogóle  
posiłek, zgodny z poleceniami doktora. Poczym  
doktór wyszedł i życzył mi spokojnego snu.

Spałem cudownie, a nazajutrz rano zjawił się  
u mnie gospodarz, który nader życzliwie rozpyty-  
wał się o moje zdrowie; badał, czy jestem dobrze  
obsłużony, czy mi czego nie potrzeba. Przepraszał,  
że mię zranił, i jeszcze pytał, czy nie mam jakich  
rozkazów.

— Przedewszystkim dziękuję za gościnność,  
a następnie pozwoli pan, że, skoro tylko wyzdro-  
wieję, poproszę go o powtórzenie tej rozprawy.

— Nie mam nic przeciw temu — i w każdej  
chwili służyć panu będę. Ale pozwolę sobie zadać  
mu jedno niedyskretne pytanie. Wystąpienie pań-  
skie — dodam — uważam za całkowicie upraw-  
nione, w każdym razie ciekawość mię dręczy, jak  
pan przeniknął moją tajemnicę. Nawiasem mówiąc,  
dziś dopiero się dowiedziałem nazwiska osoby,

którą kocham, i wielce za to jestem panu wdzięczny, gdyż może w ten sposób dojdziemy do porozumienia.

— Nic nie pojmuję?

— Jakim sposobem dowiedział się pan, że pańska żona...

— Moja żona? Kiedy ja nie mam żony...

— Jak to? — A więc — jeżeli wolno zapytać — o kogo się pan upomina w tej sprawie?

— O pannę Emilję B...

— O pannę Emilję B... z Burzanów?

— Pan ją zna?

— Ze słychu, ponieważ należy do znanej rodziny — ale osobiście nie mam zaszczytu — i nigdy jej nie widziałem.

— A więc właściwie — to ja niesłusznie wystąpiłem do pana z pretensją...

— W każdym razie żadnej winy nie mogło być z mojej strony.

— A zatym...

Pomimo bólu zacząłem się śmiać i podałem Łackiemu rękę.

— A zatym będę musiał szukać satysfakcji gdzieindziej. Ale gdzie?... Nazwisko tosamo...

Opowiedziałem mu całą sprawę od początku: wizytę Łackiego u Emilji, zerwanie, maskaradę, moje poszukiwania, decyzję ostateczną aż do chwili przyjazdu tu do Skalisk.

— Ale dla czego pan tak odrazu się zgodził na moje wyzwanie? I co mi pan tu coś opowiadał — dziękował — —



— Ponieważ widzę, że mam do czynienia z człowiekiem honorowym, więc *sub rosa* opowiem panu moją historję. Przed półrokiem jadąc z Kijowa do Warszawy, zapoznałem się z czarującą kobietą. Wiem o niej wszystko oprócz nazwiska. Korespondujemy *poste restante* — pod znakiem posiadacza pewnej monety bankowej numer taki a taki. Owóż wyznam, że oddawna chciałbym wiedzieć jej nazwisko, ale nie chcę prowadzić śledztwa, żeby jej nie skompromitować. Nie mogłem żadną miarą zbadać tej sprawy. O ile wiem, mąż tej pani nie zna zupełnie jej tajemnicy. Sądziłem, że to właśnie on — i miałem szczerzy zamiar porozumieć się z panem w sprawie rozvodu lub czegoś w tym rodzaju. Żałuję bardzo, żeśmy obaj padli ofiarą pomyłki, a zwłaszcza pan...

— O, to bagatela — rzekłem i prosiłem cnego gospodarza, aby się wywiedziały, który Łacki jest zarządzającym jakiejś cukrowni, w której pani B. posiada kapitały.

Byłem już zupełnie uleczony, gdy po paru dniach zjawił się we dworze w Skaliskach jegomość, siwy jak gołąb, który mi się przypominał, jako znajomy, i istotnie przemawiał głosem znajomym.

— Proszę pana dobrodzieja, a to niebo pana tu sprowadza. Bo to mama p. Emilji ma u nas w cukrowni kapitały i właśnie mam tu dla niej 1631 R. i 17<sup>1/2</sup> kop. Ja pana znam, bo pana kiedyś u niej widziałem, a właśnie mi p. Hieronim ze Skalisk pisze, że pan tu jest; to ja w te pędy do pana — i proszę się pokłonić ode mnie p. Emilji

do nówek, bo to ja przecie znam ją od małego dziecka, choć to była zawsze osóbką samowolna i uparta, oj, uparta, że niech Bóg broni.

— Taką też została — pomyślałem sobie.

Zapewniłem staruszka, że wszystko zrobię, co należy. Pani matce przesałem ukłony.

Z gospodarzem wielce się zaprzyjaźniłem i obiecałem mu zbadać jego tajemnicę.

Przybywszy do Warszawy, natychmiast udałem się do Emilji, której wręczyłem pieniądze. Z początku byłem bardzo oficjalny, ale pod czarem jej osoby wszystkie lody pękły, a była dziś tak rozkoszna, jakby i mnie i siebie chciała wynagrodzić za te parę smutnych miesięcy. Po godzinie leżałem u jej nóg i błagałem o przebaczenie.

Ona to — jak mi wyznała — urządziła wraz z jedną ze swych przyjaciółek całą tę intrygę maskaradową — i umyślnie chciała mnie rozdrażnić tym nazwiskiem „Łącki“, choć nie przypuszczała, że cała rzecz zajdzie tak daleko. O mojej wyprawie doskonale wiedziała: ktoś jej ze Skalisk o tym wszystkim napisał.

Odwzajemniłem się p. Hieronimowi; dowiedziałem się nazwiska jego bezimiennej kochanki.

---

# RZECZYWISTOŚĆ.



JAN. Niech przepadnie rzeczywistość! Jestem, jak my wszyscy zapewne, wrogiem rzeczywistości. Niechaj będzie przeklęta owa siła fatalna, która nas przywiązała do ziemi i która utaiła przed naszą duszą najczarowniejsze krainy baśni.

STANISŁAW. Jestem również wrogiem rzeczywistości, ale nie przeto, żebym wyłącznie baśń kochał; raczej chciałbym tę rzeczywistość, która jest, przemienić w inną, lepszą rzeczywistość.

JAN. W lepszą — bo twoją... Ale twoja rzeczywistość — to marzenie, to baśń — tak samo jak moja. — I ty pożądasz w życiu baśni — tylko zowiesz ją inaczej.

STANISŁAW. Zowię ją możliwością.

JAN. Ale skoro ta możliwość stanie się rzeczywistością — będzie tak samo potworną, jak wszelka rzeczywistość. Ja pragnę niemożliwości, o której wiem, że się nigdy nie urzeczywistni i nigdy nie przestanie być baśnią.

MICHAŁ. Co się mnie tyczy, to ja naodwrot uważam rzeczywistość za baśń, najbardziej fantastyczną, jakiej żadna wyobraźnia nie jest w stanie pomyśleć. My się kryjemy w baśń, bo nas przeraża ogrom, powikłanie, egzotyzm rzeczywistości. Czy-

tajcie wprost zdarzenia życia codziennego, wiadomości bieżące: jakież tam macie dziwy, jakie kolizje niespodziewane i nieoczekiwane...

JAN. Zapewne. Nigdy jednak, ani w tragiźmie ani w komiczności — rzeczywistość nie dosięga tak wysoko i tak daleko — jakby to mogło być, gdyby...

MICHAŁ. Gdyby co...

JAN. Gdyby ziemię leciuchno o jeden stopień np. w nieskończoności przesunąć. Ziemia ma swoją określoną orbitę; chociaż położenie jej we wszechświecie zmienia się nieustannie i chociaż nigdy ona dwa razy się nie znajdzie w jednym i tym samym punkcie bytu (chyba po milionach milionów lat) — jednakże w granicach naszego czasu linja ruchu ziemi może być z góry obliczona i określona — i nic tego nie zmieni. Gdyby tylko o parę metrów np. linja tego ruchu przechyliła się w inną stronę — losy ziemi byłyby cał odmienne. To też ilekroć przyglądam się jakiemu zdarzeniu, myślę nad tym, jak inną byłaby nasza rzeczywistość, gdyby ten glob krążył po innej krzywej w nieskończoności...

STANISŁAW. Przewiduję już, że nam opowiesz dzieje Hannibala albo Stanisława Augusta tak, jakby mogły być, gdyby...

JAN. Zapewne, możnaby całą historję ludzkości opowiedzieć w ten sposób, ale chcę przedewszystkim wykazać tę niedokładność linji biegu ziemi w zdarzeniach życia codziennego; jak czasami zjawiska bywają przeciągnięte, czasem niedociągnięte: nigdy zaś ani tragizm ani komizm nie dochodzi tu do swego *maksimum*.

MICHAŁ. Przedmowa, która zapowiada coś wielkiego.

JAN. Bynajmniej. Właśnie w tych kolosalnych górach ma się urodzić mysz. Zdarzenie, które wam opowiem, jest w gruncie dosyć drobne, a główną jego cechą stanowi właśnie to, że w nim nic nie osiągnęło swego szczytu, wszystko zatrzymało się w pół drogi, rzekłbyś, ugrzęzło w rzeczywistości i samo siebie nie dorosło.

STANISŁAW. } Jak to było? Co to było?

MICHAŁ. } Gdzie to było?

JAN. Było to przed paru laty, kiedy przebywałem w Płockim. Zajechałem na wakacje do znajomych, powinowatych moich, do Larskich w Larach. Trafiłem właśnie na moment osobliwy, gdy cały powiat niejako rozdzielił się na dwa obozy a nie była to wcale walka przekonaniowa, ale spory osobiste, powstałe na tle historii małego znaczenia. Naraz jednak ten błahy spór przetworzył się w jakąś niby walkę o zasady — i opanował szerokie koła jednostek butnych i zawadjackich. Sprawa ciągnęła się z górą od miesiąca — i już w Warszawie słuchy o niej nas dochodziły. Zaczęło się to w jakimś towarzystwie karcianym, w stolicy. Była tam w owym czasie grupa młodzieży z różnych okolic kraju, która się oddawała namiętnej grze hazardowej. Niektórzy jednak, szulery z zawodu, traktowali grę w baka, jako sposób egzystencji. Jeden zwłaszcza, niejaki Paweł S., miał tak niezwykle — a jak mówili złośliwi, podejrzane — szczęście do baka, że zawiązał spółkę z pewnym

kapitalistą z pod ciemnej gwiazdy; ten mu codziennie, w razie potrzeby, dostarczał parę tysięcy rubli. O ile Paweł przegrywał, dostawał nową sumę; o ile wygrywał, zwracał kapitaliście pieniądze z grubym procentem. Zachowywał się wobec ludzi cynicznie i głównie ogrywał młodego hrabiego Stefana N. Gdy raz w klubie, przypadkowo, była rozmowa o rolnictwie, Paweł, wskazując z uśmiechem na Stefana, rzecze:

— Oto mój folwark wzorowy, przynoszący duże dochody. Innego gospodarstwa nie szukam — —

W towarzystwie tym bywał młody Ksawery Z., z Płockiego, człowiek zasadniczo zupełnie honorowy, ale niesłychanie lekkomyślny — i który czuł, że jest lekkomyślny — i że powinienby się strzec samego siebie.

Żył on w wielkiej przyjaźni ze Stefanem N., z którym był razem w szkołach; jak niemniej był w przyjaźni z Larskim — tak, że ich uważano za nierozłączną trójkę.

Owóż zdarzyło się w klubie, że hr. Stefan N. wygrał w karty dziesięć tysięcy rubli — i włożył je do pugilaesu, gdy naraz telegraficznie został wezwany na wieś w jakiejś sprawie szczególnej wagi. Ponieważ czasu do pociągu było bardzo niewiele i wogóle suma wygrana stała się hrabiemu niespodziewanym ciężarem, Stefan zwrócił się do Ksawerego i, rzecz mu wyjaśnwszy, powiedział:

— Proszę cię, tymczasem przechowaj u siebie te pieniądze. Wrócę za parę dni, to mi je oddasz.

Ksawery wprost był przerażony.



— Proszę cię na wszystko, wybierz kogo innego. Ja żadną miarą nie mogę przyjąć tego depozytu. Jestem lekkomyślny — i, Bóg wie, co się stać może wbrew mojej woli i mimo woli. Stracę ci te pieniądze...

— Nie ufam tu nikomu, oprócz ciebie. Choćbyś nawet coś niecoś stracił, nie będę miał do ciebie pretensji — —

— A jednak — —

— Dajże pokój! znamy się przecież od dziecka...

To mówiąc, wręczył Ksaweremu pieniądze; pożegnał go i wyjechał.

Ksawery natychmiast wrócił do domu, pieniądze schował do biurka i krążył koło niego zdaleka, podziwiając własną energję. Jeden dzień nawet nie pokazał się w klubie; postanowił przeczytać parę książek, czego już oddawna nie robił. Niestety, gdy powoli przenikał w misterja Montépina, nazajutrz rano zjawił się u niego Paweł, który go troskliwie wypytywał o zdrowie; dla czego się nie pokazuje? czemu to hr. Stefan wyjechał? Nadzwyczaj interesującą grę mieli wczoraj X. i Z. Zaczął mu tę grę opowiadać i rozpalil jego wyobraźnię. Ściągnął go do klubu i tak zhyponotyzował biedaka bez woli, że ten zaczął grać — i ta gra skończyła się najfatalniej. Cała suma, dziesięć tysięcy r., przeszła do kieszeni Pawła.

Ksawery, który własny majątek posiadał bardzo szczupły, rozpaczał bez granic; przeklinał siebie, chciał popełnić samobójstwo, ale jakoś się rozmyślił.

W całym klubie sprawa ta w jednej chwili była

znaną, a nawet i na miasto rozeszła się o tym wiadomość.

W parę dni potym przybył hr. Stefan. Dla Ksawerego to spotkanie było nad wyraz przykre; tłumaczył się, przepraszał, przypominał, że go uprzedzał o takiej możliwości i t. d. Ostatecznie jednak, chociaż hr. Stefan był milionerem, postępowanie Ksawerego bardzo mu się nie podobało i powiedział mu:

— Mój kochany, wiem, że jesteś lekkomyślny, ale bądź-jak-bądź to, coś zrobił, nazywa się po francusku *indélicatesse*, a po polsku *Schweinerei* — i odszedł, nie podawszy mu ręki.

Towarzystwo częściowo stanęło po stronie Ksawerego, wiedząc, że ten błagał Stefana, aby nie wodził na pokuszenie. Większość jednak potępiła młodzieńca: bądź-jak-bądź cudzy kapitał sprzeniewierzyć w ten sposób — jest to rzecz poprostu nieuczciwa. Słowem nagle Ksawerego ogłoszono za infamisa.

— Bój się Boga, Witoldzie — mówił Ksawery do Larskiego, który właśnie przyjechał był do Warszawy — przynajmniej ty mnie zrozumiej, wytłumacz i broń wobec tych napaści.

Ale Witold, któremu o tej sprawie horrenda opowiedziano, oburzony był na Ksawerego bardziej niż ktokolwiek — i zawołał:

— Jesteś szubrawiec i nie mam z tobą nic do czynienia.

Ksawery odparł Witoldowi niemniej ostro —

i naraz stała się rzeczą nieodzowną rozprawa honorowa między obu panami.

Wybrano świadków i sprawa parę dni się toczyła, aż wkońcu oznaczono czas i miejsce spotkania. Ponieważ jednak o zamierzonym pojedynku rozmawiano zanadto głośno w hotelu Europejskim i Brühlowskim; ponieważ zajmowali się nim zarówno sami zainteresowani, jako też i ich znajomi i przyjaciele, stronnicy już to Witolda i Stefana, już to Ksawerego: tajemnica stała się tak publiczną, że kiedy adwersarze z całym aparatem, jaki przystoi sprawie pojedynkowej, stanęli w lasku Bielańskim: już na nich czekała policja — i natychmiast wszystkich aresztowała.

Witolda i Ksawerego zobowiązano słowem honoru, że natychmiast pojedą do domu — i to w towarzystwie strażników, którzy mieli ich pilnować, jako skazanych na areszt domowy.

W ten sposób obaj znaleźli się z powrotem w okolicy Larów — i tu osiedli, jako aresztanci, którym niewolno wyjeżdżać poza granice swoich majątności; niewolno jeździć koleją żelazną; przydany strażnik miał im rzekomo wszędzie towarzyszyć.

Jednakże niezaspokojony honor Ksawerego jakoteż i Witolda domagał się rozprawy. Umówili się zatem, że za dwa-trzy tygodnie muszą pojedynek urzeczywistnić; każdy z nich miał swoich świadków, którzy się nieustannie komunikowali i trzymali swoich paukantów *au courant* rzeczy. Oczywiście obaj byli mocno zdenerwowani.

W tym właśnie czasie przybyłem do Larów. Był to przedostatni dzień przed owym pojedynkiem. Przy pomocy drobnej sumy pięciu rubli strażnicy zamknęli oczy i mieli na jeden dzień wolno puścić swoich więźniów.

Pojedynek miał się odbyć w okolicy, w lesie Szczerbowskim. Witold, zadowolony z mego przyjazdu, poszedł ze mną zaraz na dziedziniec — i, stanąwszy w pewnym oddaleniu od obory z pistoletem w rękę, kazał mi ciąglą dawać komendę; sam zaś pukał nieustannie śrutem i celował w jeden ze słupów obory. Takeśmy całą ścianę do szczytu podziurawili. Bądź-jak-bądź Witold dzielnie się do rozprawy przygotowywał; od czasu do czasu tylko wzdychał, mówiąc mi poufnie:

— Gdybym zginął, co uczyni moja biedna Teresa!

Teresa była to żona Witolda, osoba przystojna i inteligentna, wielce rozkochana w swoim mężu. Nawiasowo dodam, że wniosła ona mężowi w posagu pół miliona koron waluty austr., co było dla gołego i obdłużonego Witolda — cudownym ocaleniem.

Niestety Teresa od paru lat zaczęła chorować; miała szczególną nerwicę, która się czasami objawiała w atakach tzw. *petit mal*; ataki nie miały w sobie nic niebezpiecznego, póki serce było nietknięte. Teresa miała maleńką wadę serca, ale o charakterze nerwowym; w razie jednak, gdyby wada serca przybrała cechy choroby organicznej, zbyt

silne wzruszenie mogło być dla Teresy śmiertelne w razie mocniejszego ataku.

Zasadniczo przed Teresą całą sprawę ukrywano, ale w tym gadatliwym domu, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli — trudno było utrzymać tajemnicę. Ostatecznie przed paru dniami — z rozmowy lokaja z pokojówką — Teresa dowiedziała się o wszystkim.

Drżała o życie męża, ale, z drugiej strony, rozumiała dobrze, że tu idzie o honor Witolda — i z niesłychaną siłą woli opanowała siebie tak, że na oko była bardzo spokojna; nie chciała za nic psuć nastroju Witolda, który miał ją żegnać, jak Hektor Andromachę.

Pocieszycielką jej w owe dni była sąsiadka, pani Giga, jak ją zwano powszechnie, pani Jadwiga, siostra stryjeczna Witolda, czarująca osoba, wечно pełna młodości, werwy i humoru, jakkolwiek dziś miała bardzo poważne powody, by się pogrążyć w najgłębszym smutku. Oto przybyła razem z mężem do Larów dla przyczyn wprost tragicznych: ponieważ wraz z mężem żyli dłuższy czas bardzo lekkomyślnie — doszli do ostatecznej ruiny; parę dni temu odbyła się licytacja, zakończona przejściem ich majątku w inne ręce; na domiar złego, ponieważ nieszczęście nigdy nie przychodzi samo, dwór, w którym jeszcze mieli zostać parę miesięcy — spalił się tegoż samego dnia do szczętu — i nagle oboje znaleźli się bez dachu, bez grosza, bez widoków na przyszłość.

Pani Giga była też smutną, o ile wogóle ona

smutną być umiała; gdyż nawet w największym nieszczęściu temperament ją pobudzał do wesołego tra-la-la!

Znałem i uwielbiałem ten temperament, gdyż za lat młodzieńczych kochałem się w Gidze szalenie przez całe jedne wakacje — i było mi wtedy tak radośnie i wesoło w życiu, jak już nigdy ani przedtem ani potem.

Obecność Gigi działałaby jak balsam na chorą Teresę: niestety, przemocą ukrywana obawa o życie męża — i ten sztuczny spokój — był to wysiłek bardzo groźny. Do tego wszystkiego dołączała się trwoga o inne, dogasające życie — starego ojca Witolda, który dogorywał w swoim mieszkaniu, na pierwszym piętrze.

Był to starzec wysokiego wzrostu, niegdyś bardzo przystojny, do syna podobny — a którego dręczyły teraz dawne nadużycia *in Venere et Baccho*, do czego jeszcze przyczepiła się wodna puchlina, bóle reumatyczne, silna skleroza i rozedma płuc.

Stary czuł, że jego koniec nadchodzi — i po rękach całował doktora, błagając go bezsilnie, aby ten mu życie przedłużył i zachował; doktor czynił co mógł, ale widział, że już niedługo tego żywota — i tylko dla formy go pocieszał, że wszystko będzie jak najlepiej.

Ojciec Witolda, choć cały przenikniony starczym egoizmem wobec swoich własnych cierpień, nie był jednak bez wiadomości o sprawach syna i również się trwożył o jego życie.

Taki był nastrój w całym domu, w chwili gdy przyjechał.

Nazajutrz raz jeszcze dziurawiliśmy oborę wraz z Witoldem, aż psy łańcuchowe wyszły z budy i wyc poczęły żałośnie na tę muzykę pistoletową.

Wycie to, mówiąc nawiasem, było dla Teresy powodem wielkiego smutku, gdyż uważała je za złą wróżbę.

O godzinie dziesiątej zjawili się u nas dwaj sąsiedzi oraz doktor i zabrali ze sobą Witolda.

Doktor przedtem jeszcze miał konferencję z panią Gigą oraz ze mną, nauczając nas, co mamy robić na wypadek, gdyby Teresa miała atak lub gdyby się rozchorował ojciec Witolda.

Żegnaliśmy uroczyście tych trzech ludzi, którzy przy pomocy czwartego — z najwyższym spokojem wybierali się popełnić zabójstwo albo też wrócić z trupem.

Wieczór był cichy, idylliczny; była już druga połowa sierpnia — i ciszę wieczorną całej okolicy przerywały sykania świerszczów i rechoty żabie, mieszające się z odgłosami dalekich psich poszczekiwań; gwiazdy tysiącami złociły się na jasnym, szafirowym niebie — przy czystym księżycu — a w chwili odjazdu zauważyłem trzy spadające w otchłań meteory.

Nie mówiłem o tym nikomu, ale, oprócz wycia psów, uważałem i to zjawisko za złą wróżbę.

Pytałem tylko, o której godzinie mogą w szczęśliwych okolicznościach powrócić.

Koło wpół do drugiej powinni być gotowi.

Pożegnaliśmy się w milczeniu, gdyż istotnie nie było nic do powiedzenia.

Jak się wyjaśniło potym — Witold przygotował cały szereg listów na wypadek swojej śmierci.

Ale nie uprzedzajmy zdarzeń.

Czterej panowie, aby ich na dworcu żandarm nie niepokoił, wyjechali powozem. Liczyli, że koło dziesiątej i pół staną na miejscu, nie tyle w lesie Szczerbowskiem, ile w maneżu, pod lasem, u jednego z przyjaciół i świadków Ksawerego.

Pozostałem w Larach w towarzystwie chorego ojca Witolda, chorej żony Witolda, zbankrutowanej żony p. Józefa i samego bankruta p. Józefa, który zresztą, wbrew powszechnemu zdenerwowaniu, poszedł sobie do biblioteki i pograżył się w czytaniu dziejów Rocambola.

Dzieci wczesnie spać położono i tylko bona Francuzka, na balkonie — wciąż lichą polszczyzną szeptała coś z pokojową, z lokajem i z panną służącą.

Podobał jej się ten zapach melodramatu, który czuła w całej tej sprawie.

Wyszedłem na chwilę przed dwór i poprzez srebrzyste cienie sierpniowej nocy patrzyłem daleko, daleko na krańce widnokregu, gdzie szumiała głucho i tajemniczo głęboka puszcza, do której pewno już dojechali nasi znajomi. Tam, tam odbyć się ma za chwilę ta sprawa...

Co to będzie? Jak się to skończy?

Bór szumiał, a powietrzem płynęły jakieś dalekie niezrozumiałe melodje, jakieś szepty, na lekkim



wietrzyku unoszone, a ciepłe powietrze rozlewało je w cieniach nieokreślonych, widmowych, jakby nierzeczywistych...

Coś nierzeczywistego krążyło po powietrzu... jakieś elfy, nienawidzące rzeczywistości...

Aby uspokoić obie panie, zaproponowałem dla rozrywki niewinną grę w karty — *onze et demie* — czy coś podobnego. Czas jakoś upływał, p. Giga bardzo się ożywiła — i zaczęła opowiadać jakieś zabawne historje, tak że nawet i p. Teresa kilka razy się uśmiechnęła. Jednakże łatwo było odgadnąć, że jej myśli płynęły zupełnie w innej stronie; również i ja myślałem raczej o tym, co się dzieje z Witoldem, niż o kartach.

Nikt jednak o właściwym przedmiocie naszej myśli nie mówił. Czułem, że lada chwila histerja Teresy wybuchnie; że ten okropny wysiłek panowania nad sobą — męczy ją przeraźliwie; że za tym lada chwila będzie musiała sobie to wyrównać.

Kilka razy też zachodziłem do starego, aby zobaczyć, co się z nim dzieje; czuwał przy jego łożu stary Ignac, który jednak miał fatalny sposób rozmawiania ze starcem. Traktował rzecz po chłopsku tj. przyzwyczajał go do myśli o śmierci; pocieszał go, że już nijakim sposobem się nie wywinie od tej kostuchy, że lada chwila stanie przed obliczem Boga i zobaczy tam chóry anielskie i rajskie pola a łąki, rajskie krówki i owieczki — i będzie pił rajską wodę. — Ale staremu wszystko to bardzo się nie podobało: wolałby kieliszek zwyczajnej ziemskiej wódki, niestety, surowo zakazanej!

Zburczałem Ignaca — i prosiłem go, aby raczej co wesołego opowiadał starcowi: jak to on pijał za młodu, jak tańcował, bijał się, kochał... Ignac znał jego sprawki — więc mógł dopomóc jego pamięci i rozweselić biedaka.

Była może godzina dwunasta, gdy naraz zaturkotało na gościńcu. Czyżby to oni?

Pani Teresa aż krzyknęła ze wzruszenia — i ja, wyznaję, byłem tym nieco *ému*.

Wyszedłem przede wrota i znowu spoglądałem na dalekie, ciemne puszcze... I znowu szumiały tajemniczo, głucho — jakimś nieustającym, melancholijnym jękiem...

Więc to już się odbyło — już powracają...

Jakoż powóz zajechał przed ganek, ale był to zupełnie inny powóz.

Wysiadł z niego — o dwunastej w nocy — sekwestrator!

Tego jeszcze brakowało.

Zaproszono gościa do jadalni, ofiarowano mu wieczerzę, ale nikt mu nie towarzyszył; tylko lokaj się nim zajmował.

Czas płynął. Oczekiwanie coraz bardziej dręczyło wszystkich, a najbardziej Teresę, której wysiłek już zaczął przerastać miarę jej mocy ducha.

Nakoniec wybuchła gorącym płaczem. Uważałem to za szczęśliwe zdarzenie, gdyż taki płacz — jak mi się zdawało — łagodzi siłę ataku. Ale i pani Jadwiga, która niemniej z siłą dotąd panowała nad sobą, również zaczęła płakać: i jej się udzieliła ta okropna trwoga i ten niepokój, jaki czuła Teresa,

a co do mnie, to zaczynałem żałować, że nie pojechał do Zakopanego, jak mi to proponował jeden z kolegów — i postanowiłem raczej stać się tak *impassible* jak p. Józef, który bolał właśnie nad nieszczęściami bohaterów Ponson du Terail'a.

Znalazłem motyw zajęcia; postawiłem sobie problemat: oto stoimy wobec rzeczywistości: jak ona się rozwinie, jakie nam da fakty? O ileby wszystko miało dojść do najwyższego kulminacyjnego punktu rozwoju — to rzeczywistość miałaby wprost oblicze potworne, ale absolutne.

...Godzina wpół do drugiej — napięcie oczekiwania dosięga najwyższego stopnia — płacz Teresy zmienia się w atak epileptyczny strasznej siły — p. Jadwiga, pod wpływem swej kuzynki, również zaczyna szaleć i wije się jak opętana — tymczasem Ignac zbiega na dół, wołając: Panie, panie! starszy pan, bardzo a bardzo źle!

Tylko p. Józef czyta dalej swój romans: nikczemny hr. de Gruyère po raz trzeci porwał piękną Agnieszkę szlachetnemu markizowi de Roquefort.

Powoli — powoli nadjeżdża powóz, który koło wpół do dziesiątej wyjechał z Larów.

Przywożą trupa.

Po dwukrotnym strzale chybionym, za trzecim razem Ksawery w samo serce uderzył Witolda.

Teresa wpada w obłąd i powtórnie dostaje jeszcze mocniejszego ataku hysterji, przy którym niestety udar sercowy — łamie tę piękną duszę; z pianą na ustach, ze strasznym okrzykiem, wijąc się w ostatecznych konwulsjach — umiera.

Tymczasem Jadwiga, niemniej oszalała tym powszechnym nieszczęściem, dostaje spazmatycznego śmiechu i pada bez przytomności.

P. Józef nakoniec wychodzi i z flegmą pyta, co to za krzyki? Czy Rocambol ze swoją bandą napadł dom? Czegóż Ignac tu hałasuje?

— A bo to starszy pan już stanął przed świętym obliczem Najwyższego.

Śpieszą na górę. Ojciec Witolda, złamany własną chorobą i straszliwą wieścią o śmierci syna, o czym dyplomata Ignac oczywiście zaraz mu powiedział — umarł niemal jednocześnie z Teresą.

Trzy trupy: Witold, jego ojciec, jego żona.

Jedna półobłąkana: Jadwiga.

Jeden człowiek apatyczny, bankrut, nędzarz, wygnaniec, pogorzelec — Józef.

Oto jak się rozwinęła rzeczywistość w momencie krótkim, w okolicy zacisznej, czarującej, w cudną noc sierpniową, pełną gwiazd promienistych...

STANISŁAW. Istotnie rzeczywistość okropna. Tragiedja Pelopidów niemal. Przeżyliście tam straszne godziny.

JAN. Nie, wcale się tak nie skończyło. Taką byłaby rzeczywistość w świecie wielkim, doskonale tragicznym, ale my nie żyjemy w absolicie, tylko w niedociągniętej miernocie.

MICHAŁ. A zatym?

JAN. Koło godziny drugiej po północy wrócili nasi panowie. Witold cały — zdrow — nienaruszony. Puknęli trzy razy z odległości piętnastu kroków, bez rezultatu. Nie podali sobie zresztą ręki,

ale nasi znajomi mieli ze sobą parę butelek wina, które po drodze wypili na wiwat. Teresa, jeżeli zemdląca — to z radości, że się wszystko zakończyło tak szczęśliwie, a Jadwiga zaczęła skakać po pokoju, jakby miała lat czternaście. I stary ojciec Witolda, gdy się dowiedział o szczęśliwym wyniku sprawy, rzekłbyś ozdrowiał; w istocie było to przesilenie choroby — i stary żyje do dziś zdrów i jary.

Co się tyczy Józefa, ten wyszedł z biblioteki i, dość obojętnie witając Witolda, powiedział:

— Przeczuwałem, że tak się skończy.

Otóż taka była rzeczywistość rzeczywista, nie zaś ta rzeczywistość, która byłaby, gdyby... gdyby osiągnęła swój najwyższy ton.

STANISŁAW. Widzę, że jesteś prawdziwy filantrop i że roją ci się czarujące baśnie. Szkoda ci, że ludzie wyszli cało z tej afery, i wołałbyś mieć piąty akt melodramatu! Owszem, jeżeli tak było, to powiem: Niech żyje rzeczywistość i niech zawsze będzie taka dobrotliwa!

JAN. Ja nie życzę ludziom źle, tylko zgodzicie się, że ta rzeczywistość, której fenomeny śledziłem, nie rozwinęła swego problemu algebraicznego do końca i zatrzymała się w połowie drogi.

Nawet i sprawa p. Józefa w rzeczywistości wyglądała inaczej: nie wyszedł on wcale z subhasty nędzarzem; owszem przy sprzedaży majątku dostał wcale sporą sumę, a pożar dworu, który był dobrze ubezpieczony, również został pokryty przez Towarzystwo ubezpieczeń.

STANISŁAW. I to szczęśliwie! Cieszę się zwłaszcza z powodu tej niesłychanie miłej pani Gigi.

MICHAŁ. Zwrócę jeszcze uwagę na to, że ta niedociągnięta rzeczywistość właśnie zgadza się doskonale z teorią Jana. Wszystko to, co on zowie absolutem, jest to raczej owa niemożliwość, która powinna była pozostać niemożliwością i nigdy się nie urzeczywistnić. No, ale sekwestrator?

JAN. Przyjechał po źrebie, które oddał tu na wychowanie dwa lata temu, a które chciał odebrać. Nie miał czasu przybyć w innej porze, więc przyjechał o północy.

---

ZUPA WIĘZIENNA.





W poniedziałek, dnia 10 września pod wieczór reduta Nowogrodzka A fortu Kobryńskiego, twierdzy B. L. — była usposobiona bardzo spokojnie. Więźniowie nawykli z biegiem czasu do tego życia; zdawało im się poprostu, że są na willegjaturze. Była tu istotnie stosunkowo niemała swoboda; B. L. przypadkowo i na krótki okres czasu wzmocnionej liczebności aresztantów został zmieniony na więzienie. Ale okna były tu nieokrątkowane, a cała reduta Nowogrodzka przechowywała charakter tego, czym była: lazaretu wojskowego. Dolne piętro składało się z oddzielnych izb, zwanych „kamery“, dla oficerów; a górne miały kilka obszernych sal dla „niżnich czynów“. Żołnierze (warty czyli *karauty*) byli bardzo życzliwie dla nas usposobieni — i pozwalali nam czynić wiele wbrew przepisom.

Przestrzeń reduty — w formie trzech ćwierci koła — była dość obszerna dla przechadzek i goniw, którym się młodzi więźniowie oddawali namiętnie od rana do wieczora. Podwórzec ten, otoczony dokoła spadzistym wałem, liczył z górą dziesięć tysięcy metrów kwadratowych. Chociaż był to już początek jesieni, jednakże palisady były jeszcze pokryte zieloną trawą i gęstwinami krzaków tar-

niny i lonicerji. Poza bramą reduty — patrząc z pewnego stanowiska na palisadzie — można było z dnia na dzień obserwować żółkniejące powoli ulistwienia klonów i purpurowy uwiąd sumaków. Kawki i wrony gromadami unosiły się nad naszą redutą, a niebo bywało owemi czasy jedwabiście szafirowe, o zachodzie zaś barwiło się szkarłatnemi wstęgami obłoków. Powietrze było tu wiejskie, czyste i świeże.

W głębi reduty stały z dwóch stron w sąsiedztwie wałów dwie kazamaty, t. j. budynki piętrowe, nieco niżej gruntu ziemi postawione.

W kazamatach było koło ośmnastu cel — czyli, jak tu mówiono, kamer; w każdej mieściło się po piętnaście do dwudziestu osób, a w większych na górnym piętrze do trzydziestu.

Wogóle — w naszym więzieniu nie można się było żalić na samotność; raczej przeciwnie na brak samotności, na nieco zbyt nieprzerwane towarzystwo prawie ciągle tych samych ludzi.

Zresztą w takich warunkach przymusowo się dziecinnieje. Była tu gromada młodzieży (razem około czterechset osób), skazanej na bezczynność; więźniowie zapełniali czas nieustanną gawędą, hałaśliwą i urozmaiconą; były tam wspomnienia z minionych dni i spory teoretyczne i skargi na niesprawiedliwość — i wielkie marzenia — i pieprzne anegdoty.

Owego dnia pod oknem kamery XV stał żołnierz, mówiący źle po rosyjsku. Gdy go zapytano, jakiej jest narodowości, odpowiedział:

— Ja Nalitwu. Saratowska gubernja.

Wzruszony Karabajtys zaczął z nim mówić po litewsku, ale się okazało, że szyldwach nic nie rozumie. Skąd wogóle Litwini w Saratowszczyźnie? Jest nas — mówił żołnierz — parę wsi, razem koło 3000 dusz.

Wezwano Września, jako eksperta w sprawach językowych:

— Jak mówicie: B ó g ?

— Tak samo: *Boch*.

— Wyraz pożyczony. Jak po waszemu b y ć ?

— *Ulem*.

Wrzesień, obracając się do Karabajtysa, powiedział:

— Po fińsku *olen*, po węgiersku *len-ni*. A jak mówicie: mój ojciec, twój ojciec, jego ojciec?...

— *Mon tetyöm, ton tetyöt, son tetyöze*.

Natychmiast Wrzesień wyjaśnił:

— Po węgiersku: *mienk atyam, tied atyad, öve atyja*. Jak mówicie: jeden, dwa, trzy?

— *Aki—hate—kolme*.

— Po węgiersku: *egy—kettö—harom*.

Chcieliśmy dalej badać żołnierza, ale właśnie wezwano „karauł“ do wieczornej „powierki“ czyli sprawdzenia liczby więźniów.

Wrzesień skonstatował, że język żołnierza należał do grupy ugro-fińskiej, a Karabajtys, zmarzwiony, „że naród, który się zowie „Nalitwu“, nie ma nic wspólnego z Litwą, śpiewał sobie pocichu:

Kur banguje Nemunelis,

Kur Szeszupe mera plauke:

Ten Lietuva mano szange,

Ten Lietuva mano brauge.

Tworowski, leżąc na „kojce“, t. j. łóżku drewnianym — bardzo prostej konstrukcji, mówił do Grecza:

— Żeby nie ten mój proklatyj wygowor, to ja ci mówię, prostoby w aktory poszedł... Bo ja po polsku mówię doskonale, tylko to udarenje... Ja to czuję... Ja się hodował w Pietierburgie — i zaraz poznasz: ot, z tamtych stron... A tak śpiewać, jak wy, po warszawsku — trudno mi się wyuczyć. Komik byłby ja, że nie daj Boh! Cała publika łopałaby od śmiecha.

Mordko, krawiec z Kielc, człeczyna spokojny, który niewiadomo zaco dostał się do naszej re-duty, jęczał od czasu do czasu — i wołał:

— Oj, poco ja tu wlażł?

Tymczasem Promachow i szewc Rudawski, leżąc na swoich kojkach i ćmiąc okropną machorę, zaczęli spór bardzo głośny. Mówili o wojnie: Promachow, który uchodził za znawcę strategji, ostro napadał na całą organizację armji, ale Rudawski się obraził i z szewcką pasją mówił:

— Cała armja — k czortu może być! Ale nasz *diewiatnadcatyj wostoczno-sibirskij strełkowyj polk*, to były chwaty, że *ojra!* Żebyś nas widział pod Wafangou, tobyś gębę rozdziawił. Szedł ci tam grochot i była taka *ojra*, że *lu!* Potym wałą Japońce — *lu!* Potym my na nich — *lu!* I sumatocha się robi okropna — i *lu, lu!* Pewnie, że cała armja psu na bude, ale co nasz pułk — to *ojra!*

Kułakowski z Fiszerem prowadzili poważną dys-

kusję, czy kooperacja jest dla socjalizmu użyteczna czy szkodliwa, a tymczasem Stern śpiewał sobie:

A kto chce rozkoszy użyć,  
W rewolucji idź-że służyć!  
W rewolucji, jak to ładnie,  
Kiedy żołnierz na cię wpadnie,  
A prykładów nie żałuje,  
Jeszcze końmi potratuje!

Lampa (z rodzaju kuchennych) już była zapalona i mdłym blaskiem oświetlała naszą kamerę. Wszyscy mniej więcej leżeli już na kojках; jeden przy stole pisał list, a dwóch grało w więzienną grę „pacyzki“.

Wąsowski — gospodarz z wyboru w naszej celi — robił rachunek wydatków i układał *wypiskę* na jutro, gdy weszła warta.

Obliczono, że jest nas siedemnastu, jak być powinno — i podoficer, człowiek starszy, z orderami na piersiach, zasłużony w ostatniej wojnie — pożegnał się z nami i wyszedł w ciemne podwórze, słabo rozświetlone blaskiem kilku latarń naftowych; poszedł sprawdzać inne kamery. Wrota naszej sieni zamknięto na klucz.

Chwilę była cisza i spokój, gdy naraz, błądy i zdyszany, wpadł do nas zarządzający redutą porucznik Łysienko i pyta:

— Czy niema u was Bąka?

Bąk był to więzień z celi Nr. 1; nie było go u nas.

— Ale może gdzie się ukrył? może gdzie tu jest w kącie? może pod łóżkiem?

Zaczęliśmy badać wskazane miejsca, ale Bąka nie było.

— Może kto z was co wie? Mówcie. Taka nieprzyjemność!

Ale nikt nie wiedział nawet, że Bąk zniknął. Była to dla nas samych niespodzianka. Niepokój nas opanował.

— To był melancholik! — ktoś szepnął.

— Ślepy, jak kret! Trzeci numer szkieł.

— Może sobie zrobił co złego.

— Może z wału spadł w rów!

— Może samobójstwo!

Łysienko był najbardziej strwożony: w rubryce jego służby takie zniknięcie więźnia — to zła nota; a przytym co wieczór bywał on w pewnym zielonym domku, niedaleko reduty, gdzie mieszkała ładna panna, w której młody porucznik się kochał. Zналиśmy ten domek i tę pannę, gdyż co dwa tygodnie chodziliśmy do łaźni do miasta — i po drodze oglądaliśmy te cuda. Czy samobójstwo, czy wypadek, czy ucieczka — wieczór stracony i *wygowor* ze strony władzy.

— A może to żart (szutka)? — zawołał, czepiając się tej myśli, jak tonący brzytwy. — No, jeżeli żart — to... to... już bardzo gruby.

— Ale skąd Bąkowi do żartów! W ostatni poniedziałek nawet z ojcem się nie chciał widzieć. To melancholik!

— Już mnie ta melancholja! Czort ją pobierz!

Zacząło się poszukiwanie więźnia po całej reducie. Przejrzano wszystkie cele po kolei: oczywi-

ście towarzysze Bąka z kamery pierwszej byli najbardziej podejrzani, ale wiedzieli jak najmniej. Żołnierze z tak zwanej kancelarji, z latarniami w rękach — zaczęli krążyć dokoła placu, zaglądając we wszystkie kąty. Otwarto prochownię, ale Bąka w niej nie było. Również nie znaleziono go w kuchni. Nie było go nigdzie na dachu. Nie znaleziono go też w dyskretnej ubikacji, stojącej nieco z boku, którą badano szczegółowo, gdyż Łysienko przypuszczał możliwość, że się Bąk (melancholik!) utopił w najrozpaczliwszym elemencie.

Przeszukano również żywopłoty na palisadach, gdy jeden z żołnierzy zawołał radośnie: Jest! Jakoż po krótkiej chwili schwycił jakąś żywą istotę. Cała kancelarja z latarniami zbiegła się do odkrywcy — i przekonali się, że to był kot, zresztą niewiadomego pochodzenia i wogóle niemeldowany.

Alesza, t. zw. wzwodny, naczelnik kancelarji, mistyk z usposobienia, widział w tym dowód, że Bąk umarł i dusza jego błądzi w postaci kota; zawsze kiedy kto umrze, pokazuje się nieznamy kot w okolicy.

Koło celi Nr. 1 — były od niepamiętnych lat nieotwierane drzwi, prowadzące do kurytarzy podziemnych. Drzwi otwarto — i jakiś czas żołnierze badali, czy nie znajdzie się tam śladów zbiega. Przypuszczano, że Bąk dorobionym kluczem „albo czym innym takim“ przedostał się tam i uciekł tą, zresztą bardzo niepewną i niewiadomo dokąd prowadzącą, drogą.

Najbardziej wstrząśniony, oprócz Łysienki, był

naczelnik „karaułu“, stary żołnierz, który po kampanji japońskiej służył dalej w wojsku, marząc o awansie, a tymczasem sprawa Bąka była dla niego fatalna. Groziła mu surowa kara, a i żołnierze obawiali się niezadowolenia władzy wyższej i w jednej chwili ich zazwyczaj przyjazne usposobienie dla więźniów — zmieniło się w złowrogi pomruk.

Śród więźniów panował nastrój szczególny: zadość, zdumienie, zadowolenie.

— Tęgo się spisał — mówili wszyscy — a któżby się tego domyślił? Taki się zdawał nieprzedsiębiorczy, apatyczny człowiek?

Poczym rozważano kwestję, jak on to zrobił? ale co do tego nie mogliśmy dojść do żadnego wniosku.

Naraz dały się słyszeć trąbki na placu; poczym zabrzmiały inne poza redutą — i znowu inne, coraz dalej, niby echo. W dobre pół godziny nowa półrota zjawiała się w reducie — rozstawiono strażę na samym placu i na wałach. Przybył *runt*, tj. dyżurny „po karaułam“, którego obowiązkiem jest czuwać nad sprawnością wartowników w różnych punktach fortecy (oczywiście „runtów“ jest w fortecy więcej, niż jeden).

Latarnie naftowe na podwórzu dawno już były zapalone, lecz teraz uważano je za niedostateczne. Alesza, mistyk duszą, ale bardzo trzeźwy w sprawach realnych — wpadł po coś na chwilę do kamery XV i zrozpaczony gadał po małorusku:

— Szczo wy nadiłali! Hetot Bonk utik, a te-



pericza nam bida! Od jutra to już palić się będzie ta wielka sztuczna lampa na środku placu...

— A co — zawołał jeden — Bonk mołodec!

— Ech, ja was-by usich ta u Sibir! A już do kniazia doszła wiadomość. — To rzekszy, Alesza wybiegł.

— Panowie — zawołał Tworkowski, zawsze przezorny, stary bywalec więzienny — jutro rano, najpóźniej o szóstej będzie rewizja we wszystkich kamerach. Noże, brzytwy — co kto ma — czuj duch!

Nie prędko się zasnęło, a niejeden we śnie widział Bąka, bujającego swobodnie po morzach i stepach.

Wkrótce po godzinie szóstej drzwi naszej celi się otwarły — i zbudziło nas hałaśliwe wejście kilkunastu osób, w czym zarządzający, runt, ośmiu żołnierzy z podoficerem i czterech żandarmów.

Rozkazano nam wstać natychmiast z „kojek“, przybrać się jakkolwiek i zgromadzić się w jednym punkcie koło okna.

Zaczęła się rewizja. Badano kuferki, walizy, tłumoki; podnoszono i przetrząsano sienniki, zaglądano w kąty, w buty, w piec, pod łóżka, pod wiezadła. Jeden z naszych towarzyszy, który niedawno wyszedł z wojska, za jedyny kostjum miał, prócz spodni — płaszcz żołnierski z guzikami cywilnymi; płaszcz ten służył mu również za kołdrę; przedmiot ten został mu skonfiskowany. Mordce wzięto jego krawieckie nożyce, staremu Z. skonfiskowano paszport, a Greczowi, który trochę rysował i miał

całą tekę szkiców, jak kazamaty, podwórzec, wały z wartownikami i t. d. — aresztowano wszystkie owe arcydzieła.

Jak nam później tajemniczo, szeptem mówił Grisza:

— Znaleźli u jednego plan fortecy.

Owego dnia Grisza poszedł po wypiskę do miasta. Wypiska jest to spis przedmiotów, które są więźniom z miasta potrzebne: tytuń, prowiant, papier, marki, mydło, farby do wyrobów z chleba i t. d. Codziennie gospodarze spisują życzenia więźniów i zbierają pieniądze. Ponieważ więźniów było koło 400, wypiski szło codziennie przecięciowo za czterysta złotych polskich (60 r.), z czego żołnierz pobierał 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub> czyli koło 6 rubli zysku, nie licząc tego, co mu dawali kupcy. Codziennie chodził inny. Jeżeli który był sprytny, jak pewien Juzik, chłop z pod Orenburga — to i nowiny przynosił. Griszy poleciliśmy, aby się wywiedział, co tam w mieście mówią o Baku. Jakoś natychmiast po rewizji Łysienko wyjechał, a stary podoficer, naczelnik warty, surowe zaprowadził porządki; nie pozwalał wychodzić na dziedziniec, przełazić z celi do celi, nawet „do wietru“ puszczał tylko po czterech, a pod ubikacją stał bardzo czujny wartownik.

Rozmowy jednak prowadzono z więźniami.

Pod naszym oknem stał młody Czernihowiec, który nie mógł zrozumieć jednej rzeczy, tejsamej — której i my nie rozumieliśmy.

— Jak to jednak on się stąd wydostał?

— Ba — gadał ktoś na żarty — on był w cyrku

i umiał skakać przez trzypiętrowy dom, a cóż dopiero przez taką palisadę.

— No, to i prawda! Takiemu nie trudno.

Koło 10 przybył Grisza z miasta i doniósł nam, że tam, na skutek depešy o ucieczce Bąka, wieczorem aresztowano koło 40 osób podejrzanych; nad ranem przyjechał Łysienko, aby zbadać, który z nich jest Bąk.

— Ale Bąka *nie okazałoś*, a Bąk, *mołodec!* niewiadomo gdzie... Za to stary *unter* pocierpi.

Tymczasem rozpoczęła się na placu nowa robota. Pośrodku stał tu słup, lekko zaokrąglony u szczytu; miała tam wisieć lampa acetylenowa, od pięciu lat nie zapalana. Trzeba ją było zawiesić, umocować, przygotować należycie, aby świeciła. Kto ją zawiesi? Kto się wdrapie na szczyt słupa?

Tłusty Alesza chciał się wdrapać, ale po siedmiu łokciach zsunął się na dół; ani Grisza, ani Paweł nie umieli sobie poradzić.

Kucharza Waški nie można się było dowołać; wytłumaczył, że nie może porzucać zupy, i gorliwie pracował w swoim departamencie.

Łysienko i runt zaczęli się niecierpliwić. Kto wejdzie na słup?

Tu mógłbym przemówić stylem Wiktora Hugo. Z gromady więźniów wystąpił bosonogi, lichy odziany olbrzym o minie andrusa z nad Wisły i powiedział:

— Ja!

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Był to

niejaki Lipski, z zawodu mularz, podejrzany o zabójstwo agenta policyjnego Grüna, a który dla jakichś powodów siedział w osobnej celi. W latach młodości Lipski nie jedną zdobył nagrodę słupa na igrzyskach wielkanocnych w Warszawie. Teraz chciał wszystkich olśnić raz jeszcze.

W minutę — jak wiewiórka — był na szczycie słupa; spuścił drut, do którego przyczepiono lampę, pociągnął ją ku sobie i umocował odpowiednio. Dla próby lampę zapalono, ale po chwili zgasła (długo nie używana). Próbowano jeszcze dwa-trzy razy; ciągle gasła, nareszcie się udało: lampa zapłonęła ładnym błękitno-białym płomieniem. Lipski spuścił się w minutę na dół, jakby płynął po powietrzu — i wrócił do swojej celi, dokąd go odprowadził żołnierz. Gdy zaś Lipski go pytał, poco ta lampa, ów odrzekł tajemniczo:

— Książ przyjedzie.

Osoba, zwana kniazem — był to komendant fortecy, którego runt, zarząd, kancelarja i karaul oczekiwały gorączkowo.

Niemniej gorączkowo oczekiwał go nasz arcy-mistrz kuchni — Waśka.

Kilku żołnierzom nakazano jeszcze pościnać na wałach wszystkie krzaki, aby nikt się w tej puszczy nie mógł ukryć. I tak palisada reduty Nowogrodzkiej A fortu Kobryńskiego twierdzy B. L. — została wygoloną na gładko i na długi czas pozbawioną swych ornamentów.

Jednocześnie Alesza wyszedł na plac i zaczął czytać nazwiska jakichś trzynastu więźniów, któ-

rym nakazano natychmiast upakować swoje tobołki, gdyż, dla niewiadomych zresztą powodów — mieli być przeniesieni do tzw. *okružnej*, mocno okrątowanej budowli, poza naszą redutą, w innym miejscu twierdzy. Pozwolono im tylko poczekać na obiad. Książ będzie niedługo, a takich buntowczyków — których zresztą wybrano na chybi trafi — pokazywać mu, to i niemiło.

Nadto cela Nr. 1 została zupełnie zniesiona: piętnastu jej mieszkańców rozmieszczono po innych kamerach, a trzech skazano na pobyt w *okružnej*.

Było południe. Właśnie nieszczęsny bohater z pod Laojanu opuszczał redutę wraz ze swemi żołnierzami, przyszedł zaś nowy karauł. Nowi ludzie byli już zgoła wrogo usposobieni względem nas i zaprowadzili w więzieniu mały stan wojenny. Obliczono dokładnie ilość więźniów w każdej celi, żołnierze rozstawili się na wałach i koło okien — i znów gorączkowo oczekiwano kniazia.

Waska nakoniec otworzył swoje tajemnicze laboratorium i wydał Pawłowi krótki rozkaz:

— Dzwon!

Paweł uderzył w dzwon, z którym krążył w różnych kierunkach na placu reduty — i tym sposobem wszystkich dyżurnych zawiadamał, że obiad gotowy. Dyżurni galopem jęli pędzić do kuchni. Każda cela wysyła do kuchni dwóch ludzi (codziennie innych), z których jeden trzyma dwa wielkie cynkowe kociołki do zupy; kociołki te zowią się *baki*. Drugi nosi dzbanki na gorącą wodę do herbaty. Na odgłos dzwonu dyżurni w podskokach, jakby

na wyścigi, śpieszą do kuchni, aby tworząc *queue*, jak w kasie teatralnej, znaleźć się możliwie najbliższej Waśki.

Cela nasza (Nr. 15) znajdowała się prawie tuż obok kuchni; znalazłem się też (byłem dziś dyżurny) jednym z pierwszych w szeregu.

W kuchni był wielki komin o trzech olbrzymich kotłach: w jednym gotowano zupę (i mięso), w drugim kaszę, w trzecim wodę.

Waśka z nader uroczystą miną, dzierżąc potężnej miary łyżkę cynową w rękę — rozlewał zupę w *baki*. Już przy wejściu do kuchni uderzał cię dziś upajający zapach; nozdrza twoje doznawały rozkoszy niewymownej, a był to aromat grochowej zupy, którą mieliśmy dziś otrzymać. Biało-błękitna para buchała z kotła — i, wchodząc, byłeś gotów sądzić, że to kuchnia Wulkana, którego zastąpiła na chwilę jego wierna i uroczą małżonka, Wenusa, jak mówił jeden z naszych towarzyszy.

Kiedy powróciłem do celi z bakami — i gdy zupę rozlaliśmy w miseczki, rynki, talerze — gdy ją powąchano, gdy jej posmakowano — niesłychany entuzjizm zapanował wśród biesiadników.

— Co za zupa! Co za grochówka!

— Daj nam, o Panie Boże miłosierny, codziennie taką zupę!

— Książę bułgarski w dniu, kiedy został królem, nie jadł takiej zupy!

— Ani Paillardani Marguéry nic podobnego nie zrobią — mówił jakiś bywalec paryski, a Stern śpiewał podług starej operetki:

Jaka smaczna ta grochówka!  
 Nie jadłem takiej z rok!  
 Zapach nęci podniebie-e-e-enie.

— Niech żyje Waśka!

Waśka słynął jako znakomity artysta w swojej sztuce: zwłaszcza jego kasza hreczana była bajeczna. Była to wielka żołdacka gryka, tzw. żelazna, którą można dostać tylko w wojsku albo w więzieniu.

Trudno w słowach powiedzieć tej kaszy woń cudną.

Otrzymywaliśmy ją codziennie: był to nasz deser, prawdziwe delicje. Zupy Waśki — niestety — były zazwyczaj o wiele niższego gatunku, pozbawione wszelkiego smaku, a czasami nie można ich było wprost wziąć do ust.

Ale dzisiejsza grochówka! *Chapeau bas!*

Była to meta-grochówka, ambrozja, nad-ambrozja.

Winszowaliśmy też Waśce tego paroksyzmu gienjalności w sztuce kuchennej.

Waśka, duży chłop jarosławski, uśmiechnął się chytrze pod skąpym wąsikiem czarniawym, jego duża nieforemna piegowata twarz błyszczała z zadowolenia, a piwne, figlarne oko skakało naprawo i nalewo.

— Bo to kniaź miał być, niby dla rewizji — przez tego Bąka. Myślę sobie, i do kuchni zajrzy — pokosztuje zupy — to trzeba się pokazać.

O Bąku, jakżeśmy cię błogosławili za twój czyn bohaterski! Nagroda nas za to spotkała w postaci

przewybornej zupy grochowej. Obyś dojechał szczęśliwie do przystani.

Nazwaliśmy ową zupę grochówką *à la Bąk* i często marzyliśmy o powtórzeniu uczty podobnej.

Niestety, książę zjawił się w reducie dopiero po czwartej — i siedział nie dłużej nad pięć minut — a do kuchni zajrzeć nawet mu na myśl nie przyszło.

Waśka, zniechęcony, wrócił do dawnej metody gotowania zupy.

Tak się skończyła dla nas historja ucieczki Bąka. Nastąpiły pewne obostrzenia, zwłaszcza ze strony wartowników. Wieczorem tego dnia nie zapalano już lamp naftowych, tylko wielką acetylenową, która cały plac jasno oświetliła, ale koło północy zgasła do szczętu i nasza reduta została pogrążona w bezdennym mroku. Znużony i znudzony tą ciemnością runt — przyszedł do nas na gawędę i siedział do trzeciej rano.

Tejże nocy Lipskiego wywieziono do Warszawy.

W jakie dziesięć dni potym niektórzy więźniowie otrzymali kartki obrazkowe z napisem:

Pozdrowienia z Zakopanego. Bąk.

Na co mu odpisano:

Cześć bohaterowi. Dziękuję za grochówkę.

A. B. C. D.



BOGOWIE.



Henius zaczął rok piąty — i jesteśmy oboje, to jest moja żona Marynia wraz ze mną, bardzo niespokojni o jego przyszłość i zbawienie. Chłopiec okazuje skłonności zgoła pogańskie i bluźniercze — i choć nie można go nazwać ateuszem (przeciwnie, stworzył sobie całą gromadę bogów i demonów), to jednak stanowczo się oparł nakazowi modlitwy i z boleścią stwierdzam, że jej potęgi ani świętości wcale nie rozumie.

Wynikło zaś to niewątpliwie z mimowolnej niezręczności Maryni. Chciała go nauczyć modlitewki, odpowiedniej do jego umysłu i przytym wierszami, bo Henius bardzo lubi wiersze. Więc, gdy raz wieczorem, kładąc się do snu, stał już w koszulce przy łóżeczku, Marynia mu powiedziała:

— Heniusiu, od dziś będziesz się modlił do Bozi i do aniołków.

— A jak to się modli?

— Uklękiesz, złożysz rączki i będziesz tak mówił:

Aniele Strózu mój,  
Ty zawsze przy mnie stój!

Na to Henius:

— Kiedy ja nie chcę stróża... Niech on nie stoi przy mnie... Nie będę się modlił...

Od paru dni trwa wojna mamy z Heniusiem o modlitwę. Marynia jest pełna trwogi. Zwierzyła mi się poufnie, że to chyba sam djabeł mówi przez tego chłopca; inaczej być nie może. W tych latach taka skłonność do bluźnierstwa!

Jednakże ta niechęć Heniusia przeciwko modlitwie ma swe uzasadnienie. Stróż naszego domu, Wincenty, jest to wielki jasnowłosy olbrzym, z ziemi Kurpiów pochodzący; niedokładnie wymyty i ufryzowany, nosi osobliwy kubrak wełniany w szerokie kraty brązowe i brudno-żółte; ma długie, czarne, zabłocone buty i zjawia się czasami w przedpokoju, jako widmo potężne nieznanego złowrogiego świata.

Jest to nasz nadworny dostawca różeg, gdyż pomimo że i ja i moja żona wyznajemy różne nader postępowe zasady pedagogiczne, to jednak w praktyce trzymamy się starej, poczciwej metody „łania“. Obiecujemy sobie zawsze, że to się prędzej czy później zmieni, ale tymczasowo w odpowiednich okazjach Marynia wychyla się przez okno i woła:

— Wincenty!

Natychmiast w mieszkaniu stróża powstaje ruch, i jeżeli go niema w chałupie, wówczas gruba, przysadzista jego małżonka basem powtarza na całe podwórze sopranowy okrzyk mojej żony:

— Wincenty!

Henius nie lubi tego okrzyku, czy to w sopranie, czy w basie. Istotnie, natychmiast prawie wychodzi z jakiejś tajemniczej kryjówki Wincenty

i, po krótkiej scenie mimicznej z żoną, wyrusza do nas z różgą w ręku.

Słychać w przedpokoju donośny dzwonek. Heniusz rozumie, co to znaczy. Niespokojnie chowa się gdzieś w kącik i zapewnia matkę, że „będzie grzeczny“. Niańka otwiera drzwi, i ogromne, rudowłose widmo stróża zjawia się w naszym mieszkaniu.

— Jestem — rzecze Wincenty — przynoszę różgę.

— Dziękuję wam — mówi mama i jeszcze daje mu za to cztery grosze.

Heniusz krzywym okiem patrzy na stróża, w którym widzi jakąś tajemniczą i złowrogą potęgę. Ponieważ jednak i gniew mamy i niegrzeczność Heniusia już minęła, Marynia już nie zamierza sprawić mu lania; Heniusz to czuje i nabiera rezonu. Wincenty zaś poufnie dowiaduje się, co to napsocił ten młodzianek. Mama mu opowiada, a stróż zapewnia, że doniesie o tym węglarzowi i stójkowemu, co Heniusiowi się niezupełnie podoba. Węglarza się nie boi, to jakiś duch życzliwy, ale nie lubi stójkowego.

Że zaś właśnie w przedpokoju stał kosz do bielizny, Marynia, włożywszy Heniusia do kosza, powiada stróżowi:

— Weźcie go z sobą i zanieście tak do Wodnej Baby, niech go tam w Wiśle zatrzyma.

Heniusz się przeraża; nie chce iść do Wodnej Baby, ale Wincenty go uspokaja. Dowiedział się właśnie, że Wodna Baba pojechała do Jędzy, co

mieszka w głębokim lesie w domku piernikowym, i dopiero na jesień powróci.

Heniusz odetchnął. Można powiedzieć, że mu się dziś nieźle udało i zresztą, prawdę mówiąc, zdarza się to najczęściej. Mama w gruncie rzeczy niechętnie sprawia „lanie“ swemu synkowi. Ostateczność ją tylko zmusza do tego. Tak np. było w ubiegłym tygodniu; ni mniej, ni więcej, tylko Heniusz wlaźł na komin i o mały włos nie wpadł w gorejące palenisko. Zdarzyło się, że przez minutę nie było w kuchni ani matki, ani kucharki i młody przestępca z tej sposobności skorzystał. Gdy Marynia ujrzała tę zgrozę, załamała ręce z rozpacz. Istotnie, Heniusz mógłby się poparzyć i Bóg wie, jakie zgotować sobie nieszczęście.

Dostał też „lanie“, co się zowie, a gdym się o tym zdarzeniu dowiedział, dreszcz mnie przeszedł od stóp do głów. Sposobem przypowieściowym opowiedziałem mu straszną rzecz o chłopczyku, co się właśnie w podobnej okazji spalił na węgiel i na popiół. Ta wymyślona historia zrobiła na Heniusiu nadzwyczajne wrażenie, zwłaszcza że mu fakt spalenia się chłopca przedstawił nader plastycznie. Dał mi słowo, że już nigdy na palenisko nie wejdzie.

Słowa dotrzymał, ale znalazło się sto innych, nieprzewidzianych motywów do psoty — i oczywiście nowe przyczyny gróźb ze strony matki, nowe wołania: „Wincenty!“ i nowe zapasy różeg. To też nie dziw, że postać stróża długi czas budziła w Heniusiu uczucie grozy... Jakże więc jeszcze miał się

modlić do niego, aby Wincenty „zawsze przy nim stał“.

Nie można powiedzieć, aby Henius bezwzględnie go się lękał. Zauważył niewątpliwie, że na dwanaście zjawień tego straszego widziadła, raz ledwie zdarza się realne odczucie efektów jego zjawień. Podejrzewam go, że z lekka począł lekceważyć mistyczną potęgę, ukrytą w postaci Wincentego, i kilka razy, przy mniejszych psotach, gdy matka go burczała, ironicznie mówił:

— Wincentego zawołać!

Wogóle Henius ma w sobie duszę ironisty i „buntowszczyka“, sam siebie nazywa teraz „socjal-demokratą“ albo „esdekiem“, a parę razy czupurnie się postawił wobec matki. Powiedział jej urągliwie, że jest „inteligientna“ i że „do żadnej partji nie należy“.

Muszę wytłumaczyć, jak Henius doszedł do takich wniosków. Henius ma wyborną pamięć; uderzają go zwłaszcza długie i niezrozumiałe wyrazy cudzoziemskie, jak np. metafizyka, hematogen, socjaldemokrata, menażerja, kinematograf, inteligientna i t. d. „Metafizyki“ nauczył się od brata mojej żony, Karola, profesora, który o wszelkich rzeczach oderwanych, powikłanych i niejasnych miał zwyczaj mówić: „To metafizyka!“ — przyczym właśnie najwięcej go interesowały te sprawy niejasne i oderwane.

Co się tyczy wyrazu „inteligientna“, to zdobycza w leksykonie Heniusia ma swoją własną historję. Żona moja, nader miła i zacna osoba, ukończyła

znakomitą pensję panny de Coselle, a potem była na „latającym uniwersytecie“, gdzie słuchała filozofji, socjologii, ekonomji, biologji, antropologii i różnych nauk wyższych, w wykładach Warburga, Żywickiego, Fiorentowicza, Ratuszewskiego i innych najświetniejszych profesorów. Mimo to często robi szczególne błędy: raz np. dowodziła, że zając jest rodzajem kota, bo nawet myśliwi inaczej go nie zowią, jak kotem; innym razem sprzeczała się ze mną, że Nieśwież leży w Galicji; raz powiedziała: perły orleańskie i t. p. W tych i tym podobnych razach mam zwyczaj mówić do swej żony:

— Dziękuję ci! Jesteś inteligentna! Masz tu dziesiątkę — co natychmiast czynem realnym stwierdzam; żona moja tą drogą zarobiła już sobie siedm złotych i groszy dziesięć.

Wyrazy takie, jak socjalizm, partja, rewolucja, konstytucja — weszły do jego słownika, dzięki rozmowom osób starszych o ruchu społecznym. Brat mój, Adam, lekarz z zawodu, nie nazywał go inaczej, jak socjaldemokratą, gdyż małeć nosił czerwone podwiązki, a Karol w jakiejś okazji pogardliwie o kimś wspomniał, że do żadnej partji nie należy. Te wszystkie wyrażenia zapamiętał sobie Heniusz i raz w momencie gniewu powiedział matce:

— Mama jest inteligentna! Mama do żadnej partji nie należy! A ja jestem esdek; mam czerwone podwiązki i czerwony krawat!

Oczywiście matka śmiać się zaczęła z tych synowskich powiedzeń, a Heniusz dalej trwał w swoim esdeckim nastroju i zaczął śpiewać dyszkantem:



„Czerwony sztandar“, „Jeszcze Polska“, „Z dymem pożarów“, „Na barykady“ — czego nauczyła go niańka Anusia do wspólni z Marynią. Całą tę ekstazę zakończył okrzykiem:

— Niech żyje konstytucja!

Heniusz miał swoje „dni polityczne“, ale właściwie nie polityka jest jego powołaniem. Jest to umysł konstrukcyjny, który tworzy nieustannie nowe systemy teologiczne i filozoficzne, a właściwie jest on rzeczywistym mitotwórcą. Dla niego niema żadnej niemożliwości; wszystko u niego żyje, myśli i mówi; ptaki, chmury, drzewa, meble, zegary, rondle, zabawki — wszystko to żyje; wszystko to z najwyższą łatwością zmienia postać i miejsce; Wincenty — jak to się dowiemy — ma stosunki bezpośrednie z niebem, węglarz — w krainie leśnych drzew, a o kominiarzach trzeba osobno badanie przeprowadzić; wogóle między człowiekiem a duchem (demonem, herosem, bogiem) — granica jest niewyraźna i bóg z człowiekiem ciągle się wiąże i miesza. Trzeba odróżniać duchy złe i dobre.

Stanowczo Heniusz jest reformatorem religijnym, a w każdym razie stwórcą mitologii, która się niczym nie różni od mitologii Hindusów, Persów i Greków.

Widzieliśmy, że sprawa modlitwy była momentem przełomowym w życiu Heniusia. Pominąwszy sprawę grozy, jaką w nim budził Wincenty, nie należy zapominać, że Heniusz w nim przeczuwał jakąś mistyczną potęgę. Wincenty to w gruncie nie byle kto. Wieczorami zapalał on lampy na scho-

dach i na podwórzu; również i na ulicy paliły się latarnie, które zapalał naturalnie Wincenty (któżby inny?). Na ulicy jest niezliczony szereg tych latarni, a takie same latarnie palą się wysoko na niebie, gdzie mieszka Bozia. A któż Mu lampy zapala? Oczywiście tensam Wincenty, gdyż wpływ tego potężnego człowieka sięga daleko i wysoko, i Heniusz wyobraża sobie, jak to Wincenty wieczorami rośnie do niepojętych rozmiarów i olbrzymią ręką sięga aż do samego nieba, rozżarzając wielkie zapalki i po kolei wszystkie gwiazdy rozplomienia, a potem księżyc, do czego już potrzeba tylu zapalek, ile jest palców u rąk. Czasami brak mu zapalki i dla tego księżyc pali się niecały.

Kto zapala słońce, nad tym Heniusz dotąd nie rozmyślał, wydaje mu się bowiem rzeczą bardzo naturalną, że we dnie jest jasno i słońce świeci.

Wincenty jest — można powiedzieć, najważniejszą osobą między niebem a ziemią, ale ma on pomocników, widzialnych i niewidzialnych. Do widzialnych należy człowiek czarny, węglarz, oraz człowiek świecący — stójkowy.

Stójkowy jest „Moskal“ i mówi bardzo dziwnie, np. „gaspadin“ zamiast „pan“, a zamiast „głupi“ mówi „durak“. Stójkowy pokazuje się bardzo rzadko, przynosi zawsze jakieś papiery, które się wiążą z mistyczną postacią komornika. Pokaże się, chwilę postoi w przedpokoju i wnet znika. Heniusz zauważył, że zjawienia tego widma są mi bardzo przykre, i uważa go za istotę złą, która fatalnie oddziaływa na ludzi. O stójkowych ma Heniusz

uprzedzenia bardzo niemiłe; stójkowi noszą pałasz, którym siekają dzieci; mają też u siebie głęboką piwnicę, gdzie je rzucają pomiędzy szczury i myszy.

Nieraz mu w chwilach niegrzeczności mówiła niańka (albo mama):

— Oddam cię stójkowemu — albo zgoła — Moskalowi!

Heniusz nie ufa temu rodzajowi; wie, że z Moskałem niema żartów, i nie chce się zgodzić na to oddanie. Wyrobił sobie pod tym względem szczególne pojęcie i rozumuje przez analogję. Raz w ogrodzie publicznym, mimo przestróg matki i Anusi, latał po trawnikach, aż jeden pan go zatrzymał i powiada:

— Jeżeli nie przestaniesz psuć trawy, to zawołam ogrodnika...

Heniusz na chwilę się przestraszył, a potem zapytał tego pana:

— A czy pan jest Moskał?

Nieznajomy się roześmiał serdecznie i odszedł, a mama skorzystała z okazji, aby chłopcu dać naukę moralną. Heniusz słuchał z pokorą, a potem nagle zażądał piernika, albowiem poeta mówi:

„Widząc to, ojciec przyniósł mu piernika“.

Czytelnik rozumie teraz wielkie znaczenie mityczne, jakie powstało w umyśle Heniusia na tle Moskala-stójkowego. Był to demon potężny, w czapce z daszkiem, o srebrnych guzikach i z szablą u boku; brak mu jeno było tych cech dodatnich, jakimi się odznaczał, skądinąd przykry, stróż Wincenty.

Człowiek czarny — węglarz — była to prze-

ciwnie postać dobroduszną. Przychodził do nas jakoś dwa razy na tydzień, przynosił duży kosz węgla na grzbiecie, z wielkim rumotem strącał węgiel do skrzyni koło komina i, pokazując białe zęby, przeciwie się uśmiechał do Heniusia i opowiadał o swoich dzieciach, bardzo grzecznych, a Heniusz wyobrażał sobie, że są to dzieci czarne, jak ta lalka czekoladowa, którą na imieniny dostał od babci. Że istnieją czarne dzieci, o tym Heniusz wiedział, bo przecież są na świecie Chijorki (o czym niżej). A chociaż niańka straszyla Heniusia węglarzem, chłopiec nie wierzył w jego złośliwość, tymbardziej, że czarnym dzieciom dawał w upominku swoje popsute zabawki, skoro tylko dostał nowe. To też węglarz bardzo kochał Heniusia i grubym głosem mówił do niego pieścizotliwie: tiu—tiu—tiu!

Przytym węglarz mu opowiadał o ślicznym lesie, pełnym zielonych drzew, w którym rośnie bujna trawa, grzyby, jagody, orzechy; tam po drzewach skaczą wiewiórki, w trawie kryją się zające, a w krzakach śpiewają kosy, wilgi i makolągwy. Pod lasem jest jezioro, gdzie można się kąpać i gdzie dużo rybek mieszka, a na wodzie jest łódka, tataraki, kaczki i gęsi. Dalej jest tam łąka, a na niej krowy i owieczki i chałupy, pokryte słomą... Dzieci tam grają na fujarkach i chodzą boso. Heniusz słuchał tego z rozkoszą i przypominał sobie swój pobyt na wsi. Lubił też węglarza, jako zwiastuna tej tajemniczej, wiosnianej, zielonej, dalekiej krainy...

Nic też nie bał się czarnego człowieka, choć znowu inny gatunek czarnych ludzi go przerażał:

były to Chijory. Pod tym wyrazem należy rozumieć kominiarzy, a nowotwór ten lingwistyczny wprowadziła do naszego domu Anusia — niańka.

Podobno, że kominiarze, wołając do siebie z dachu na dach, krzyczą zwykle:

— Hi—or—hi!

Ja, co prawda, nigdy tego nie słyszałem, ale Anusia, która się doskonale zna na sprawach kominiarskich, zapewnia, że tak jest bez wątpienia. Anusia to nauczyła Henia śpiewki:

Kominiarza stan milutki —  
Wytrze komin — palnie wódki!

Mama zaś mówiła mu za Jachowiczem:

Choć'em brzydki — choć'em czarny,  
Alem chłopak grzeczny;  
Nie dbam wcale o wdzięk marny,  
Dość, żem pożyteczny!

Wiersz ten był dla Heniusia wielkim problematem; w każdym razie nie kominiarza rozumiał on pod postacią tego „grzecznego chłopca“, ale raczej węglarczyka. Wrócę jeszcze do tej sprawy. Tu jedynie zaznaczę, że pod wpływem uczonego słoworodu Anusi powstał wyraz specjalny: Chijor, oraz imię jego dzieci: Chijorki.

Były to postacie zdaleka tylko widzialne i nigdy w naszym domu, ale w sąsiednich posesjach.

Nasz dom był niewielki, dwupiętrowy, i miał dużo swobodnej przestrzeni, otwierającej widok na dachy sąsiednich domów. Siedząc w oknie, Henius

obserwuje te dalekie sfery i podziwia szczególnie obyczaje Chijorów.

Chijory mieszkają w kominach i chodzą po dachach jak koty. Przytym zawsze mają z sobą jakieś grube pęki sznurów, z którymi tańczą na wierzchołku komina. W kominie jest bardzo gorąco i czarno; ale Chijory lubią ogień i nic im ogień nie szkodzi... Wiezorami latają po powietrzu jak wrony, a sznury właśnie służą im za skrzydła. Chijory są złośliwe i należy się ich wystrzegać; często porywają oni dzieci i strącają do komina, a to dla zabawy małych Chijorków. Chijorki rzadko się pokazują, wołają siedzieć w kominie, bo tam jest bardzo ciepło. Są to wielkie psotniki i nieraz kucharkom wypijają mleko, kradną kotlety i ciastka; bardzo lubią jabłka, orzechy i chleb świętojański; dzieciom wyprawiają różne figle, a tym, które zostały porwane do komina, okrutnie dokuczają; szczypią, drapiają, gryzą...

Małe Chijorki stanowią przejście od duchów widzialnych do niewidzialnych. Nikt ich nigdy nie widział, ale ich istnienie jest stwierdzone tradycją i doświadczeniem. Chijorki mają wielką przyjaciółkę w niewidzialnej Babie Piecowej. Baba ta mieszka w głębi pieca i również lubi gorąco; słychać też nieraz ją, jak huczy wewnątrz ogniska; rzekłbyś sowa. Zwłaszcza w czasie wiatru gniewa się ogromnie. Jest to ciotka Chijorków i pomaga im w psotach, to też ciągle oni do niej zagląдают. Chijorki raz zabrały np. Heniusiowi pajaca z dzwon-

kami; na drugi dzień znaleziono go; był zupełnie spalony, widać siedział w kominie.

Zupełnie przeciwne Chijorkom są Aniołki. Aniołki są podobne do małych dzieci, ale mają one skrzydła, latają po powietrzu jak gołębie, mieszkają u Bozi i schodzą na ziemię, żeby dzieciom robić przyjemności. Aniołki np. przynoszą na ziemię trawę, kwiaty, motyle i wszystko to, z czego się robi cukierki i ciastka. Aniołki są bardzo poczciwe i każde dziecko ma swego osobnego aniołka; Heniuś też ma swego aniołka, ale to nie jest stróż, tylko śliczne złoto-włose dziecko, czysto, bielusięńko ubrane, a na ramionach ma białe skrzydełka. Heniusia aniołek jest bardzo dobry, ale nieraz płacze, gdy Heniuś jest niegrzeczny. Nie należy smucić swojego aniołka; Heniuś o tym wie, ale często nie może wytrzymać i martwi aniołka. Aby go przebłagać — Heniuś czasami, o ile ma, kładzie dla niego cukierek angielski albo czekoladkę na krzeselku koło swego łóżka.

Dla czego Heniuś bywa niegrzeczny? Nie ze złej woli, ale dla tego, że jest drugi Heniuś, niewidzialny Heniuś, i ten drugi Heniuś psoty wyprawia temu pierwszemu Heniusiowi, tak że na oko wydaje się, że to właśnie ten pierwszy, widzialny Heniuś jest niegrzeczny. Rzecz ta musi być wyjaśniona osobno, a tymczasem wrócimy do sprawy aniołków.

Czasami małe Chijorki biją się z aniołkami, ale niczym są te bitwy wobec walk, jakie toczą ze sobą wielkie Anioły z wielkimi Chijorami. Jak wiemy,

wielkie, czarne Chijory latają po powietrzu, niby wrony, a są oprócz małych aniołków — wielkie Anioły. Anioł jest bardzo podobny do mamy, kiedy ta się rozbierze do koszuli; tylko Anioły noszą koszule długie do kostek i z rękawami; w dłoniach zaś mają palmy albo kije. Chijory chcą Aniołów pomalować na czarno, Anioły zaś, przeciwnie, chcą pomalować Chijorów na biało: stąd między nimi ciągnęła wojna, odwieczna wojna Ormuzda z Arymanem, o których zresztą Heniusz nigdy nie słyszał.

Nie pojmował Heniusz, dla czego mama kominiarza nazywa chłopcem grzecznym i pożytecznym. Czarny, złośliwy duch, nieprzyjaciel aniołów, mieszkający w ognistych czeluściach kominów — Chijor i „greczny chłopak“, nie, to „metafizyka“.

Dopiero później wytłumaczyła mu matka znaczenie gospodarcze kominiarza i Heniusz dał się przekonać, ale było mu bardzo żałośnie, gdyż stracił jedno wielkie złudzenie. Smutno jest grzebać mary, chociaż błędne.

Jednakże bujna wyobraźnia Heniusia nie zaprzestała tworzyć nowych bogów, a właściwie mówiąc, nie dopuszczała, by stare wymarły.

Z aniołów najmilszy był Święty Mikołaj, anioł osobliwy, z długą białą brodą, w szafirowym płaszczu w złote gwiazdy. Krąży on po świecie z wielkim koszem, pełnym zabawek, na Boże Narodzenie obwiesza choinkę ślicznościami, przynosi cukierki, pierniki, książki z obrazkami; słowem, dobrze jest mu się przypodobać i być grzecznym, a napewno dostaniesz konia, pajaca albo szabelkę,



żołnierzy ołowianych, obrazki lub łamigłówki. Heniusz zapewnia, że raz, a było to latem, o purpurowo-niebieskim zachodzie słońca, widział świętego Mikołaja na niebie; poznał go po białej brodzie i szafirowym płaszczu, na grzbiecie dobry anioł miał brunatny kosz, a w koszu śliczne, świecące zabawki. Święty Mikołaj nie może więc być uważany za istotę niewidzialną, gdyż Heniusz widział go na własne oczy.

Ale są bóstwa rzeczywiście niewidzialne, jak Wodna Baba, Jędza i Leśna Panna. Są to niedobre duchy, ale póki Heniusz jest w Warszawie, prawie o nich zapomina. O Wodnej Babie wiedział, że mieszka w Wiśle pod wodą; ma tam pałac z muszli i koralu, i właściwie surowej krzywdy dzieciom nie robi, tylko bierze do siebie na poprawę dzieci niegrzeczne. Tam je oddaje pod straż swoim córkom, panienkom wodnym, które mają rybie ogony, a te bawią się z dziećmi póty, póki się dzieci nie poprawią. Nie jest tam źle, tylko córki Baby Wodnej lubią dzieci łechotać, a jeść tam nic nie dają, prócz wody; kto lubi żaby, to może się karmić żabami.

Teraz jednak Baby Wodnej niema w Warszawie; pojechała do lasu, do baby Jędzy, co to mieszka w domu piernikowym. Zdradliwa to baba. Wabi ona dzieci do lasu różnemi sposobami: śpiewem, poziomkami, światełkami, tańcem Leśnej Panny, zamyka je w klatce, daje im ciastka, pączki, pierniki, cukierki, kluski z makiem, a potem, kiedy dzieci są należycie tłuste, Baba je piecze lub gotuje i zjada jak kurczęta nadziewane. Heniusz zna okropną

historję Jasia i Małgosi, i choć tym dzieciom udało się uciec, to jednak nie zawsze tak szczęśliwie się kończy... Heniusz za nicby się nie zagłębił w las, zresztą nie jadłby pierników złej czarownicy. Najchętniej Jędza wysyła na wabia Leśną Pannę; jest to śliczna młoda dziewczyna, podobna do najładniejszej lalki ze sklepu, ubrana w kolorową suknię z muślinu, utkaną świedelkami; na głowie ma wianek z kwiatów leśnych, a na szyi paciorki i koraliki; buciki ma złote i nóżki malusie. Leśna Panna tańczy cudownie, a które dziecko ją zobaczy, to samo tańczyć zaczyna i biegnie za nią, i dopiero wtedy się zatrzyma, kiedy zwodzicielka, zagłębiwszy się w gęstwiny leśne, stanie przed domem z pierników.

Nie myślcie, że Heniusz się boi; kiedy wybierał się do cyrku na pokaz lwów i tygrysów, wuj Karol uprzedzał go o rzeczy i mówił mu: nic się nie bój. To też, choć lwy i tygrysy wyły przeraźliwie, Heniusz mówił ciągle: Ja się nic nie boję.

Ale co innego lew i tygrys, a co innego taka panna. Pogląd bardzo racjonalny. Najosobliwszy duszek dla Heniusia, to ów drugi Heniusz! Tu wkraczamy niejako w dziedzinę spirytyzmu. Ten drugi Heniusz niby to jest on sam, a niby nie on; niby to niewidzialny, a Heniusz ciągle czuł go przy sobie. Ten drugi Heniusz nie zawsze istniał, pokazał się nagle niewiadomo skąd i jak, i zaczął bardzo niepokoić Heniusia.

Zdaje mi się, że Heniusz sam go sobie stworzył. Raz Heniusz bardzo krzykliwie dopominał się po-

marańczy; wówczas mama opowiedziała mu historję o pewnym Heniusiu, który dopominał się hałaśliwie pomarańczy i nie dostał (bo się napierała — jak mówi poeta o Adelci). Owóż drugi raz w podobny sposób Heniuś krzychał: — Pomarańczy! ale natychmiast zrozumiał swój błąd i dodał:

— To tamten Heniuś tak krzycha.

Innemi słowy, on, nasz Heniuś widzialny, jest bardzo grzeczny i po wersalsku prosi o pomarańczę, ale ten drugi Heniuś krzycha za niego.

I od tego czasu ten drugi Heniuś zaczął wyprawiać straszne brewerje, a nasz Heniuś nie mógł sobie dać z nim rady. To majtki mu podarł, to mu zdjął trzewiki i pończochy, to atrament wylał, to połamał strzelbę, to znów koniowi ogon wyrwał i oczy wydlubał.

— Kto to zrobił?

— To Heniuś, ale nie ja, tylko tamten drugi Heniuś.

I zapewne usunęlibyśmy ten fenomen rozdwojenia Heniusinej osobistości, gdyby nie babcia, która mimowolnie stworzyła trzeciego Heniusia i już zupełnie zbałamuciła jego orientację w rzeczach psychologii. Gdy mianowicie po dwóch dniach ostrego napadu t. zw. niegrzeczności, Heniuś wstał rankiem, nawiedzony przez anioła, babcia powiedziała do mnie:

— To jest nowy, grzeczny Heniuś, a tamten dawny poszedł sobie i niema go już u nas. — Heniuś był bardzo zadowolony, że jest nowym Heniusiem, ale nie mógł zrozumieć, gdzie się podział ten dawny

Henius prawdziwy i ten drugi „tamten Henius” — i który właściwie odszedł, i czy „tamten” nie będzie znów temu nowemu Heniusowi robił psikusów. Bo teraz jest trzech Heniusiów, i niewiadomo, który jest, a który nie jest. Słowem powikłanie ogromne i sprawa dotąd nierozwikłana.

Ani ja, ani moja żona, nie ujęlibyśmy tych wszystkich poglądów Heniusia, gdyby nie wuj Karol, profesor i metafizyk, z którym Henius lubił rozmawiać. Rozmowy jego pierwiastkowo krążyły w dziedzinie przyczynowości, następnie — celowości, wreszcie przeszedł do samej istoty zjawisk (*Ding an sich*).

A więc dla czego w mieście niema lasu? dla czego psy nie mówią? dla czego bociana nigdy nie widać z dziećmi? dla czego Wincenty się nie myje? dla czego stójkowy ma świecące guziki? dla czego wujek nie ma dzieci?

Następnie pytał się, poco różne rzeczy istnieją? Poco jest mieszkanie? poco jest kuchnia? poco są ptaki? poco są pająki? poco są kasztany? poco jest woda? poco są konie i psy? poco jest wojsko? poco jest na świecie człowiek?

Na wszystkie pytania wuj Karol odpowiadał cierpliwie i dokładnie, ale na to ostatnie pytanie jeszcze nikt nie dał odpowiedzi. Nie można jednak było milczeć; Karol mu odpowiedział kombinacją niezrozumiałych dźwięków.

— Dla celów transcendentalnych! Rozumiesz?

— Rozumiem! — A po chwili dodał: — To metafizyka!

Nowa serja pytań brzmiała: Z czego się robi ubranie? z czego się robią stoły i krzesła? z czego się robi drzewo? z czego się robi dom? z czego się robi cegła? z czego się robi mydło? z czego się robią pomarańcze, jabłka, czekolada, masło, jajka? z czego się robią konie, psy, kury i kaczki? Na koniec — — z czego się robi Pan Bóg?

Pytanie drażliwe. Wuj Karol znów użył fortelu i powiedział:

— Z pojęć oderwanych. Rozumiesz?

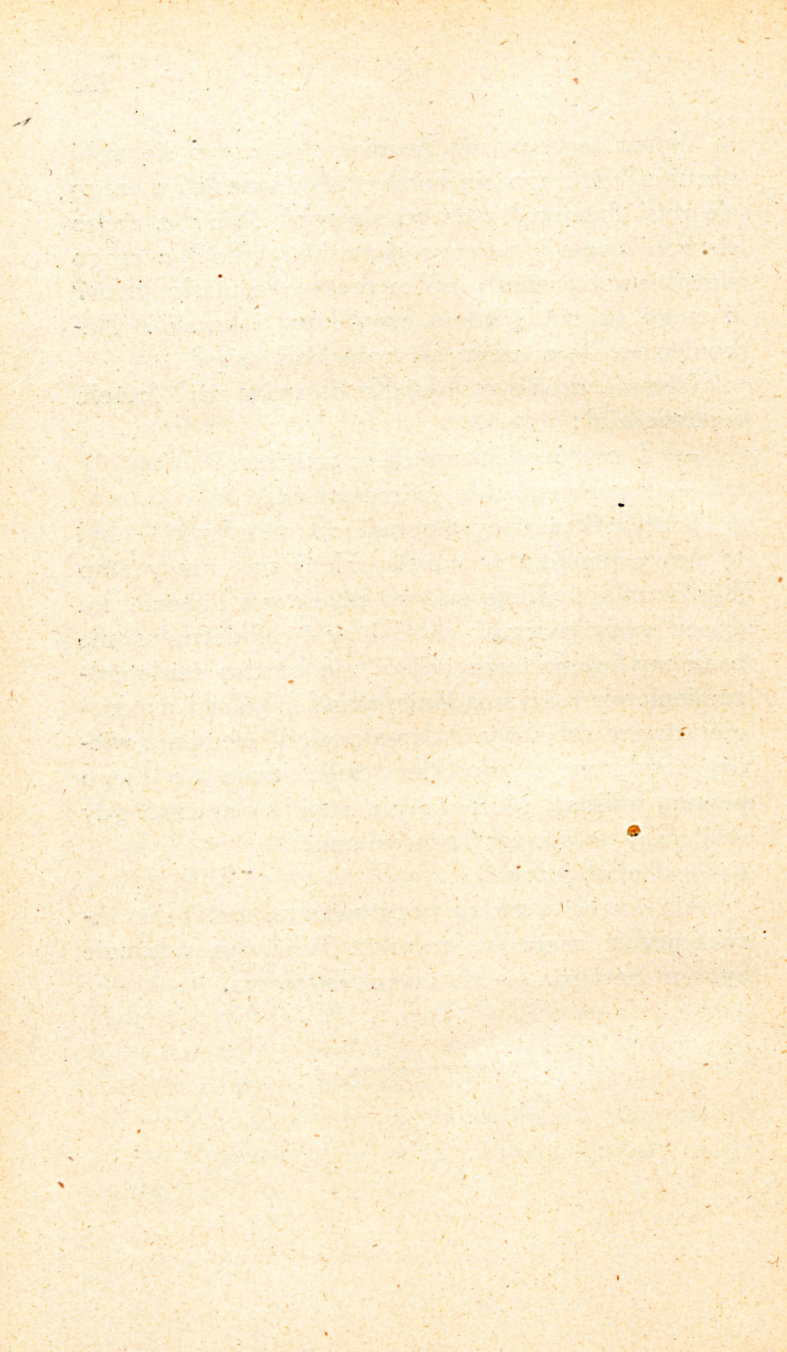
— Rozumiem. Ale to metafizyka!

Przejście ze sfery teogonji do metafizyki — był to nowy przełom w umyśle Heniusia, nowy etap jego rozwoju. Zdaje się, że płynie on obecnie ku epoce pozytywizmu, choć i w tym kierunku nie brak mu już na teraz pojęć: ma bardzo ściśle zrozumienie wartości śniadania, obiadu i kolacji, a z drugiej strony od stryja Adama posiadał elementa wiedzy medycznej i skutkiem tego czuje do niego pewną utajoną niechęć; nie lubi zwłaszcza, gdy wuj, niby to na żarty, mówi mu:

— Pokaż język.

Ale zarówno okres pozytywizmu, jak i metafizyki jest u niego w załączku. Właściwe odczucie bytu u Heniusia — to czysta mitologia.

---



## SPIS RZECZY.

	Str.
WIDŁAK . . . . .	1
TESTAMENT . . . . .	23
SCHADZKA . . . . .	45
ELFRYDA . . . . .	65
MELODRAMAT . . . . .	135
POJEDNANIE . . . . .	157
RZECZYWISTOŚĆ . . . . .	177
ZUPA WIĘZIENNA . . . . .	197
BOGOWIE . . . . .	215







# LITERATURA PIĘKNA

WYJĄTEK Z KATALOGU  
SPÓŁKI NAKŁADOWEJ „KSIĄŻKA“  
W KRAKOWIE

---

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

---

CHOYNOWSKI PIOTR.

## ZDARZENIE.

Nowele.

Cena 3 Kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Piotr Choynowski, talent nawszkroś realistyczny, opierający się w swych przeżyciach na obserwacji codziennego życia. Ostry zmysł spostrzegawczy łączy się tu z niepowszednią intuicją psychologiczną i jędrnością stylu. Choynowski każe nam patrzeć na życie w jego codziennych przejawach, wskazując nam — niemniej — rzeczy nowe, nieznanne“. (*„Gazeta Wieczorna“*, Nr 360, 1911 r.).

„Dziesięć nowelek, treści przeważnie niepolitycznej, autora, który nie zdobył sobie dotąd głośnego nazwiska, a całkowicie na nie zasługuje. W tych prostych — choć zawsze zajmujących — opowiadaniach na tematy ze zwykłego życia kryje się głębsze zrozumienie zjawisk społecznych, bez tendencji, narzucanej czytelnikowi, coś jak w sarkastycznych obrazkach Forain'a o „słodkim kraju“ Francji. Co zaś może również warte zaznaczenia, to humor, którego nie brak nigdzie, nawet przy opisie zdarzeń dramatycznych“. (*„Przedświt“*, Nr 11, 1911 r.).

„Piotr Choynowski należy do niezbyt licznego rzędu tych młodych pisarzy, którzy przynoszą coś rzeczywiście nowego do polskiej literatury. Cechują go zwłaszcza: doskonały zmysł psychologiczny i obserwacyjny, świetność i barwność dialogów, bogactwo... języka, pewna niewybredność artystycznych środków, pewna brutalność, sekundowana natomiast śmiałością w kreśleniu sytuacji i charakterów... Po autorze „Zdarzenia“ spodziewamy się jeszcze niejednej prawdy o życiu“. (*„Życie“*, Nr 47, 1911 r.).

DANIŁOWSKI GUSTAW.

## JASKÓŁKA.

Powieść w 2 tomach, wydanie 2-gie. Cena 5 kor. 50 hal. (2 ruble 20 kop.).

„Z tego..., co w powieści Daniłowskiego czytamy, wnosimy, że najbardziej chyba był on powołanym do zobrazowania ruchu bez uprzedzenia, nie stojąc „ponad życiem“, ale tkwiąc w nim węzłami serdecznymi... Przecudną jest idylla miłości Orskiego z Halszką Orwidówną... Nie potrzebuję przypominać cudownych opisów przyrody w „Jaskółce“. (*Na marginesach Daniłowskiego „Jaskółki“, Tadeusz Dąbrowski w „Krytyce“*, NNr 1 i 2, 1908 r.).

„Jedna to z najszerszych koncepcji życia współczesnego, jakie literatura posiada; nie tylko tragedję polską przedstawia, ale załamane się obrazu całej kultury obecnej w duszy istotnie wolnej. Giernalny rachunek sumienia współczesnej kultury poeta tu przeprowadza...“ (*„Krytyka“*, Nr 3, 1909 r.).

„...Skarbnicą, próbą najwyższej koncentracji wzlotów bojującego ducha, jego wzruszeń i pragnień, pokus i zagadnień, największego napięcia utajonych mocy, z rzeczywistością niezłączonych, nazwałbym Daniłowskiego „Jaskółkę“. (*„Przedświt“*, Nr 5, 1908 r.).

DANIŁOWSKI GUSTAW.

## W MIŁOŚCI I BOJU.

Nowele.

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Daniłowski ma swój dogmat, w który wierzy tak silnie, że wiara ta innych porywa i do wierzenia zmusza. Żywi on swoją nadzieję, która wydaje się każdemu oczywistą i konieczną, jak tylko wejdzie w zaczarowany krąg jego twórczych obrazów. I miłością swoją tak przepaja dzieła, które tworzy, że budzą się wszystkie instynkty kochania, rozpalając żądze mocniejsze niż śmierć, bo nawet w obliczu jej — zwycięskie... Ostatnia książka Daniłowskiego „W miłości i boju“ w większym może jeszcze niż poprzednie stopniu posiada te wszystkie cechy, tak bardzo wyróżniające twórczość jego od dzieł mniej lub więcej zdolnych artystów współczesnych, zatrutych pesymizmem i porażonych bezwładem...“ (*„Życie“*, Nr 13, 1910 r.).

„Obrazy Daniłowskiego ...posiadają właściwą autorowi „Jaskółki“ moc sugiestywną głównie przez wirtuozowskie wprost odtworzenie nastrojów duszy i plastykę odpowiadających tym nastrojom pejzażów. Zalety talentu Daniłowskiego występują w tych nowelach na pierwszy plan, wad żadnych nie znać, filozoficzne rozumowania nie zaciemniają fabuły. Psychologia osób wyczelowana jest mistrzowsko i trafnie... Tom cały (zaopatrzonej w niezwykle piękną winiętę rysunku Jana Rembowskiego) stoi pod względem artystycznym może jeszcze wyżej, niż dotychczasowe utwory Daniłowskiego“. (*„Głos Narodu“*, Nr 341, 1910 r.).

„...nowele G. Daniłowskiego... dwie zwłaszcza, „Paltocik“ i „Pamiętka“, porywają swą bezpośredniością wrażenia, niemym a tak wymownym bólem, swą cichą tragedją, a oddają życie z taką dokładnością najdrobniejszych wibracji owych subtelných, mało dostępnych rysów uczucia, że, aby je znaleźć i wydobyć, trzeba nie tylko talentu twórczego o niezmiernie wyrafinowanej wrażliwości, ale trzeba żyć i znać lu-

dzi, a raczej ich daną kategorję, jak zna p. Daniłowski“ („*Naprzód*“, Nr 296, 1910 r.).

„Druga (nowela) z rzędu, „Paltocik“, najlepsza w całym zbioru, to zamknięte arcydziełko bólu i nędzy emigracyjnej, cicha i prosta tragiedja, tym rzewniej wstrząsająca, że zawiera w sobie osobny dramat, przedstawiony co prawda tendencyjnie, ale niemniej prawdziwy, nie tyle jako psychologja pojedynczego momentu, ile jako streszczenie w sobie wielu momentów podobnych“ („*Słowo Polskie*“, Nr 49, 1911 r.).

„Wszystkie zalety tego autora... ujawniają się tu w pełni... Poprzez wszystkie nowele przegląda tętniące współczuciem serce... Cała wartość tej niecodziennej rzeczy opiera się na tle, na bogactwie kalejdoskopowych szczegółów, na żywości, na wartości sytuacji...“ („*Myśl Niepodległa*“, Nr. 159, 1911 r.).

„...Są u nas znowu i jeszcze ludzie o wielkim talencie, którzy społeczeństwu rzucają wspaniałe kwiaty, w cieplarniach dusz własnych wyhodowane. Do ludzi takich należy niezaprzeczenie Gustaw Daniłowski... „W miłości i boju“ to jedna z najcenniejszych książek, jakie się u nas pojawiły, i dla tego przeczytać ją należy“ („*Gazeta wieczorna*“, Nr 101, 1911 r.).

„...W zbioru tym jest jedna nowela, której znajomość obowiązywać powinna wszystkich tych, którzy cenią nie tylko talent autora „Jaskółki“, ale wogóle piśmiennictwo polskie! Maleńkim tym arcydziełem nowelistycznym jest bajka prozą Daniłowskiego, zatytułowana „Gołębie świętego dziecka“. Głębocka w swej treści symbolicznej, posiada ona pierwszorzędną zaletę współczesnej sztuki pisarskiej.“ („*Izraelita*“, Nr. 11, 1910 r.).

„Bohaterzy ostatniego zbioru nowel Daniłowskiego są przeważnie w wieku studenckim, stąd też młodocianość ich uczuć... Oświetlenie tego życia drga... tonami czystego liryzmu samego autora i gdzie ten liryzm bezpośrednio przemawia, wywołuje trwalsze, szczerze wzruszenie. W „Gołębiach świętego dziecka“ wzruszenie to przechodzi w konstrukcję ideowo-heroiczną, w „Paltociku“ przejawia się z prostotą i naturalnością, która podbija“ („*Krytyka*“, Nr. 4, 1911 r.).

„Zbiorek nowel „W miłości i boju“ jest dziełem pisarza pewnego siebie, pisarza o wyobraźni bujnej, posłusznej, nie sprawiającej niespodzianek ani „in minus“, ani „in plus“... („*Nowa Reforma*“, Nr. 183, 1911 r.).

„...(Daniłowski) przedstawia cały szereg typów ofiarnych bojowników za wolność i szczęście powszechne dla wszystkich. A że jest przytym artystą nielada, nie poprzestaje na sensacji konspiracyjno więziennej, ale kreśli nieraz karty, owiane przedziwnym urokiem prawdziwej poezji“ („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr 25, 1911 r.).

„Książka pod względem artystycznym stoi wyżej od wszystkich dotychczasowych tego rodzaju utworów Daniłowskiego“. („Prapor“, Nr. 14, 1911 r.).

„Jest tu nowela: „Za ścianą“, w której ów pierwiastek rzewności, charakteryzujący talent Daniłowskiego, zakwitł tak cudną lilją liryzmu na podłożu głęboko przemyślanych i artystycznie ujętych duchowych powikłań, że nie mogą oprzeć się chęci opowiedzenia jej tu pokrótce... Nie pamiętam dawno beletrystycznego utworu, któryby na mnie uczynił tak silne wrażenie, jak ta nowela. Oryginalność pomysłu, poczerpnięta u czystego źródła psychologicznych zagadnień, przyobiekła się tu w kształt wysoce artystyczny, zwłaszcza w pierwszej części, którą czyta się wprost jak poemat prozą...“ („Słowo“, Nr. 199, 1911 r.).

„...Na właściwym sobie gruncie Daniłowski jest tam, gdzie nie tworzy akcji, ale opowiada z głębokim współczuciem o cudzym nieszczęściu, o cudzej niedoli, o cudzych uczuciach. Jakże piękna np. jest ta chwila w „Pamiętce“, kiedy Marja, „mężnie wyprostowana, z rozwichrzonemi włosami, podobna do zbuntowanej Walkirji“, podnosząc krzyżyk, przysięga jedną połową serca kochać zawzięcie, drugą — nienawidzić śmiertelnie. Ileż smutku tkwi w opowiadaniu p. t. „Paltocik“, a ileż poezji w „Gołębiach świętego dziecka“. („Kurjer Warszawski“, Nr. 191, 1911 r.).

**GALICA ANDRZEJ.**

## **ROBERT SZPORN.**

Dramat w 4-ch aktach.

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

**Nowość 1912 roku!**

**GRUBIŃSKI WACŁAW.**

## **MOC KAMIENNA.**

(Dajmonjon-Bib. — Jerzy — Moc kamienna).

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„(Grubiński) umie zastanowić się nad naturą ludzką i z talentem opowiadać. Talent jego rozwija się i zajmie niezawodnie w beletrystyce naszej miejsce pierwszorzędne“. („Myśl Niepodległa“, Nr 173, 1911 r.).

„Świadomy środków i celu, fascynuje Grubiński swojemi utworami... Grubiński z niebywałym mistrzostwem gra na nerwach i czyta się jego utwory z zapartym oddechem, jak tylko czytać można Allana Poe'go. Grubiński postacie

swoje kwią własną ożywia, daje im własne nerwy... Język bogaty i bujny. Język Grubińskiego posiada moc zaiste kamienną". („Świat“, Nr 25, 1911 r.).

„Co go wyróżnia dodatnio z pośród innych, to przede wszystkim nieustanna troska o styl, zamiłowanie stylu i przy tym — rzecz trzeba — dobry smak w stylu! Tom cały świadczy, że młody autor wyrąbuje sobie drogę do otwartych przestrzeni, omijając wzgardliwie zaułki ustalonych banalności“. („Prawda“, Nr 26, 1911 r.).

„Grubiński, jeżeli nie widział czegoś w rzeczywistości, widział to w halucynacji artystycznej, równie żywej, jak rzeczywistość. Taka siła widzenia pociąga za sobą ogromną siłę odczuwaną. Jest też u Grubińskiego przerażająca siła emocji — dochodząca do napięcia, które może spiorunować i zabić“. („Sfinks“, Nr. 7, 1911 r.).

„Grubiński ma szczyry talent... Jeżeli można już porównywać autora „Zabawy“ z którymś z mocarzy pióra, to chyba z Maupassantem. Jest to nasz polski Maupassant — w minjaturze. Posiada on rzadką u nas galską wesołość zmysłów. I równocześnie wraz z swawolnym Francuzem odgaduje pod orgją swawoli zmysłowej jakiś ciężar tragiczny“. („Wolne Słowo“, Nr. 132-133, 1911 r.).

„Trzy nowele p. Grubińskiego, które w niniejszym zbiorze się znajdują, cechuje niezaprzeczony talent silnego, plastycznego i kolorowego słowa. Opowiada też nim znakomicie“. („Kurjer Lwowski“, Nr. 370, 1911 r.).

„Moc kamienna“... jest przepelniona aż po same brzegi talentem dużej miary, i bije z niej, jak ze źródła, największa cnota dla artysty: nieomylność formy“. („Dziennik Petersburski“, Nr. 432, 1911 r.).

„Nowele Grubińskiego czynią ogromne wrażenie. Subtelny psycholog przykuwa szczegółami w charakterystyce, jest świetnym stylizatorem duszy ludzkiej. Utwory napisane są bardzo pięknym językiem“. („Dzień“, Nr. 194, 1911 r.).

„P. Grubiński udoskonalił swoją technikę. Styl jego, zawsze kolorystyczny, stał się wytworniejszym, zwroty zyskały na płynności, zachowując dawniejszą jędrność i dosadność“. („Słowo“, Nr. 241, 1911 r.).

„W dorobku literackim p. Grubińskiego książeczkę tę należy zapisać jako znaczne „pro“ jego talentu“. („Głos Narodu“, Nr 253, 1911 r.).

„Tematem zwykłym nowel Grubińskiego jest miłość. Miłość dla uświadomionych semi-panien, krwista, temperamentowa, wielce obiecująca. Do atletycznych czasem zapasów dochodzą jego bohaterowie obojga płci. — Dla tego też tematom jego nie można się oprzeć... (W „Mocy kamiennej“) oddanie niewrozy oczekiwania zrobione jest z rozmachem pierwszo-

rzędnego pisarza... Nowela „Dajmonjon Bib“ jest utworem nieprzeciętnym“. (*„Museion“*, Nr 9, 1911 r.).

„Tym nowym tomikiem nowel potwierdza Grubiński jeszcze bardziej swe stanowisko w literaturze: badacza dusz, rwących się w jakimś żywiołowym krzyku życia, instynktu, szału kochania, mocy tęsknoty. Zarysowuje kontury swej sylwetki twórczej wyraźnie: widać pewne spojrzenie urodzonego analityka, drobiazgowego podpatrywacza tajemnych drgnień duszy ludzkiej i chwytającego migawkowym aparatem najdrobniejsze jej przejawy... Psychologia jest subtelna, a dosadna, uzmysławiająca, pewną kreślona ręką... Scenerja jest zawsze dobrze i dowcipnie pomyślana... Grubiński potrafi jednym zdaniem nieoczekiwanym wywołać nastrój, jakby przygotowanie do czegoś ważnego, co ma nastąpić i o czym jeszcze niewiadomo... Zbiorek niniejszy należy powitać z uznaniem, są to bowiem rzeczy szczerego i niewątpliwego talentu“. (*„Przełom“*, Nr 10—11, 1911 r.).

„Nie wiele mamy piór predestynowanych do kreowania zwięzłych, w sobie zwartych utworów fikcyjnych — odmiennej wymagających techniki od powieści. Z tym większą przeto przyjemnością bierzemy do ręki drugi tom nowel Wacława Grubińskiego, nowelisty par excellence, który doskonale rozumie, że w noweli panować winna nie ekstenzowność, lecz intensywność. Grubiński nie pisze, lecz cyzeluje, wykuwa rylcem z kamienia i trzyma czytelnika w napięciu od początku do końca... Nowele jego wyrastają wysoko ponad przeciętną nowelę, jaką spotykamy w czasopiśmie. Jakoż zdobyły sobie zasłużone uznanie w kołach literackich i powinny znaleźć się na stole każdego smakosza literackiego“. (*„Dziennik Poznański“*, Nr 289, 1911 r.).

**IŁŁAKOWICZ I. K.**

## IKAROWE LOTY.

Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

**JAWORSKI ROMAN.**

## HISTORJE MANJAKÓW.

(T r e ś ć : Miał iść. — Zepsuty ornament. — Medi. — Trzecia godzina. — Bania doktora Lipka. — Amor milczący czyli o absolutnej niemożliwości, by pewien młodzian zakochał się w damie jakiegokolwiek).

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Książka to ciekawa — albowiem miarą ciekawości książki literackiej jest przedewszystkim talent. Tutaj zaś przemawia



do nas talent niewątpliwy i odrębny. Odrębność zaś znowu i miara talentu polegają na szczerości i na sile uczucia, w twórczości przejawionego“. („*Naprzód*“, Nr 89, 1910 r.).

„Potrzeba niemałego wysiłku, żeby tę książkę sumiennie do końca przeczytać. A szkoda, bo... w takich obrazkach, jak „Zepsuty ornament“ lub „Medi“, znajduje się koloryt, siła i dobry rysunek stanów duszy, który sercem wstrząsa“. („*Przegląd Powszechny*“, Nr 10, 1910 r.).

„Zbiór nowel, wybijający się ponad zwykłą produkcję literacką. Tchnie z nich pewna świeżość talentu, wyrażająca się zarówno oryginalnością pomysłów, jak i indywidualnym ujmowaniem przedmiotu... Niewątpliwy talent, którego już ta książka wyraźnym jest świadectwem“. („*Nowa Reforma*“, Nr 295, 1910 r.).

„Styl p. Jaworskiego ma w sobie bardzo dużo świeżej plastyki i pięknego, przepuszczonego przez filtr ironji sentymentu... Książka jego jest jedną z tych..., które po przeczytaniu w pamięci czytelnika nie maleją, lecz rosną i przerastają same siebie, tak że gdy się do nich wróci, wywołują uczucie niedosycenia, niepokoju“. („*Widnokreśli*“, NNr. 16 i 17, 1910 r.).

„Niezwykła książka! W powodzi nowel, szkiców, opowiadań, narzucających się współczesnemu czytelnikowi więcej sensacyjnym tytułem albo ilustracją fasadową z wyobrażeniem kobiety nagiej (konieczne) — tak rzadko spotka się książkę, któraby zatrzymała nie tylko fabułą, ale każdym zdaniem i słowem. A taką właśnie jest książka Romana Jaworskiego.

Przyciąga i odpycha, pięści i oburza, bawi i zastanawia; książki Jaworskiego można używać, jak się używa natury, kwiatów, słońca. Bije z niej pełnia życia, odtworzonego przez artystę niezmiernie subtelnego, cokolwiek przerafinowanego, ale podkładającego całą duszę pod zjawisko przez siebie przeżywane“. („*Słowo Polskie*“, Nr. 162, 1911 r.).

„Pisarzem nawskroś dzisiejszym jest autor „Historji Manjaków“... Autor należy do rzędu tych ludzi rzetelnych, którzy się nie cofają wobec zgrozy. Jego wzrok ma ostrość wizji malarskich. Jego marzenia i obrazy mają rodzaj i charakter nastrojów beadsleyowskich, gdzie wytworne, ciche rodzaje piękna kojarzą się z potworną brzydotą ludzkich przerosłów, zaników, zgarbień i wklęśnięć... Jaworski ma zmysł do napięć wytężonych uczucia, do majaceń gorączkowych, do objawień rzadkich... Słowem, w Jaworskim widać posuniętą bardzo głęboko szczerość wylewów osobistych jednostki, która wobec zwolnienia u nas inkwizycji tendencyjnej, tratującej dotąd butami wszelką subtelniejszą roślinę, buchnęła gorączkowym pożarem marzenia o szczęściu“. („*Prawda*“, Nr. 14, 1911 r.).

„Styl wszystkich „Historji“ o nadzwyczaj wyteżonym tonie bolesnej humorystyki... świadczy o wielkim u autora bogactwie wyobraźni“. (*„Książka“*, Nr 11, 1911 r.).

KADEN JULJUSZ.

## ZAWODY.

Nowele. — Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 30 kop.).

Nowość 1812 roku!

KASPROWICZ JAN.

## CHRYSTUS.

Poemat społeczno-religijny.

Cena w oprawie 3 kor.

„...Wielkim dziełem Kasprowicza jest poemat „Chrystus“... Utwór to wielki w założeniu — miejscami, o ile naturalizm nie przeszkadza w symbolizowaniu uczuć ogólnoludzkich i nie zgrzyta w formie — także w przeprowadzeniu“... (*W. Feldman*, *„Współczesna Literatura Polska“*).

„...Miecz prokuratorski spadł na to dzieło dla jego bluźnierczego tonu, i słusznie, jeżeli bezbrzeżny smutek i nadmiar litości bluźnierstwo stanowią, a wymowa rozkrwawionego serca paszkwilem się stała“. (*Al. Brückner*, *„Dzieje literatury polskiej“*. Wydanie II. Tom II. Str. 422/423).

KULIKOWSKA MARCELINA.

## BARWY DUSZY.

(Z portretem autorki).

Cena 5 koron. (2 rb.).

„...Mamy przed sobą starannie wydany tom, ozdobiony portretem autorki i ładną winiętą rvsunku p. B. Rychter-Janowskiej... Wychodzi... ku nam z kart książki dusza, zdolna do całkowitego spalenia się na stosie ofiarnym, łaknąca piękna, sprawiedliwości i prawdy, pełna chwilami wiary w jutro, nadewszystko jednak smutna i boleśnie zadumana“... (*„Kurjer Warsz.“*, Nr 51, 1911 r.).

„Naogół noszą te wiersze piętno bolesnego przygnębienia, z którego sama ich autorka zdawała sobie dobrze sprawę, pisząc w swym pamiętniku o „myśli o opuszczonych skrzydłach“ i negatywnych siłach, z których czerpie swą twórczość“. (*„Gazeta Warszawska“*, Nr 55, 1911 r.).

„Uderza w tym zbiorku niezwykle rwanie się do życia, ton szlachetny i pewna muzyka wiersza. Kto wie, czy nożyce śmierci nie przecięły pasma niepospolitego“. („*Myśl niepodległa*“, Nr. 165, 1911 r.).

„W poezjach Kulikowskiej tętni — by się tak wyrazić — imperatyw tworzenia. Myśl leci, wyrazy brzmią mocno, uczucia grają silnie. Skala ideowa i uczuciowa weale szeroka“. („*Słowo*“, Nr. 78, 1911 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

## FRANIA.

Nowele. Cena 2 Kor. 60 hal. (1 rb.).

„Drobne te obrazki, pisane łatwo i potoczyście, zawierają dużo szlachetnego uczucia i współczucia doli ludzkiej. Zasadniczym ich motywem jest smutek, tak swoisty duszy autorki, umiejacej głębiej patrzeć w życie“. („*Kurjer Warszawski*“, Nr 326, 1911 r.).

„Zaczawszy od pierwszej postaci apatycznej, zahukanej sierotki, której marzeń i tęsknot nikt nie rozumie i którą to osamotnienie popycha do nieświadomego zresztą samobójstwa („*Frania*“), poprzez wszystkie te nowele przewija się na rozmaite tony nuta goryczy i smutku. Ze spokojnym jakimś i przez to właśnie dziwnie bolesnym uśmiechem opowiada autorka brutalny moment życia („*Babcia*“, najlepsza nowela w zbiorku), kreśli tragiczną sylwetę „pani Marszałkowej“ lub pełen histerycznej uczuciowości dramat macierzyński biednej „*Mamzelki*“, aż dopiero w ostatnim fragmencie „*Ziemia i sny*“ zdobywa się na pełną melancholijnej zresztą rezygnacji filozofję życiową. Nowele te pisane są z prostotą i szczerym odczuciem, nie brak im przytym pewnej oryginalności w pomysłach...“ („*Słowo Polskie*“, Nr 545, 1911 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

## Z DZIEJÓW DUSZY.

Pamiętnik. Cena 4 Kor. (1 rb. 60 kop.).

„Autorce nie chodziło o druk. Pisała dla siebie. I stało się dobrze. Nie mielibyśmy w przeciwnym razie w „*Dziejach duszy*“ tej świeżości i tej bezpośredniości w wyrażeniu najintymniejszych załamań autorki. Książkę tę gorąco polecamy wszystkim czytelnikom... Utwory Kulikowskiej... są niewątpliwie cennym dorobkiem w literackiej twórczości kobiecej

lat ostatnich. Pozostaną one czas dłuższy ciekawym przyczynkiem do wielu tragicznych załamań, dokonywujących się w duszy kobiety na tle stosunków współczesnego życia". (*„Gazeta wieczorna“*, Nr 439, 1911 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

## Z WĘDRÓWEK PO KRAJU.

(Kruświca. — Z zaboru pruskiego. — Kaszuby. — Zagłębie Dąbrowskie. — Śląsk Górny. — Z Warszawy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rub.).

„Książka ciekawa i pouczająca, choć naogół smutna, bo prawdziwa i polska. Kto zna opisywane dziedziny narodowej niedoli, niech ją przeczyta, dowie się wiele ciekawych rzeczy, które ujdą oczom przeciętnego badacza; kto ich nie zna — niech tę książkę również przeczyta; jest to jego obowiązkiem. Dowie się wtenczas, że pod tym mogił chwastem, plewem, jest jakieś dziwne narodowe kucie — jak gdyby serce ludu — w kamień biło". (*„Łan Młodzieży“*, Nr. 152, 1911 r.).

„Sympatyczna autorka... nie ogranicza się... na podaniu mniej lub więcej ścisłych danych natury ludoznawczej i społeczno politycznej, ale stara się zarazem odczuć duszę tego ludu... Autorka nie tylko z uczuciem rodaczki Polki, ale i zarazem z sumiennością badacza duszę ludu naszego oddaje w krótkich rozmowach z nim. A w tym tkwi główna wartość pracy pod względem etnograficznym". (*„Gryf“*, Nr. 8. 1909).

MARKOWSKA MARJA.

## MELODJE ŚMIERCI.

Cena 1 rubel.

„Lubię poezję p. Markowskiej. Wykwint duszy i rzewliwość tonu każą wpatrzeć się w smętne ich wnętrza. Tak łkają na leśnych wygonach dźwięki fujarki, tak skarży się niedola polskiego chłopca, tak woła serce, gdy je los poniecha.. Wiersz „wzdyc-em ci służył“ przypomina okres złoty naszego piśmiennictwa. Archaizm pięści ucho, olśniewa, bo kto ciągłość kultury naszej może sobie odtworzyć z wszystkimi jej zaletami i wadami, ten, jak słodkie chwile dzieciństwa, pamięta mocną gwarę Reya, podniosłość Kochanowskiego, namaszczenie Skargi". (*„Prawda“*, Nr. 3, 1910 r.).

„Tomik poezji p. Markowskiej przedstawia się niezmiernie sympatycznie... p. Markowska jest niezmiernie wrażliwa na

sprawy życia. A to nam powie, dla czego w większości swych pieśni snuje wątek wokół pragnień i ukochań ideałów dnia dzisiejszego. W zwycięstwo swych ideałów p. Markowska wierzy, sądzi nawet, że próżny jest trud tych, którzy chcą zmarnować, wytępić wybrańców Jutra". (*„Myśl Niepodległa“*, Nr 127, 1910 r.).

„Skargę... nabrzmiałą istotnym, nieklamany bólem, który z głębszych płynie źródeł, przyniosła z sobą świeżo p. Marja Markowska... Wczytując się w te dźwięczne, istotnie melodyjne, przepojone szczerym uczuciem strofy, w których spowiada się dusza poetki ze swojej niemocy, z tęsknot swoich, z goryczy, którą wypła, uczymy się ją rozumieć... Tak śpiewa pokolenie, które przeżyło rewolucję ostatnią, opaliło sobie skrzydła w jej ogniu...“ (*„Kurjer Warszawski“*, Nr 109, 1910 r.).

**NALEPIŃSKI TADEUSZ.**

## CHRZEST.

Fantazja polska. Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

„Chrzest“ zawiera wcale zdobny materiał poetycki; w formie jest wyszukany, z bardzo wyraźnymi literackimi pokrewieństwami, ale także ze znaczną jędrnością, przejawioną w rymach często mocnych i oryginalnych oraz w języku świeżym, pełnym wyrażeń dosadnych i rozmaitych... (*„Naprzód“*, Nr 89, 1910 r.).

„...Wiersz płynie śpiewnie, rymy dzwonią, jak perły, rytm łąka, jak skarga jaskółki. Nigdzie zgrzytu, nigdzie dysproporcji lub załamania się linii...“ (*„Myśl Niepodległa“*, Nr 135, 1910 r.).

„Jakie... widzeń tych bogactwo! Jakie rytmów tych tempo! Jak każde z nich, wiotkie nieraz i bezcielesne, krwią tętni żywą!... Wysokich lotów potrzebują skrzydła (Nalepińskiego), a jeśli schyla się, to nigdy nad bagnem, lecz nad otchłanią, po której również można latać i podobnie jak w podniebiach dostrzegać tajemnice...“ (*„Krytyka“*, Nr 6, 1910).

„...Piękna, górna fantazja, miejscami świetnie wystylizowana w swym podniosłym nastroju, silna w tonie zasadniczym, plastyczna w obrazowaniu symbolicznym... Poemat ...marchyjskiego nastroju... kunsztownie zbudowane... oktawy odznaczają się zwartą siłą słowa, wyrazistą rytmiką, bogatą harmonją i obfitują w szczęśliwe zwroty, mocne, dobitne tony.“ (*„Książka“*, Nr 9, 1910 r.).

„Poemat zastanowienia bacznego wymaga i nie odrazu niecierpliwemu czytelnikowi odsłania swe tajemnice, tajemnice istotnie z myślącego i czującego jestestwa poety wysnute... Dopatruję się w tym poemacie młodzieńczym... bardzo ciekawej i poważnej zagadki wielkiego talentu poetyce-

kiego. Tę przyszłość rozwiąże. Obyż jak najpomyślniej!“ („*Kurjer Warszawski*“, Nr. 286, 1910 r.).

„Całość poematu, przybranego w szatę dźwięcznych i mocnych oktaw, mimo pozornej rozbieżności poszczególnych części, sprawia głębokie i przejmujące wrażenie“. („*Tygodnik ilustrowany*“, Nr 2, 1911 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

## HERKULES NOWOŻYTNY I INNE WESOŁE RZECZY.

(T r e ś ć : Nad moją duszą żalobnicą. — Herkules Nowożytny. — Opo-  
wieść o planetniku. — O Wojtku, którego na Szczepana przekreślił. —  
Lis. — Przykry moment. — Jędrzej Baja i powieściopisarz. — Jak Ję-  
drrek Śklarz po Włochach jeździł).

Cena 2 kor. (90 kop.).

„Herkules Nowożytny zawiera utwory humoru, przesianego przez ból serdeczny; chwilami pogodny, humor ten oryginalnym obrazowaniem życia człowieka i zwierzęcia silnie porusza duszę i wskazuje, że Orkan w tym kierunku jednym z przedniejszych mógłby zostać twórców“. (*Wilhelm Feldman*, „*Współczesna literatura polska*“).

„Okazuje się..., że Orkan umie spoglądać na życie i świat z tego punktu widzenia, z którego one śmiesznymi wydać się mogą, dostrzega ich komiczną stronę, gdyż widzi częstą, a naiwną sprzeczność między istotną treścią czynów, a ich uświadamianiem sobie, ich oceną moralną, między zamierzeniami a ich urzeczywistnieniem. Co więcej, autor umie się zdobyć nawet na swobodny i pogodny humor. („*Jak Jędrrek Śklarz po Włochach jeździł*“). Samo przez się jednak rozumie się, że podstawowym tonem jest nie pogoda, lecz ból serdeczny“. (*A. Drogoszewski*, „*Książka*“, Nr 10, 1906 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

## NAD URWISKIEM.

Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi“.

(ZBIÓR NOWEL. T r e ś ć : Chłop na łąny wyszedł z kosą. — Nad Urwiskiem I. — Wilja. — Na Godnie Święta. — Bazie. — Wesoły dzień. — Plekiełko. — Błażkowa Łysina. — Niedowiarek. — Nad Urwiskiem II. — Po ugorach. — Z krainy Gorców. — Tę krainę kęp. — Juzyna. — Miałem raz chwilę. — Przekleństwo. — O ziemi, o nędzy. — Po omacku. — Jasna polana. — Po ugorach i po szarych łąkach zbóż. — Noc. — Listy ze wsi).

Cena 3 kor. (1 rubel 20 kop.).

„Władysław Orkan wyszedł z ludu i sercem wśród ludu żyje. Wykształcenie nie przerwało nici uczucia, łączącej go

ze środowiskiem ojczystym. Stał się śpiewakiem tego piekła nędzy chłopskiej, w którym przyszedł na świat. Szara, rozpaczna dola ludzi ciemnych, nieszczęsnych, wytraconych poza nawias życia współczesnego, jest nieodmiennym tłem jego opowiadań... Beznadziejność spętała mu ducha i zaszklila źrenice, jak starym gazdom, których twarze tak pysznie maluje". (*„Wiedza“*, Nr 21, 1910 r.).

„Życie wsi, dusza chłopa, jego troski codzienne, jego zwyczaje odwieczne, jego miłość ziemi i najgłębsze uczucia i myśli — oto treść tej ciekawej książki". (*„Kultura Polska“*, Nr 7, 1910 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

## OFIARA.

Fragment w 3 aktach z roku 1846. Cena 1 kor. 50 hal.  
(75 kop.).

Krwawy obraz z dziejów okropnej rzezi tarnowskiej. Ponury dramat, rozgrywający się pomiędzy dwoma światami, obcemi sobie, wzajemnie się nie mogącymi zrozumieć. Z jednej strony porywy bohaterstwa, zrodzonego w duszach młodzieży, pełnych idealizmu i samozaparcia się — z drugiej — głuchy mur ciemnoty ludu, pomnącego krzywdy odwieczne, a podszechuwanego przeciwko niosącym mu wyzwolenie przez siły, wrogie jemu tak samo, jak i tamtym. Całość wywołuje wstrząsające wrażenie.

„Silny swą sztuką, silny swą wiarą, łączy się Orkan... z zastępami szeregów bojowych, które, „nie mierząc sił, lecz drogę“, idą do słońca, do światła, do gwiazd". (*W. Feldman*, *„Współczesna literatura polska“*).

ORKAN WŁADYSŁAW.

## WINA I KARA.

Tragedja w 3 aktach. Cena 2 kor. (90 kop.).

„Zupełnie... świadomym, dojrzałym dziełem artystycznym jest „Wina i Kara“. Poeta odrazu stwarza tu swój świat... W „Winie i Karze“ fatalistyczny, wyroczny charakter tragedji starożytnej połączony jest przedziwnie z chrześcijańską ideją odkupienia oraz z nawskroś współczesną ironją moralną. Dawnej miękkości Orkana niema już w „Winie i Karze“ prawie ani śladu... Najgłębszą treścią twórczości Orkana jest zagadnienie krzywdy i cierpienia... W „Winie i Karze“ spejrzał im w twarz zimnym, silnym, niezmaconym wzrokiem. Teraz dopiero rozpoczyna on więc może twórczości swojej wiek męski". (*Jan Sten*, *„Krytyka“*, Nr 10, 1905 r.).

„Władysław Orkan w dramacie „Wina i Kara“... wziął za temat chrześcijańskie pojęcie grzechu, ale równolegle ukazał, że staje się ono tragicznym tylko w duszach ludzi wierzących“. (*Emil Haecker w rozprawie „Stanisław Wyspiański“*).

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

## DZIECINNY DWÓR.

Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.)

„W ciągu niespełna roku w drugim już wydaniu na tegoroczną gwiazdkę ukazuje się sympatyczna powiastka p. Rogoszówny, przyjęta w roku zeszłym z tak jednomyślnym uznaniem przez krytykę. Jest to dowód, że utwór ten znalazł oddźwięk w licznych kołach, interesujących się literaturą gwiazdkową. Wśród długiego szeregu autorek, piszących dla dzieci, p. Rogoszówna zwróciła na siebie uwagę, jako autorka, obdarzona w tym względzie niepowszednim powołaniem piśarskim. „Dziecinny dwór“ jest istotnie perełką w powodzi banalnej produkcji wydawnictw z tej dziedziny, gdyż nie moralizując, daje zajmującą powieściową fabułę, żywy styl obrazowy i na każdym kroku wykazuje znajomość psychologii dzieci. Obok „Piskląt“ i popularnej bajki „O gdakaczu i gdakuli“, „Dziecinny dwór“ daje całą pełnię rozkosznych wzruszeń młodym czytelnikom i dla tego ze wszech miar zasługuje na przypomnienie“. (*„Nowa Reforma“, Nr 585, 1911 r.*)

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

## PISKŁĘTA.

(ZBIÓR NOWEL: Jureczek. — Jak sobie Jędrus „tutkę“ znalazł. — Jaki „odpust“ zrobił Jędrus mamie, a jaki mama Jędrusiowi. — Jak się to Jędrus opiekował Marysią. — Jaką naukę dał tuctce Jędrus. — Haluśka).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rubel).

„Piskłęta“ Rogoszówny wprowadzają nas w świat... odczuć i wrażeń dziecięcych, podpatrzonych żywcem, zrozumianych doskonale i przeniesionych odrazu na papier rzutem śmiałym, lekkim, zdradzającym nieomyślne drgnienie talentu... wszystko to staje nam przed oczyma, naszkicowane za ledwo, ale silnemi, pewnemi, utrwalającemi się odrazu w wyobraźni rysami. *„To jest talent“*. (*„Słowo Polskie“, Nr 562, 1910 r.*)

„W Polsce nikt jeszcze z takim odczuciem nie mówił o duszy dziecięcej. I nikt nie mówił o niej z takim artystycznym umiarkowaniem... „Piskłęta“ zasługują na baczność



uwagę. Jest to dzieło młodego, szczerego i naprawdę dzielnego talentu". („*Nowa Reforma*", Nr 574, 1910 r.).

„Zofja Rogoszówna w rozstłonecznionych swych obrazkach odsłania nam duszę dziecka. Zamyka się tę książkę z tym poczuciem, że się napewno do niej wróci, jak się wraca do wdzięcznych liryk lub do galerji, gdzie się uśmiechają jasne główki włoskich malarzy". („*Kurjer Lwowski*", Nr. 588, 1910 r.).

„Nowele p. Rogoszówny czyta się z zajęciem, wykazują talent pisarski. W tym krynicznie czystym świecie znajdzie czytelnik miły wypoczynek i niejedną obserwację, a więc niech czyta każdy, kogo „piskłeta" interesują". („*Myśl Niepodległa*", Nr 156, 1910 r.).

„A jeszcze co wam radzę dobrze wysłuchać — to „Piskłeta" Rogoszówny. Bo tam jest jedna mała dziewczynka, Halusia, co mówi takim słodkim dziecięcym językiem, że człowiekowi aż rozkosznie się robi na sercu..." („*Wolne Słowo*", Nr 1, 1911 r.).

„W autorce „Piskłat" witamy nowy talent. Tak wdzięcznych, tak pełnych powabu utworów, jak te nowele o niemowlętach i dzieciach, „ledwie od ziemi odrostych", niewiele posiadamy w naszej literaturze nadobnej... ..Czytanie „Piskłat" sprawi pełnoletniemu czytelnikowi oczyszczającą przyjemność, jak pieszczoty ślicznych, wesołych i mądrych czteroletnich malców... czytanie tej niedużej książki nieznaney jeszcze autorki odświeża jak letni powiew z łąk". („*Świat*", Nr. 3, 1911 r.).

„Piskłeta" to zbiór prześlicznych nowel o maleńkich dzieciach; rzecz, tchnąca świeżością, szczerym, głębokim sentymentem, delikatnością ujęcia i prawdziwym odczuciem duszy dziecięcej... Prawdziwe uczucie radości przejmuję krytyka, gdy, po raz pierwszy biorąc do ręki książkę wstępującego na widownię autora — spotka się z poważną kulturą artystyczną i szczerym talentem. Niecodzienna to radość. Obie książki Rogoszówny są z tych, które się odczytuje zawsze z upodobaniem". („*Gazeta Warszawska*", Nr. 65, 1911 r.).

„Sądzę, że w „Piskłętach" przybyło naszej literaturze dziecięcej niepospolite urokiem dziełko". („*Prawda*", Nr. 18, 1911 r.).

„Rzecz jest zupełnie oryginalna, w sposób własny odczuta szczerze, bezpośrednio i z wielką miarą artystyczną, z szczęśliwą prostotą i ujmującym wdziękiem wydobytą... Z temi zasobami artystycznymi, które już dziś posiada, może już panna Rogoszówna wybierać każdy temat, jaki jej nasuwa własne przeżycie i wyrobione poczucie psychologicznej ciekawości." („*Słowo polskie*", Nr. 294, 1911 r.).

„Zdarzają się palce tak subtelne i zręczne, że z kłębka

tych pajęczych zawikłań pomiędzy duszą dziecka a jego otoczeniem wyplatają tęczową nitkę porozumienia, a jeśli takie palce ujmą pióro, wtedy literaturze przybywa pisarz dziecięcy z Bożej łaski. Mniemam, iż nie omylę się, witając go w osobie p. Zofji Rogoszówny, której niewielki zbiór nowel, zatytułowany „Pisklęta“, świeżo przeczytałem.“ („Słowo“, Nr 164, 1911).

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFJA.

## NARCYZA.

Powieść.

Cena 5 koron (2 ruble).

„Narcyza“ p. Rygier-Nałkowskiej, to rzecz zakreślona na dużą miarę. Na trzystu kilkudziesięciu stronach autorka przeprowadza nas przez tajniki duszy kobiecej, duszy niecodziennej wcale, obdarzonej ogromną skalą wrażliwości i wielką inteligencją, posiadającej przytym to, co się nazywa charakterem, i osadzonej w ciele pięknym, młodym, ponętym, którego powaby czujemy nieledwie z samych kart powieści, z zapachu słów jej własnych, z wdzięku mimowolnego, ożywającego każdą scenę, w której ona występuje... Krajobrazy... malowane przesłicznie, z całym bogactwem słowa, z całą mocą rozległego a subtelnego odczucia — stanowią największą ozdobę książki. Wogóle p. Nałkowska ma talent wybitny; jest to niewątpliwie wśród piszących współcześnie kobiet jedna z najzdolniejszych.“ („Słowo Polskie“, Nr. 562, 1910 r.).

„Z zajęciem można śledzić rozwój talentu Z. Rygier-Nałkowskiej. Coraz to większe opanowanie środków artystycznych, coraz to większy zakres obserwacji życiowej. Od przeżyć czysto kobiecych przechodzi do coraz to ogólniejszych, coraz to głębszych. „Narcyza“ nie jest tylko reprezentantką pewnego typu kobiecego. Wciela ona zagadnienia dobrego i złego, czynu i ofiary, w stosunku do jednostki i subiektywnych jej przeżyć.“ („Świat“, Nr. 9, 1911 r.).

„Narcyza jest typem bardzo prawdziwym i bardzo czystym, a jako zamierzenie literackie jest niepospolitą próbą wyidealizowania oschłego charakteru.“ („Prawda“, Nr. 10, 1911 r.).

„Najnowszy utwór „Narcyza“ znamionuje znaczny postęp pod względem literackim.“ („Tygodnik Ilustr.“, Nr. 22, 1911 r.).

„Po przeczytaniu „Narcyzy“ chciałoby się być wielkim muzykiem i wrażenia swoje opowiedzieć w rozelkanych melodyjnie dźwiękach, lejących w błękit nieskończoności... Rygier-Nałkowska po Żeromskim najlepiej i najpiękniej dała nam odczuć fragmentaryczność życia. Jej „Narcyza“ jest wcieloną męką tej fragmentaryczności.“ („Wolne Słowo“, Nr 119, 1911 r.).

„Że już w paru miesiącach okazało się potrzebnym drugie wydanie „Narcyzy“, to mnie wcale nie dziwi. Jako lektura przewyższa ona poprzednie powieści pani Nałkowskiej, jako dzieło sztuki także. Tam mieliśmy zbyt wyraźne, luźne urywki z pamiętnika autorki, skrawki liryczne i krajobrazowe, związane od biedy w całość, tu pojawia się po raz pierwszy kompozycja. Zarysowują się trzy wymiary: szerz, dal i głębia.“ („*Nowa Reforma*“, Nr 262, 1911 r.).

„Twórczość Nałkowskiej należy do najbardziej fascynujących w naszej literaturze“. („*Slov. Przehled*“, Nr 719, 1911).

„Jeden z lepszych, jeżeli nie najlepszy utwór tej autorki“. („*Przedświt*“, Nr. 7-8, 1911 r.).

**SIEROSZEWSKI WAĆLAW.**

## **BAJKA O ŻELAZNYM WILKU.**

(Z 14 ilustracjami kolorowemi i rycinami J. Rembowskiego.  
W ozdobnej oprawie).

Cena 10 Koron (4 rubl.)

Nowość 1912 roku!!

„Z galicyjskich przedsiębiorstw wydawniczych „Książka“ wzbogaciła literaturę dla dziatwy niewielkim, ale cennym przyczynkiem, który wybija się bezsprzecznie na czoło tego-rocznego plonu... Waćlawa Sieroszewskiego „Bajka o żelaznym wilku“ jest jedną z tych książek, która pozostanie na długi okres trwałym i wartościowym nabytkiem literatury dla młodzieży. W tej ślicznie skomponowanej baśni o żelaznym wilku doszukać się można wprawdzie reminiscencji motywów, znanych w świecie polskiej baśni, ale Sieroszewski umiał ubrać je w tak barwną szatę słowa, okrasić tytu artystycznymi pomysłami, wprowadzić tyle epizodów świeżych, rozpalających wyobraźnię, że całość jest istotnie klejnotem niepośledniej wartości. Opowieść o tym żelaznym wilkołaku rozsnuwa autor w ślicznym prozaicznym opowiadaniu, jak baśń tęczową, którą czytać będą gorączkowo młodzi, a i starsi znajdą w niej źródło artystycznych wzruszeń. Zbyteczne chyba dodawać, że nad dziełem unosi się myśl altruistyczna, wyrażana często w dygresjach o charakterze pedagogicznym, nie zatracających moralizatorstwem a wkraczających w dziedzinę pojęć moralnych, prawnych i etycznych, ujętych często w formę patryjotycznej alegorii lub przypowieści. Książkę, wydaną w twornie, zdobią udatne rysunki Jana Rembowskiego“. („*Nowa Reforma*“, Nr 579, 1911 r.).

„Polował król w głuchych borach swego państwa — polował król“... Temi słowy rozpoczyna Waćław Sieroszewski

swą „Bajkę o Żelaznym Wilku“, przeznaczoną dla starszej młodzieży, a którą ta przeczyta chyba jednym tchem z zapartym oddechem. Pisał ją mocarz słowa, a choć treść bajki znana, bo osnuta na ludowej starej bajce, lecz jak odmienna od innych, jaka potężna w słowach, cudna w obrazach, głęboka w pomyśle. Talent Wacława Sieroszewskiego lśni się tu wszystkimi blaski i porywa czytelnika od pierwszego słowa. Opis polowania, lasu, przyrody, następnie walka króla z napastnikami, wszystko to mistrzowsko zrobione, a tchnące pełnią życia. Pozatym z książki tej wieje czar poezji, ukochanie wszystkich cierpiących. Książka ta bardzo zajmująca, wydana też prześlicznie z 14 rycinami p. Jana Rembowskiego, wyszła nakładem spółki nakładowej „Książka“ w Krakowie“. (*„Kurjer Lwowski“*, Nr 578, 1911 r.).

„U Sieroszewskiego motyw ludowy schodzi na plan dalszy, a na plan pierwszy wysuwa się powieść pełna lotu fantazji, pełna przepięknych opisów przyrody i przepojona w całości miłością dla społeczeństwa, opartą na poglądach demokratycznych, których autor gorącym jest wyznawcą. A z tych czynników powstała całość daje książkę niezwykłą, jaką jest w swoim rodzaju „Bajka o żelaznym wilku“. Jest to dzieło szczerego talentu, które pięknem swym i etyczną wartością czarować i umacniać w dobrym będzie młodzież naszą, a które i starszy z wielką przyjemnością i prawdziwą estetyczną rozkoszą przeczytać może. Dodajmy do tego, że książka pod względem drukarskim wydana jest wspaniale, że zdobi ją 14 rycin Rembowskiego, a dojdziemy do przeświadczenia, że książka ta, obok „W pustyni i puszcy“ Sienkiewicza, jest pierwszą z tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych“. (*„Gazeta Wieczorna“*, Nr 423, 1911 r.).

„Bajka o żelaznym wilku“ wzbogaca niepoślednim klejnotem naszą literaturę fantastyczną... Język „Bajki o żelaznym wilku“ błyszczy wszystkimi zaletami pióra Sieroszewskiego. Wydanie książki jest bardzo staranne, a zdobiące ją ryciny Jana Rembowskiego stoją zupełnie na wysokości zadania“. (*„Kurjer Warszawski“*, Nr 345, 1911 r.).

„I znowu zajaśniały w pełni blasku olśniewające skarby niewyczerpanej wyobraźni; i znowu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, otworzył się przed nami cudowny świat marzeń poetyckich, nierównie piękniejszy od rzeczywistości; i znowu przemówiło do nas miłujące serce poety, któremu żadne cierpienie ludzkie, żadna łaź gorzka, w cichej samotności wylana, obcą nie jest. Piękny to dar wielkiego talentu dla tych najmłodszych czytelników, z których wyrosną kiedyś kraju obywatele“. (*„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr 50, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WAŁAW.

## BAJKI.

(TREŚĆ: Przygoda tygrysa. — W ruinach. — Inwalidzi. — Dary wiatru północnego).

W ozdobnej oprawie. Winieta okładkowa rysunku Jana Rembowskiego, wykonana sposobem litografji. 49 rysunków w tekście Jana Małachowskiego.

Cena 6 kor. (2 rb. 40 kop.).

„...Wyjątkowo piękną książkę gwiazdkową wydała w roku bieżącym Spółka nakładowa „Książka“. Są to „Bajki“ Waława Sieroszewskiego. Znakomity pisarz, który już w poprzednich swoich książkach dla młodzieży złożył dowód niepospolitej umiejętności obcowania z młodem umysłami, i tym razem ofiarował dzieciom polskim garść opowiadań nieposzednich...“ (*„Kurier Warszawski“*, Nr 346, 1910 r.).

„...Bajki te są przeznaczone dla trochę starszych dzieci, zdobią je subtelne i pełne wdzięku rysunki piórkiem J. Małachowskiego“. (*„Gazeta Warszawska“*, Nr 345, 1910 r.).

„Niezmierna plastyka słowa i wdzięk, talent opisowy, posiadający dużo cech stylu i obserwacji Lotiego lub Kiplinga, oraz ogromny podkład uczuć i swojskości sprawiają, że „Bajki“ Sieroszewskiego, będąc utworem literackim pierwszej marki, gotującym przednią rozkosz dojrzałemu czytelnikowi, równocześnie są zajmującą i pobudzającą szlachetne strony uczuć lekturą dla młodzieży“. (*„Nowa Reforma“*, Nr 580, 1910 r.).

„...Na tegoroczną gwiazdkę ukazało się nowe dziełko. Są to „Bajki“, nawpół fantastyczne, w połowie pouczające, świetnym piórem, niecącym złote iskry humoru, pisane, a tak zajmujące, że oderwać się od nich trudno. A szata zewnętrzna wydawnictwa: piękna winieta okładkowa w kolorach Jana Rembowskiego, pół setki rysunków w tekście Jana Małachowskiego, nie pozostawia nic do życzenia“. (*„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr 51, 1910 r.).

„...Na choince dziecięcej zawiesił szereg precudnych gwiazd swego talentu — Waław Sieroszewski. Królewską prawdziwie powodowany szczodrobliwością wlał on w swe „Bajki“ całe czarodziejstwo barw, światła i tonów, całe bogactwo wyobraźni, na której paletę zbierał farby i blaski z oceanów, łądów i mórza całego świata...“ (*„Prawda“*, Nr 53, 1910 r.).

„Bajki“ Waława Sieroszewskiego, będąc w całym znaczeniu tego słowa dziełem sztuki, z niezmiernym zajęciem mogą być czytane zarówno przez dorosłych, jak przez dzieci. Na tle wspaniałej przyrody, którą Sieroszewski rozumie i maluje, jak tylko niewielu z naszych największych, rozwija się

życie zwierząt i ludzi, w zdarzeniach fantastycznych i nadzwyczajnych, opowiedzianych z werwą i humorem, zupełnie władającym nastrojem czytelnika“. („*Życie*“, Nr. 1, 1911 r.).

„Bajki“... zwłaszcza dwie ostatnie... obudzić mogą wiele myśli, nastroić uczucia, z któremi do dzieci rzadko się zwracano“. („*Naprzód*“, Nr. 295, 1910 r.).

„Nowa książka Sieroszewskiego przeznaczona jest dla młodzieży. Muszę stwierdzić, że będzie napewno jedną z najbardziej pociągających lektur... Po „*Djable zamorskim*“ jest to jedna z najlepszych książek dla dzieci i młodzieży“. („*Myśl Niepodległa*“, Nr. 156, 1910 r.).

„Zadziwiającym zaiste i porywającym jest to technienie wiecznej młodości, które promieniuje z książek W. Sieroszewskiego! „*Bajki*“, to świeży na tę prawdę dokument. Bogactwo fantazji i zawsze świeża i młoda wrażliwość na objawy życia i walki w przyrodzie, odkrywcze podróże niestrudzonego poety-podróżnika w tajemnicze dziedziny psychiki zwierzęcej, niezmacona pogoda i humor, mający swe źródło właśnie w owej młodości i niedającej się niczym złamać radości życia, te i inne cechy i zalety, które „*Bajkom*“ Sieroszewskiego przypisać bez zastrzeżeń można, brzmią jałowo i martwo wobec pieniaącego się w nich życia i humoru“. („*Gazeta Poniedziałkowa*“, Nr. 36, 1910 r.).

„Bajki Sieroszewskiego posiadają ...bardzo cenną, a bardzo w literaturze dziecinnej rzadką zaletę, są pełne humoru i cieszą jasnym, pogodnym uśmiechem, a czasem nawet wesołym śmiechem“. („*Nowe Tory*“, Nr. 9, 1910 r.).

„...Ten pan Sieroszewski to pisze piękne książki dla dużych ludzi. I ma bardzo mało czasu. Ale on także bardzo kocha małe dzieci. I powiada sobie: „a co ja będę ciągle pisał dla dużych? A właśnie, że ja znajdę czas i napiszę coś dla tych małych ludzi! Niech czytają!“ A jak pan Sieroszewski coś chce napisać, to zawsze umie. On ponawiał myślą dla was takie cudowne Bajki o zbójnikach tatrzańskich i o jednym chłopcu, co między niemi był i usługiwał — że jak słucha się o tym, to robi się okropnie straszno na duszy, aż włosy powstają, ale coraz więcej chce się słuchać. I dziecko nawet spaćby nie poszło, a ciągleby słuchało“. („*Wolne Słowo*“, Nr. 1, 1911 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## **DNO NĘDZY.**

(Brzask. — W puszczy białowieskiej. — Szczelina grecka).

Nowele. Wydanie 3-cie. Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Wszystkie (nowele) odznaczają się zwykłą u Sirki barwnością kolorytu egzotycznego i przenikliwością w odtwa-

rzaniu ludzi pierwotnych i ich dusz prostych, w których przejawia się ogólnoludzki smutek i cierpienie. Pod tym ostatnim względem Sieroszewski nie ma sobie równych w naszej beletrystyce dawnej i współczesnej". („*Książka*“, Nr 8, *Sierpień 1904 r.*).

„Autor obok pysznych obrazów natury umiał wykazać tyle delikatności serca i przenikliwości, że czytelnik nader plastycznie widzi grę pierwotnej psychologii, pierwotnych, a przecież silnych i pięknych nieraz popędów i uczuć bohaterów. W całej książce ze stylu jędrnego i silnego, z obrazów plastycznych natury, z świetnych aforyzmów, rozsianych tu i owdzie — unosi się tchnienie szerokie humanitarne o epickim zacięciu talentu“. („*Przewodnik Oświatowy*“, Nr 719, 1909 r.).

„Dno nędzy“ — obozowisko trędowatych, na które autor zstąpił wprost z zaparciem się siebie, — przypomina opowieść Hjoba ... („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr 36, 1910 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## MAŁŻEŃSTWO.

(Być albo nie być. — Tułacze).

Wydanie 2-gie. Cena 4 kor. 60 hal. (1 rb. 80 kop.).

„Pełno (tu), jak zawsze u Sieroszewskiego, cudownych obrazów, tchnących właściwym mu głębokim odczuciem przyrody, jej życia i piękności... W formie wysoce artystycznej, w sposób dyskretny i subtelny, poruszył Sieroszewski w „Małżeństwie“ odwieczne zagadnienie stosunku płci do siebie i społecznej jego formy — małżeństwa... Z całej nowej książki Sirki wieje prąd siły i świeżości, przemawia duch niezmożony, twórca prawdziwy“. („*Krytyka*“, Nr 1, 1909 r.).

„Wacław Sieroszewski wykrywa w przyrodzie tyle piękna i odczuwa je tak serdecznie, że czerpie zeń myśli wzniosłe i głębokie i poniekąd staje się idealistą... Opowiadania te... oprócz wielkiej wartości artystycznej, mają również i wysoką wartość moralną, albowiem wznecają w nas wiarę w szczerne przeznaczenia przyszłej ludzkości“. („*Rassegna Nazionale*“, 16 września 1909 r.).

„...Symfonią wielkiej mocy i piękności jest powieść, a raczej dłuższa nowela, p. t. „Małżeństwo“. Ciekawa z wielu względów. Przedewszystkim krajobrazy należą do najpiękniejszych, jakie stworzył kiedykolwiek Sieroszewski; tyle w nich siły, bujnego życia, nieposkromionej żywiołowości, która nie zaznała jeszcze wędzidła. A potem — niezmiernie interesująca i doskonale postawiony jest tu problemat psychologicz-

ny, ...ten utwór... zaliczyć możemy śmiało do najlepszych dzieł Sieroszewskiego". („*Książka*“, Nr 9, 1909 r.).

„Powtórna edycja, świadcząca o wyczerpaniu się nakładu w ciągu niespełna roku, jest objawem radosnym i pocieszającym. Dowodzi ona zwracania się opinii coraz szerszej ku tworam szczeremu artyzmu, ku zagadnieniom poważnym i głębokim“. („*Myśl Niepodległa*“, Nr. 35, 1910 r.).

„Talent Sieroszewskiego wznosi się... do najwyższej swej miary w „Być albo nie być“. Karty tu stworzone nie przeminą wśród dokumentów ludzkich“... („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 36, 1910 r.).

„Być albo nie być“ — to nietylko jedna z nowel utalentowanego autora. Doszukuję się w tym utworze wskazania do zrozumienia istoty twórczości Wacława Sieroszewskiego“. („*Spółeczeństwo*“, Nr. 40, 1910 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## NA DALEKI WSCHÓD.

Wydanie 2-gie, z dodatkiem dwóch rozdziałów.

Cena 4 Kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Obrazy autora odznaczają się talentem, a refleksje — współczuciem dla cierpień ludzkich... Książka Sieroszewskiego jest perłą w naszej literaturze podróżniczej...“. („*Książka*“, Nr 5, 1904 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## RISZTAU.

(Risztau. — Pustelnia w górach. — Czukcze).

Wydanie drugie.

Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Rzeczy to zwarte i piękne w odbiciu przyrody kaukaskiej, tak potężnej i złowrogiej, jako też i dalekich, niezmiernych pól śniegowych kraju północnego — Czukczów. Epika to żywa, gorąca, pulsuje krwią serdeczną. Książka to młoda, budząca“. („*Przełom*“, Nr 10—11, 1911 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## ZAMORSKI DJABEL.

Powieść, z 54 rysunkami Henryka Minkiewicza. W ozdobnej oprawie. Cena 4 kor. 50 hal. (1 rb. 80 kop.).

„Na czele wydawnictw gwiazdkowych postawiłby należało „Jan-Guj-Tzy“ („*Zamorski Djabeł*“), książkę, w której



znakomity pisarz dał niejako wzór powieści dla młodzieży“... („*Kurjer Warszawski*“, Nr 352, 1908 r.).

„Siła tej powieści leży w niezwykle barwnym i zacięka-wiającym opisie tego mało znanego świata i jego zwyczajów i w wiernej charakterystyce osób i stosunków... Egzotyczne ilustracje dodają powieści różnaitości“. („*Przegląd Powszechny*“, sierpień 1909 r.).

„Dla starszej młodzieży wyszło parę książek bardzo pięknych. Pierwsze wśród nich miejsce należy się dwom książkom W. Sieroszewskiego: „Zamorski Djabeł“, malującej przygody Polaka w Chinach, i „Ze świata“, zbiór opisów i przygód, przeżytych i głęboko odczutyh, o wielkiej wartości naukowej i etycznej“. („*Krytyka*“, Nr 1, 1910 r.).

„Sieroszewski, łączący w sobie etnografa, artystę i głębokiego znawcę duszy ludzkiej, wielkim okazuje się także i w dwóch świeżych swych dziełach: „Zamorski Djabeł“ i „Ze Świata“. Zbytecznym byłoby mówić, iż, czytając te dwie książki Sieroszewskiego, poznajemy życie zewnętrzne owych dalekich ludów, które jednak czują pragnienie wolności, miłość i ból tak samo, jak my, „cywilizowani“; co więcej, uczymy się odczuwać ich cierpienia. Na kartach tych książek odbija się tragedja narodu“... („*Rassegna Nazionale*“, Nr 5, 1910 r.).

„Najświetniejszym... nabytkiem naszej niebogatej literatury dla młodzieży jest piękna powieść „Zamorski Djabeł“... Obok Coopera i Beecher-Stowe stanie „Zamorski Djabeł“ Sieroszewskiego jako nasz osobisty wkład w światowej pedagogice białych“... („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 38, 1910 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## ZE ŚWIATA.

(Wśród lodów — Polowanie na reny. — Polowanie na wieloryby. — Bokser. — Kulisi. — Latorośle).

Opowiadania, z 53 rycinami. W ozdobnej oprawie. Cena 5 kor. (2 rb.).

„Treść tych opowiadań, osnutych na obserwacjach z czasów przymusowego pobytu na Syberji i wśród Jakutów, technie urokiem szczerości, jaki wywołać może tylko wielka zdolność odczuwania dusz ludzkich. Opowiadania te wiodą czytelnika pod biegun lub w gorącą krainę „szlachetnej żółtej gliny“ i wpajają w serce dziecka współczucie dla nieszczęśliwych bez względu na ich pochodzenie i narodowość. Książka ta maluje z niepospolitą zdolnością narracyjną nietylko obcych nam ludzi; ostatnia bowiem jej część p.t. „Latorośle“ wprowadza czytelnika w grono dzieci polskich“. („*Kurjer Poranny*“, Nr 84 (355), 1909 r.).

„Oto pisarz dużego talentu, poeta nawskroś, przychodzi do młodzieży polskiej w tym roku z książką p. t. „Ze Świata“, z książką piękną, bogatą w treść, ale obcą tłem. Jego opowiadania... mają niepospolity urok rzeczy przeżytych, widzianych. Jedynie w „Latoroślach“ jesteśmy wśród dzieci polskich i poznajemy, że Sieroszewski jest nietylko znakomitym opowiadaczem swoich wrażeń egzotycznych „ze świata“, ale jednocześnie nowelistą „małego światka“, umiejącym wybornie orjentować się wśród zjawisk, uderzających w duszę dziecka“. („*Kurjer Warszawski*“, Nr 347, 1909 r.).

„Książkę „Ze świata“, pomimo rozdzierających jej bólów, zaliczymy do najpiękniejszych darów dla młodzieży od lat przynajmniej 12“. („*Książka*“, Nr 3, 1910 r.).

„Znakomite podróznicze opowieści... Sieroszewski wzbogacił niezmiernie polską literaturę dla młodzieży; wzbogacił zaś ją nietylko... rozszerzeniem zakresu na kolorowe ludy i lądy, ale także i znacznym podniesieniem poziomu...“ („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr 36—37, 1910 r.).

„Autor, znany podróżnik, żywo i wyraziście maluje przygody na morzu i na lądzie, przykuwa uwagę i ani na chwilę jej nie rozluźnia... niemałego trzeba talentu, aby tematem od nas tak odległym nie na chwilę tylko, lecz na dłużej zająć; autor trudności wszystkie szczęśliwie ominął“. („*Przeгляд Powszechny*“, Nr 10, 1910 r.).

**SIEROSZEWSKI WACŁAW.**

## Z FALI NA FALE.

(Japonja w zarysie. — Harakiri księcia Asano Naganori. — O-Sici. — Pojednanie. — Widmo sakurskie. — Ingwa. — Jak liść jesienny...).

Wydanie trzecie.

Cena 5 kor. (2 ruble).

„Wstęp niejako stanowi „Japonja w zarysie“, przesłiczny obraz kraju, jego przyrody i mieszkańców... Następuje pięć nowel na tle życia japońskiego. Gdy się ten tom po przeczytaniu odkłada, ogarnia czytelnika jakaś dziwna tęsknota; może to tęsknota do owych krajów dalekich, nieznanych, fantastycznych, może do przygód, na jakie za ciasno w dzisiejszej Europie...“ („*Naprzód*“, Nr 115, 1910 r.).

„Sieroszewski ukazuje nam dusze japońskie w szczególny, indywidualny sposób... Cały tom wnosi do literatury żywioł nowy, odświeżający. Nigdzie się autor nie powtarza — powtarza się tylko głos serca jego, zawsze tętniący miłością człowieka i żądzą wyzwolenia“. („*Krytyka*“, Nr 6, 1910 r.).

„Znów egzotyczna książka Sieroszewskiego, pełna praw-

dziwego powabu... W literaturze polskiej nie mieliśmy dotychczas oryginalnego obrazu Japonji. Kreśli go dopiero po raz pierwszy, na podstawie wrażeń bezpośrednich, Wacław Sieroszewski. Nie suchym wykładem poprzedza autor szereg utworów nowelistycznych, osnutych na motywach japońskich, ale wspaniałym, poetycznie pisanym zarysem kraju... idziemy krok za krokiem za dobrym przewodnikiem, który nie szczędził trudu artystycznego, aby... dać nam możliwie dokładne pojęcie o kraju i o zamieszkującym go narodzie... Autor przerzuca nas „z fali na falę“, dodaje bowiem do swojej książki japońskiej europejskie już opowiadanie p. t. „Jak liść jesienny“... Klębi się przed naszymi oczami, słoczony w pudle jednego okrętu, cały nasz świat współczesny...“ (*„Kurier Warszawski“*, Nr 151, 1910 r.).

„...Społeczna wartość utworów Sieroszewskiego wogóle, a „Z Fali na Falę“... w szczególności, jest wprost pierwszorzędna. Zdolne są one obudzić w duszach zarówno hart i męstwo, jak tkliwość i poezję, subtelność kwiatu, jak i heroizm walki. Tragizm i czar istnienia, moc i wysiłek, wiecznie i jedynie utrzymujący nad przepaścią nicości zarówno jednostki, jak i narody całe, przemawia z kart tej... książki“ (*„Przedświt“*, Nr 7—8, 1910 r.).

„Świetne pióro Sieroszewskiego nie przestaje obdarzać nas wciąż dziełami niepospolitej wartości artystycznej... znowu mamy sposobność podziwiać rozkwit jego talentu...“ (*„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr 34, 1910 r.).

„Sieroszewski jest — nietylko w literaturze naszej, ale wogóle w literaturze europejskiej — najwybitniejszym, największym „poetą Azji“, jej północnych i wschodnich krain... Ten cały świat egzotyczny nie ma dla Sieroszewskiego żadnych tajników... Z sielanki dwojga globetrotterów-Polaków — Sieroszewski zdołał uczynić arcydzieło nieporównane... I jak każde wielkie dzieło sztuki, tak i ta prosta opowieść wzrasta do wyżyn symbolu“... (*„Świat“*, Nr 36, 1910 r.).

„Proste charaktery... proste zawikłania i rozwiązania... („Jak liść jesienny“) stanowi najbardziej osobistą rzecz, jaką dotąd dał Sieroszewski, należy też do najlepszych jego utworów. Całość... daje obok pięknych bardzo opisów ogromnie szczerze i dobre wzruszenia uczuciowe“ (*„Widnokreśli“*, Nr 14, 1910 r.).

„Umiłowanie beznadziejnego heroizmu cichych a silnych serc jest cechą twórczości Sieroszewskiego, wysuwającą się na plan pierwszy i w tym tomie opowiadań“ (*„Społeczeństwo“*, Nr 40, 1910 r.).

„Książka „Z fali na falę“ jest jednym z najcenniejszych beletrystyki naszej ostatnich lat klejnotów. Wzbogaciła ona dorobek nasz m. tywem obrazów nowych, jaśniejących takim blaskiem, taką barwnością opisów, taką świeżością zasadni-

czych pomysłów, jaką chyba tylko u Lotiego znaleźć można. Jest ona też nowym, świetnym objawieniem talentu, który z umiłowanego tematu wykrzesał iskry najszczerzego natchnienia“. („*Nowa Reforma*“, Nr 518, 1910 r.).

„...Twórcza, cudowna potęga serca, potęga twórczych przestoczeń, tkwiąca w cierpieniu, jest ukrytą podziemną melodją całej działalności pisarskiej Sieroszewskiego. Działalność ta stanie się kiedyś jedną z najpiękniejszych kart ducha polskiego...“ („*Prawda*“, Nr 43, 1910 r.).

„...Zbiór wspaniałych nowel Sieroszewskiego zasługuje na szczerzy zachwyt. Lektura nowel Sieroszewskiego przenosi czytelnika z dusznej atmosfery dni dzisiejszych w jakiś świat inny, znany nam teraz jedynie z ksiąg ludzi, którzy dawno pomarli. Świat to wielkich uczuć, wielkich namiętności, wielkich cnót i wielkiego bohaterstwa“. („*Kronika Powszechna*“, Nr 2, 1911 r.).

„...Temu głębokiemu odczuciu natury, jakiego świadectwo złożył Sieroszewski w „Liściu jesiennym“, dorównywa niewielu poetów europejskich. W okazałym tomie „Z fali na falę“ wszystkie utwory wykołysało serce, bijące wzruszeniem na widok bujnego życia, tym razem życia w szatach wschodnich. Ale pierwsze miejsce pośród tych utworów zajmuje krótka nowela zatytułowana: „Pojednanie“. Pod względem artystycznym jest ona bez zarzutu; zbudowana zwięźle i harmonijnie“. („*Literatura i Sztuka*“, dodatek do „*Nowej Gazety*“, Nr 9, 1911 r.).

„...Niebywałym powodzeniem cieszy się ostatnia książka Wacława Sieroszewskiego p. t. „Z fali na falę“. Te siedem niezwykle barwnych opowiadań, osnutych na tle japońskiego życia, nie tylko zajmuje egzotycznością; niektóre nowele, jak naprzykład „Ingwa“ (o przebaczonej zdradzie małżeńskiej) i „Pojednanie“ (opowieść lub raczej przypowieść o kochającym sercu) — głęboko wzruszają. To też „Z fali na falę“ w niespełna cztery miesiące wychodzi w drugim wydaniu. Należy z uznaniem dla polskiej publiczności podnieść ten fakt“. („*Kurjer Poranny*“, 14 maja 1911 r.).

„Nowele powyższe są dowodem głębokiego wniknięcia w sam rdzeń istoty duszy orjentalnej, sięgającym najwyższych dziedzin artyzmu“. („*Książka*“, Nr 4, 1911 r.).

**STRUG ANDRZEJ.**

## **W TWARDEJ SŁUŻBIE.**

(„Ludzi Podziemnych“ serja III. T r e ś ć: Prolog. — Cienie. — Sielanka. — Ostatnie listy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Opuszczając z Andrzejem Strugiem ten tajemny świat podziemi, co się przepala płomieniem nowego życia, pragniemy

zwrócić uwagę czytelników na przepyszne, czarujące ogrody poezji, na które zlewa autor najjaśniejsze blaski swej sztuki. Obrazy przyrody... nastrojone są na wysoki ton symfonji społecznej, zjawiska natury żyją i odradzają się w tej zbiorowej idei. Rzewnym głosem przemawiają pola ojczyste, jakby nas rozgrzeszały z długich lat zapamiętania". („*Kurjer Lwowski*", Nr 7, 1910 r.).

„...Książki Struga, piewcy ofiarnych walk i bohaterских cierpień, cichych tragiedji i serdecznych wiar... są niepowszednim zjawiskiem w literaturze polskiej...“ („*Naprzód*", Nr 339, 1909 r.).

„Głębokie akordy wstrząśnień ideowych grają w duszach, żyjących na stronicach prac Struga... Twórczość Struga w za-tęchłą atmosferę „nastrojów“ prozodyjnych wnosi nowy wiew wiosenny, wróżący, że nowa karta piśmiennictwa polskiego już rozpoczyna powstawać... Każda nowa książka Struga przynosi nowe barwy i aromaty, nowych ludzi, nową duszę polską. Takich ludzi literatura jeszcze nie miała... Literatura ze społeczników robiła średniowiecznych świętych — u Struga są oni pokazani w całej ich zbroi duchowej i materialnej, Z bezkrwistych manekinów cnoty nareszcie mamy ludzi żywych, ludzi takich, jakimi oni są w terażniejszej rzeczywistości“. („*Prawda*", Nr 6, 1910 r.).

„Pan Andrzej Strug jest już znany czytającej publiczności. Dwa przedtem wydane zbiorki uczyniły go jednym z najbardziej interesujących beletrystów współczesnych. Oryginalność jednak artystyczna Struga polega na jego stanowisku, jakie zajmuje względem tematu. Przykuwa uwagę inteligentnego czytelnika nietyle artystycznemi sposobami wypowiedzenia, ile skrytalizowaną świadomością co do wartości ludzi i spraw, które przedstawia. Tematy więc odwieczne przez ujęcie swoje czyni nowemi, zajmującemi, a przytym maluje ludzi takich środowisk, co do których samo uwydatnienie środowiska wystarcza, by zaciekawić czytelnika...“ („*Myśl Niepodległa*", Nr 25, 1910 r.).

„Na czoło produkcji nowelistycznej ostatniej doby wysuwają się utwory Andrzeja Struga. Jest on nowelistą z urodzenia i temperamentu, obfitującym w bogactwo pomysłów, nie pozwalające mu skupić się dłużej nad jednym z nich. Śpieszno mu do nowej sytuacji, do nowej odmiany typu „człowieka podziemnego“. Nie wychodząc poza zakres tego typu, Strug nie powtarza się jednak nigdy“. („*Krytyka*", Nr 1, 1910 r.).

„Obrazy chwil bolesnych i wstrząsających, niekiedy obla-nych oślepijącemi blaskami szczęścia, nieuchwytnego dla dusz, wytraconych z normalnych kolei życia“. („*Kultura Polska*", Nr 7, 1910 r.).

„Typy różnych działaczy, przeprowadzone przez czyszcielez i uśmiechów poety“. („*Slovansky Przehled*“, Nr 10, 1910 r.).

„Strug... jest przede wszystkim psychologiem o dużych zdolnościach analitycznych. Dusze, przez niego preparowane, mają jednak nie tylko wartość dokładnych preparatów naukowych. Ożywia je także tchnienie prawdziwego artyzmu, opromienia blask szczerzej poezji, skąpanej w szemrzącej cicho fali jakiegoś wielkiego morza melancholji, bijącego o brzeg tego ładu, który się życiem nazywa“... („*Kurjer Warszawski*“, Nr 171, 1910 r.).

**ŻEROMSKI STEFAN.**

## **SUŁKOWSKI.**

Tragedja w 5 aktach.

Wydanie drugie.

Cena 6 koron (2 ruble 40 kop.).

„Sułkowskiemu“ Żeromskiego należy się jedno z pierwszych miejsc w historii polskiej dramaturgji. Dzieło Żeromskiego wydała krakowska „Książka“ z rzadką w naszym handlu księgarskim starannością, świadczącą chlubnie o pracy tej ruchliwej spółki nakładowej“. („*Głos*“, Nr 140—143, 1910 r.).

„Piewca... objął niziny i ukazał wszystkie ich krzywdy, postawił na ich cokole człowieka — wojownika, uposażył go we wszystkie cechy, jakie najlepsi w narodzie wymarzyli o bohaterze polskim. I ten bohater przebóstwia się w naszych oczach. Dokonywa się najwyższy jedyny cud, w jaki człowiek dzisiejszy może wierzyć. Takim jest tryumf gienjuszu“. („*Krytyka*“, Nr 7—8, 1910 r.).

...„Utwór, pełen pierwszorzędnych piękności i myśli głębokiej, gorzką jednak mieści w sobie strawę...“ („*Goniec poranny*“, Nr 292, 1910 r.).

„Sułkowski“ na scenie przedstawiony — będzie to kawał gienjuszem ożywionej historii“. („*Naprzód*“, Nr 38, 1910 r.).

„Sułkowski“ Żeromskiego jest tragedją walki o niepodległość duszy polskiej, o wyhodowanie z niej całkowitej woli, któraby szła, jak „żywy pocisk, torujący drogę wolności“. Spizowy ton pieśni Żeromskiego... stał się niemal syntezą dążeń i pragnień pokolenia... „Sułkowski“ do tego ognia, który ma objąć serca polskie, dorzuca cały las paliwa. Kto zbłądzi w serdeczne wnętrze tej książki, choćby tysiąc razy wyrzekł się polskości, rozetka się i zmęźnieje, rozkwili i stanie się jak spizowy szczerbiec Bolesławów, co zwycięstwo pisze“. („*Przedświt*“, Nr 7/8, 1910 r.).

„Pod względem potęgi ekspresyjnej, zrównoważenia tudzież pełni środków artystycznych, utwór ten zajmie prawdopodobnie miejsce najwyższe w szeregu dzieł dotychczasowych Żeromskiego. Są w nim zdania, obrazy i słowa, gdzie polszczyzna, niesłyszana dotąd, poczyną drgać wspólnie z tętnem żywiołów...“ („*Myśl Niepodległa*“, Nr 40, 1910 r.).

„Arcybogate i smutne dzieje... kto marzy o wyzwoleniu, komu nie jest obcą wspaniałość i piękno duszy rycerskiej — niech czyta i wczytuje się w tragiedję Żeromskiego...“ („*Wiek Nowy*“, Nr 2722—2725, 1910 r.).

„Każde nowe dzieło Żeromskiego staje się ważnym zjawiskiem naszej kultury współczesnej... „Sułkowski“ powstał całkowicie ze stosunku autora do ogólnej klęski narodu. Jest też mniej dziełem sztuki dramatycznej, jak uczuciowym pomnikiem epoki; mniej tragiedją sceniczną, jak tragiedją myśli jednego z najwrażliwszych Polaków dzisiejszych, cierpiących na stałą, nieuleczalną bezsenność ducha...“ („*Nowa Gazeta*“, Nr 462, 1910 r.).

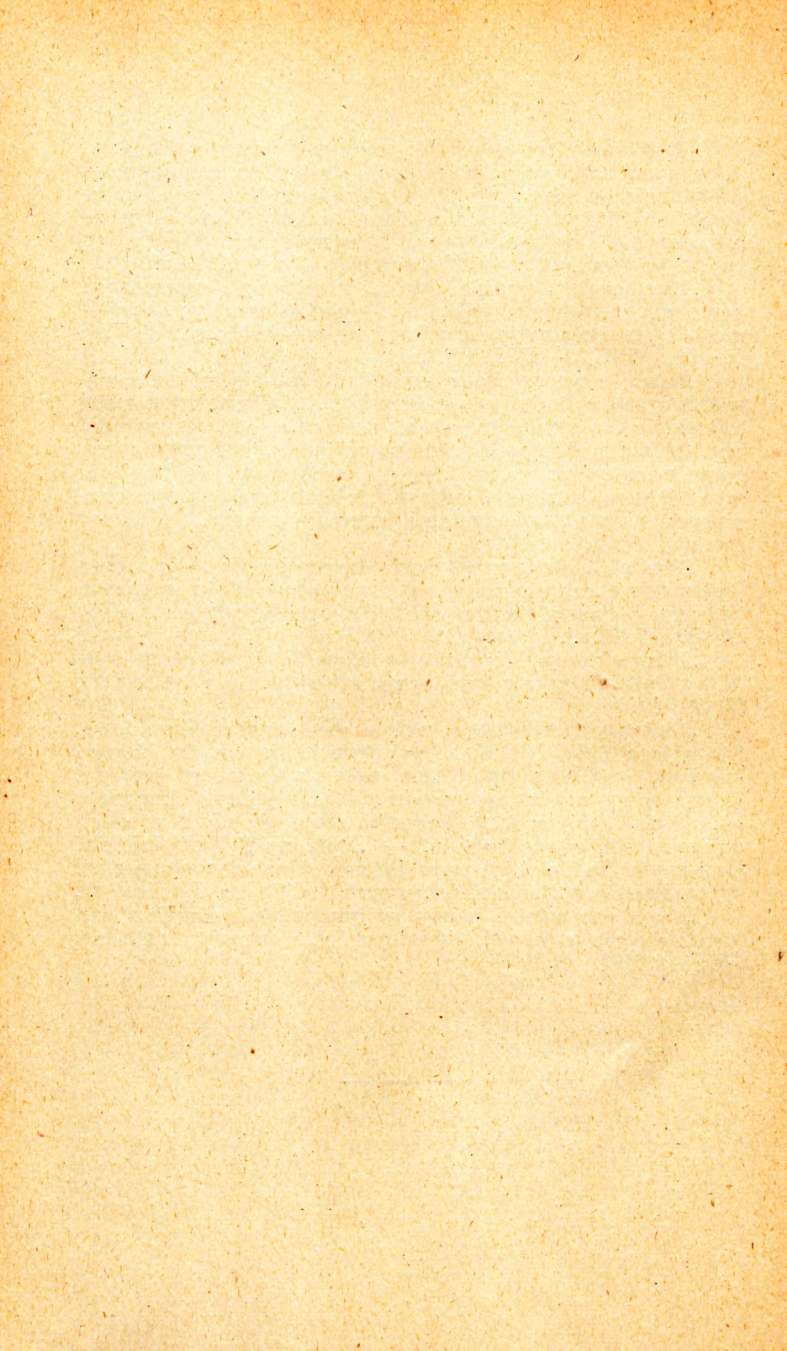
„Tragiedję budzi w nas dzieło Żeromskiego, z siłą i mocą „rozrywające rany polskie“, przemawiające do nas głosem twardym i czasem bezlitosnym“. („*Kurjer Warszawski*“, dnia 21 lipca 1910 r.).

„Przepiękne są, zwłaszcza w akcie V, przedzgonne rozmowy Sułkowskiego z jego przyjacielem Venturą“. („*Świat*“, Nr 30, 1910 r.).

„Dziś w Żeromskiego wciela się sumienie narodowe. Dusza jego stała się niejako świętym kielichem, do którego spływają wszystkie łzy i cała krew umęczonego narodu. Każdy nowy utwór mistrza-pisarza jest jednym krzykiem bólu ludu zabijanego... Żeromski zdaje się nosić w sercu ogromny ból całego narodu. — „Sułkowski“ jest dziełem, napisanym dla Polaków przez jednego z najszlachetniejszych synów Polski“. („*Mercure de France*“, Nr 323, str. 563, 1910 r.).

„Duch wzniosłości panuje w tym dziele, jednym z najwspanialszych z nowej literatury“. („*Słowansky Przechled*“, Nr 7—9, 1911 r.).











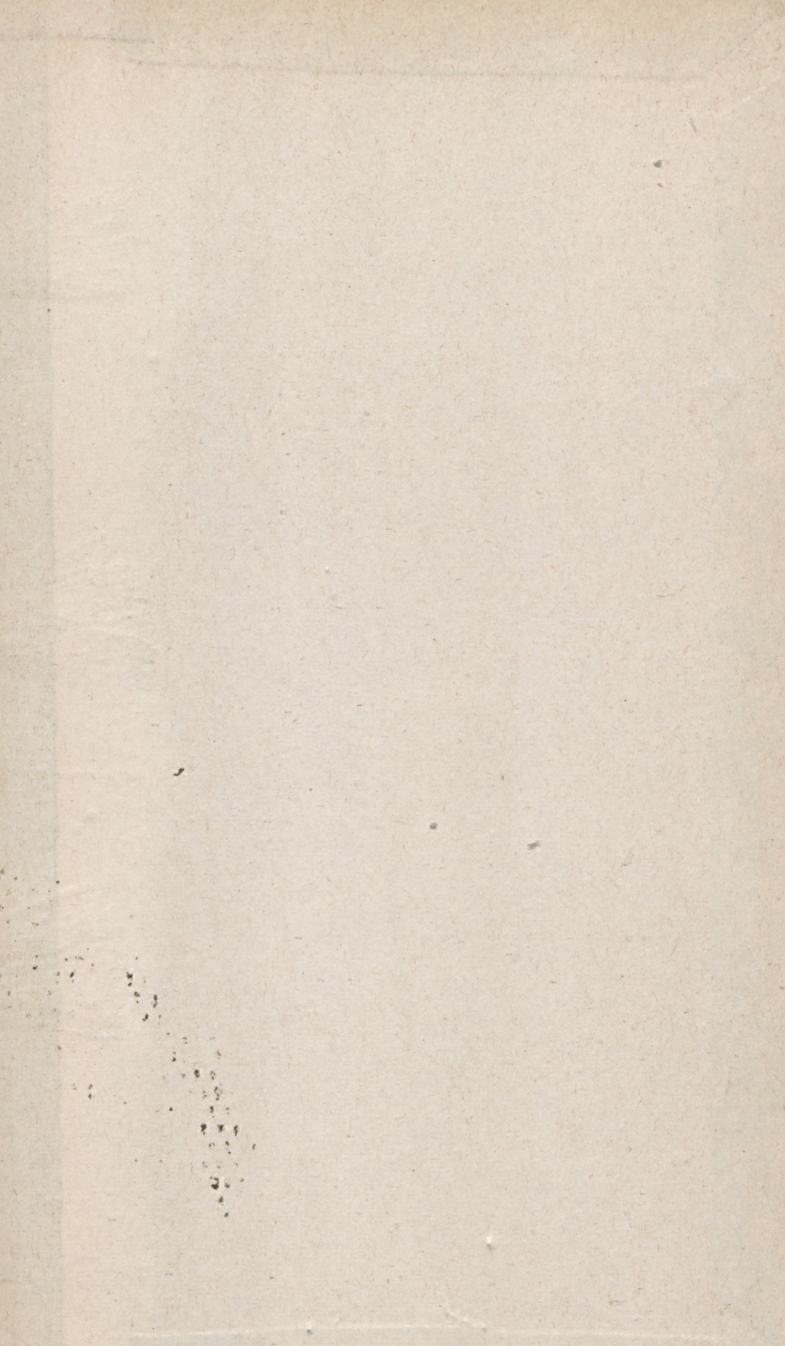
# Wydawnictwa Spółki Nakładowej „KSIAŻKA“.

- Angiolini Alfred. Dzieje socjalizmu we Włoszech do 1910 r. włącznie. Cena 6 koron.
- Blos W. Rewolucja francuska. Z 2 rycinami. Wydanie 2-gie. Cena 4 korony.
- Choynowski Piotr. Zdarzenie. Nowele. Cena 3 kor. 60 hal.
- Daniłowski Gustaw. Jaskółka. Powieść w 2 tomach. Wydanie drugie. Cena 5 kor. 50 hal.
- Daniłowski Gustaw. W miłości i boju. Nowele. Wydanie drugie. Cena 3 kor. 20 hal.
- Feldman Wilhelm. O Rosji. Cena 1 kor.
- Feldman Wilhelm. Stronictwa i programy polityczne w Galicji 1846 do 1906 r. 2 tomy. Cena 10 kor.
- Filipowicz Tytus. Zagadnienia postępu. Cena 3 kor. 20 hal.
- Galica Andrzej. Robert Szporn. Dramat. Cena 2 kor. 60 hal.
- Grabiec J. Dzieje narodu polskiego. Cena 5 kor.
- Grądzielski K. Dzieje literatury polskiej. Cena 5 kor.
- Grubiński Wacław. Moc kamienna. Nowele. Cena 3 kor.
- Grubiński Wacław. Pocałunek, Uczta Baltazara i inne nowele.
- Gumplowicz Władysław dr. Dzieje założenia Stanów Zjednoczonych. Z 3 mapkami. Cena 2 kor. 60 hal.
- Hillquit Maurycy. Dzieje socjalizmu w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki do 1907 r. włącznie. Cena 4 kor.
- Jarosz Mieczysław. Śląsk cieszyński. Cena 3 kor.
- Jaworski Roman. Historje manjaków. Nowele. Cena 4 kor. 20 hal.
- Iłakowicz I. K. Ikarowe loty. Poezje. Cena 4 kor.
- Kaden Juljusz. Zawody. Nowele. Cena 3 kor. 20 hal.
- Kalthoff Albert. Światopogląd religijny. Cena 3 kor. 20 hal.
- Kasprowicz Jan. Chrystus. Poemat społeczno-religijny. Cena w oprawie 3 korony.
- Katerla Józef. Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie 2-gie. Cena 4 kor.
- Krauz Kazimierz dr. Materjalizm ekonomiczny. Studja i szkice. Ze wstępem Ludwika Krzywickiego. Cena 5 kor. 50 hal.
- Kulikowska Marcelina. Barwy duszy. Poezje. Cena 5 kor.
- Kulikowska Marcelina. Frania. Nowele. Cena 2 kor. 60 hal.
- Kulikowska Marcelina. Z dziejów duszy. Cena 4 kor.
- Kulikowska Marcelina. Z wędrówek po kraju. Cena 2 kor. 60 hal.
- Landau Helena dr. Zarys ekonomji społecznej. Cena 3 kor.
- Lange Antoni. Elfryda. Fantazje i nowele.
- Lange Antoni. W czwartym wymiarze. Nowele.
- Limanowski Bolesław dr. Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim. Cena 60 hal.
- Limanowski Bolesław dr. Stanisław Worcell. Cena 10 kor.
- Limanowski Bolesław dr. Sermierze wolności. Cena 8 kor.
- Louis Paweł. Dzieje socjalizmu we Francji do 1908 r. włącznie. Cena 4 kor.
- Mańkowski Mieczysław. U stóp szubienicy. Cena 60 hal.
- Markowska Marja. Poezje. Cena 3 kor.
- Markowska Marja. Melodje śmierci (odbitka z „Poezji“). Cena 1 rb.
- Nalepiński Tadeusz. Chrzest. Poemat. Cena 4 kor.

- Narkiewicz-Jodko i Szymon Dyksta. Polski socjalizm utopijny na emigracji. (Dwie rozprawy). Cena 1 kor. 20 hal.
- Orkan Władysław. Drzewiej. Powieść.
- Orkan Władysław. Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy. (Zbiór nowel). Cena 2 kor.
- Orkan Władysław. Nad Urwiskiem. Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi”. Cena 3 korony.
- Orkan Władysław. Ofiara. Fragment w 3 aktach z 1846 roku. Cena 1 kor. 50 hal.
- Orkan Władysław. Wina i Kara. Tragiedja w 3 aktach. Cena 2 kor.
- Orkan Władysław. Z martwej roztoki. Poezje.
- Płochocki Leon. Rosyjskie partje polityczne i ich stosunek do sprawy polskiej. Cena 3 kor.
- Przybyszewski Stanisław. Szopen a Naród. Cena 3 kor.
- Radziwiłłowicz dr. R. Zagadnienia Psychologii. Cena 3 korony.
- Rogoszówna Zofja. Dziecinny Dwór. Powieść dla dzieci w ozdobnej oprawie. Cena 3 kor. 60 hal.
- Rogoszówna Zofja. Pisklęta. Nowele. Cena 2 kor. 60 hal.
- Rygier-Nałkowska Zofja. Kobiety. Powieść. Wydanie drugie.
- Rygier-Nałkowska Zofja. Narcyza. Powieść. Wyd. drugie. Cena 5 kor.
- Sieroszewski Waclaw. Bajka o żelaznym wilku. Z 14 rycinami J. Rembowskiego. W ozdobnej oprawie. Cena 10 koron.
- Sieroszewski Waclaw. Bajki. Z 50 ryc. W ozdob. oprawie. Cena 6 kor.
- Sieroszewski Waclaw. Dno nędzy. Wydanie 3-cie. Cena kor. 3·20.
- Sieroszewski Waclaw. Małżeństwo. (Być albo nie być. — Tłaczce). Wydanie 2-gie. Cena 4 kor. 60 hal.
- Sieroszewski Waclaw. Na daleki Wschód. Kartki z podróży. Wydanie 2-gie z dodatkiem dwóch rozdziałów. Cena 4 kor. 20 hal.
- Sieroszewski Waclaw. Risztau. Pustelnia w górach. Czucze. Wydanie drugie. Cena 3 kor. 60 hal.
- Sieroszewski Waclaw. Zamorski Djabeł. Powieść z 54 ilustracjami. Cena w oprawie 4 kor. 50 hal.
- Sieroszewski Waclaw. Ze świata. Opowiadania. Z 53 rycinami. W oprawie. Cena 5 kor.
- Sieroszewski Waclaw. Z fali na fale. Wydanie trzecie. Cena 5 kor.
- Śliwiński Artur. Powstanie listopadowe. Z 11 portretami. W oprawie. Cena 4 kor. 60 hal.
- Stepniak S. Losy nihillisty. Romans. Z przedmową Jerzego Brandesa. Cena 6 kor.
- Strug Andrzej. Dzieje jednego pocisku. Wyd. drugie. Cena kor. 4·80.
- Strug Andrzej. Jutro... Cena 2 korony.
- Strug Andrzej. Ojcowie nasi. Nowele. Cena 5 Kor. 20 hal.
- Strug Andrzej. W twardej służbie. Nowele. Cena 2 kor. 60 hal.
- Strug Andrzej. Ze wspomnień starego sympatyka. Cena kor. 3·20.
- Studnicki Władysław. Finlandja i sprawa finlandzka. Cena 4 kor.
- Verhaeren E. Jutrznie. Dramat społeczny. Przekład Marji Markowskiej. Cena 2 korony.
- Walewska Marja-Jehanne (hr. Wielopolska). Pani El. Cykl nowoczesny. Cena 4 kor. 60 hal.
- Wasilewski Leon. Litwa i Białoruś.
- Wasilewski Leon. Ukraina i sprawa ukraińska. Cena 4 kor. 60 hal.
- Wasilewski Leon. Współczesne państwo konstytucyjne. Cena kor. 2·40.
- Wileńczyk Marjan. 1812. Tragiedja.
- Wyrostek M. dr. Urządzenia polityczne Szwajcarji. Cena 5 kor.
- Żeromski Stefan. Sułkowski, tragiedja. Wydanie drugie. Cena 6 kor.









BIBLIOTEKA  
NARODOWA

2007318

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001018600184